

Cena 10 złotych (w tym 5% VAT)
ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK

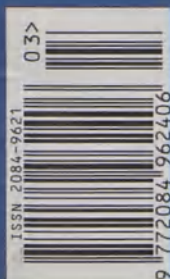
Czeska
granica

Nr 1 (6) 2014



ZAPOMNIANA WSPÓLNOTA

piszą m.in. Ota Filip Dan Gawrecki Zbigniew Kadłubek
Krzysztof Karwat Renata Putzlacher Eva Tvrdá Ingmar Villqist





Fabryka Silesia

Kwartalnik nr 1 (6) 2014

40-057 Katowice ul. PCK 19

tel. 32/ 201-77-74

redakcja@fabrykasilesia.pl

www.fabrykasilesia.pl

Redakcja:

Jan F. Lewandowski (redaktor naczelny)

Alicja Wizner (sekretarz redakcji)

Redakcja graficzna, łamanie:

Magdalena Wojtyła

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Krzysztof Karwat,

Ingmar Villqist

Wydawca:

Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach

Dyrektor Adam Pastuch

www.rok.katowice.pl, tel. 32/ 251-75-63

Okładka: Magdalena Wojtyła

Realizacja poligraficzna:

LAVENDE Jolanta Budzyńska

Korekta: Elżbieta Giszter

Sprzedaż, prenumerata:

za pomocą sklepu internetowego:

www.fabrykasilesia.pl/sklep

lub w siedzibie redakcji

Kontakt w sprawie zakupu:

Malwina Polakowska

mpolakowska@rok.katowice.pl

tel. 32/ 201-77-63

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam.
Rozpowszechnianie tekstów kwartalnika bez zgody wydawcy zabronione. Nakład: 1300 egz.

2 Jan F. Lewandowski W POSZUKIWANIU ZAPOMNIANEJ WSPÓLNOTY

Zapomniana wspólnota

3 Zbigniew Kadłubek PEJZAŻ Z NEPOMUKIEM

10 Idzi Panic O RELACJACH ŚLĄSKO-CZESKICH W ŚREDNIOWIECZU

13 Piotr Pałys JAK KSZTAŁTOWAŁA SIĘ GRANICA

18 Dan Gawrecki WIDZIANE Z OPAWY

22 Krzysztof Gwosdz JAK RACIBÓRZ STRACIŁ NA ZNACZENIU

Po tej i tamtej stronie

25 Witold Turant PO TEJ I TAMTEJ STRONIE

29 Józef Szymeczek ZAOLZIE DZISIAJ

33 Grzegorz Sztoler NAD MORAWCAMI ŚWICI SŁUŃCE

38 Lukáš Palowský KIM SĄ ŚLĄZACY W REPUBLICE CZESKIEJ?

39 Łukasz Grzesiczak CZY CIESZYN ZRASTA SIĘ NA NOWO?

42 Agata Goraj NASZE EUROREGIONY

I Marcin Filip – Euroregion Beskidy I Daria Kardaczyńska – Euroregion Silesia I

Bogdan Kasperek – Euroregion Śląsk Cieszyński I Radosław Roszkowski –

Euroregion Pradziad I

W kawiarni Avion

46 Renata Putzlacher DIVERTIMENTO CIESZYŃSKIE

47 W KAWIARNI „AVION”

Z Renatą Putzlacher rozmawia Krzysztof Karwat

50 Renata Putzlacher W KAWIARNI AVION KTÓREJ NIE MA (fragmenty)

54 Renata Putzlacher WIERZSE

Literatura pogranicza

56 Józef Zarek GENIUS LOCI CZESKIEGO ŚLĄSKA?

63 Karolina Pospiszil NIEDOPOWIEDZIANE TERYTORIUM

66 Mirosław Syniawa TEN ZAGADKOWY BEZRUČ

70 Petr Bezruč ONDRA

71 Ota Filip ÓSMY ŽYCIORYS, NEDOKOŇČENÝ

75 Eva Trvdá DYSKRETNÝ UROK ŚLĄSKA

79 Libor Martinek REFLEKSJE O LITERATURZE POGRANICZA

Magiczna Silesia

81 Jan F. Lewandowski, Bogdan Kułakowski ZANIKAJĄCA KARWINA

Retrospekcje

87 Krzysztof Nowak JAK GOMUŁKA CHCIAŁ PRZYŁĄCZYĆ ZAOLZIE

88 Henryk Jasiczek SPOTKANIE W WARSZAWIE

90 Zbigniew Kadłubek Słowa i krajobrazy: AD BOJOS

92 Krzysztof Karwat Blisko stąd: ŚLĄSK W STARYCH DEKORACJACH

94 Villqist Na temat: CZESKI FILM

96 Książki nadesłane i wypatrzone



foto: Beata Kulakowska

W poszukiwaniu zapomnianej wspólnoty

Zacznijmy od tego, że dzisiejszy Górny Śląsk, nazywany nieraz pograniczem, pozostaje owszem pograniczem, ale w sensie geograficznym już przecież

nie polsko-niemieckim, jak niegdyś. Dzisiaj to pogranicze polsko-czeskie, przynajmniej w południowej części: powiedzmy od Istebnej i Wisły przez Cieszyn, Racibórz, Głubczyce aż po Prudnik i Nysę. Nie zawsze, a raczej rzadko zdajemy sobie z tego sprawę. A już naprawdę mało kto wie, co znajduje się po drugiej stronie.

Jeśli natomiast zagłębimy się w mapę historyczną, to widać, że część dawnego, historycznego Górnego Śląska należy obecnie do państwa czeskiego (nawet śląski orzeł wkomponował się w herb Republiki Czeskiej). Podział Śląska przez Prusy i Austrię w połowie XVIII wieku okazał się nadzwyczaj trwały, pozostawiając w spadku m.in. dzisiejszą linię graniczną, o czym pisze Piotr Pałys w szkicu *Jak kształtowała się granica*. Po tamtej stronie pozostał tzw. Śląsk Austriacki, który potem przemienił się w dzisiejszy Śląsk Czeski, z pewnymi dwudziestowiecznymi korektami (np. podzielenie dawnego Księstwa Cieszyńskiego).

Nowe granice i podziały, jeśli trwają wystarczająco długo, kształtują nowe pojęcia i nowe tożsamości, by wspomnieć stosunkowo świeżej daty Zaolzie czy Podbeskidzie. Jeszcze dodajmy Kraj Hulczyński, który jako jedyny fragment dawnego Śląska Pruskiego znalazł się w okresie międzywojnia w państwie czechosłowackim (pisze o nim powieści i eseje czeska pisarka Eva Tvrdá). Jednak z perspektywy Raciborza, to po prostu południowa część dawnego powiatu raciborskiego. A wszystko to części historycznego Górnego Śląska, chociaż w Cieszynie podkreślają osobne poczucie tożsamości (i mają do tego pełne prawo).

Jakże niewiele o tamtych częściach Górnego Śląska wiemy, z perspektywy katowickiej wykazujemy często najzwyczajszą ignorancję. A jeśli ktoś wie więcej, to najczęściej trochę o Cieszynie, coś o Śląsku Cieszyńskim z Zaolziem, najczęściej chyba tyle co z Gustawa Morcinka, jeśli kto czytał go w przeszłości (na ile warto sięgać po interpretacje Morcinka dzisiaj?). Ale już Opawa czy Karniów albo Kraj Hulczyński to *terra incognita*... Tymczasem losy czeskiego Śląska były nie mniej dramatyczne i skomplikowane

niż Śląska polskiego. Dotknęły go w szalonym XX stuleciu równie dramatyczne rozdarcia, a ich rozmaite ślady pozostały do dnia dzisiejszego.

Dzisiaj mamy na szczęście sytuację już inną, znacznie pomyślniejszą, gdy granica państwowa stawia raczej coraz częściej nowe wyzwania współpracy. Z naszego, górnośląskiego punktu widzenia skłania także do nowego przemyślenia zapomnianej kulturowej wspólnoty. Podziały graniczne sprawiły, że dawniejsze poczucie wspólnoty w znacznej mierze zatraciło się, chociaż pozostało po nim tak wiele materialnych znaków. Pomniki i kapliczki Nepomuka, czeskiego świętego, znajdziemy po obu stronach granicy, na całym Śląsku. Nigdzie chyba w Polsce nie występują w takiej masowej skali, do czego nawiązuje Zbigniew Kadłubek w eseju *Pejzaż z Nepomukiem*.

W dziesiątą rocznicę wspólnego polsko-czeskiego wejścia do Unii Europejskiej (co nastąpiło 1 maja 2004 roku) zajmujemy się relacjami śląsko-czeskimi i granicą. Pytamy o relacje śląsko-czeskie od czasów najdawniejszych, a także o ich ślady zapisane w pamięci. Czy dzisiaj istnieje i czy odradza się pamięć wspólnego dziedzictwa i poczucie wspólnoty po obu stronach granicy?

Zajmujemy się obszarem dawnego Śląska Austriackiego (z księstwami cieszyńskim, karniowskim, Opawą itp.), a także i przygranicznymi terenami dawnego Śląska Pruskiego (od Raciborza po Nysę), czyli obszarami dzielonymi rozmaicie i wielokrotnie granicami w XX wieku. Jak dzisiaj, po dawniejszych konfliktach, funkcjonuje granica polsko-czeska, czyli śląsko-czeska, szczególnie w wymiarze kulturowym? Jak przedstawiają się stosunki na pograniczu? Co się zmieniło i zmienia na pograniczu po wspólnej dekadzie w Unii Europejskiej? Czy granica zanika? Czy otwiera nowe pola wzajemnej współpracy?

Jak w cieszyńskiej kawiarni Avion przy moście nad Olzą, której długo nie było, ale która powróciła. Najpierw w literackiej legendzie, za sprawą Renaty Putzlacher, Jaroslava Nohavicy i grona cieszyńskich artystów, a potem i realnie. Właśnie w Cieszynie ludzie kultury poszli pierwsi drogą wspólnego myślenia o przyszłości, przełamującą graniczne szlabany przeszłości. Dlatego poświęcamy jej tyle miejsca. A w czytelni Avion po drugiej stronie Olzy jesteśmy dostępni od pierwszego numeru... ■

JAN F. LEWANDOWSKI

ZBIGNIEW KADŁUBEK

PEJZAŻ Z NEPOMUKIEM

Zdobywanie wiedzy o wspólnej przeszłości Czech i Śląska powinno stać się priorytetowym zobowiązaniem, gdy toczą się dyskusje nad śląską tożsamością. Żywe spoiwo łączy Górnoślązaków, Czechów, Morawian.

Spodobał mi się kiedyś pomysł Jeana d'Ormessona, żeby od czasu do czasu, gdy chcemy coś naprawdę przeżyć, odcinać się od historii. Ale nie wiem, czy możemy strategii wychodzenia z historii zawsze zaufać. Coraz bardziej się o tym przekonuję. Gdy chcemy intensywniej przeżyć niezwykłość miejsca i przeszłej chwili, musimy zaczerpnąć z historii. W próbach zrozumienia, jak pracuje tradycja, historia odgrywa znaczącą rolę. Niemożliwością jest uchylanie się od całkowitej odpowiedzialności za historię.

foto: Petr Kinšt, Wikimedia



Nawet pobieżnie wertując korespondencję księdza doktora Augusta Weltzla z Tworkowa, górnośląskiego Tacyta, łatwo się przekonać, z jaką uwagą traktował czeskie źródła czy edycje tych źródeł (np. Franza Kopetzky'ego czy Vinenca

dzają z satysfakcją, że rytm tych miejsc zgadza się z wewnętrznym ich rytmem. Że poddają się spokojniejszemu nurtowi bytu, gdy w Ostrawie oglądają słońce. Że Háj ve Slezsku widzą jak jakiś Raj i minojskie bluszcze. Że doznają lekkości nienazwanej i przyjemnej, że przeżywają niezwykle fenomen czeskości.

I Bliźniacza genetyka kulturowa I

Wcale nie chodzi o czeskie poczucie humoru jako mądry dystans do świata. Ani o rozluźniające mięśnie gładkie działanie szyszek chmielowych. Pogodność – prawdziwa albo wyobrażona – panująca po tamtej stronie granicy udziela się. Są to jednocześnie jak gdyby pierwsze tchnienia śródziemnomorskości, bo za Bramą Morawską (Moravská brana) świeci mocniej światło Południa i rośnie winorośl. Nie widać skulenia człowieczeństwa. Czas płynie inaczej, a ludzie żyją szczęśliwiej i dumniej. Niezależnie od zwykłych smutków ekonomicznych, ekologicznych i politycznych, które globalnie spotkać można wszędzie. Zapytajmy, czy są jakieś podstawy – nazwijmy je właśnie historycznymi – tych egzystencjalnych urzeczeń Czechami?

Odczuwa się bowiem śląsko-czeską więź jako coś rzeczywistego. Trudną początkowo do wytłumaczenia oczywiście, chociaż jak najbardziej historycznie uzasadnioną. Przeżywa się tę sympatię w krajobrazowych łagodnościach morawskich, czeskich, slezskich. Działa historyczna pamięć – albo pamięć zbiorowa, jak to pojmował pierwotnie francuski antropolog Maurice Halbwachs (1877–1945). Przebiegają niewidzialne procesy. Zapoznane, lecz aktualne przymierza potwierdzają czesko-śląskie losy i tożsamości. Nic zmyślnego! Niemal identycznie ukształtowany kodeks wartości zachodniosłowiańskich, który tworzył się przez wieki w kontakcie Czechów i Ślązaków z Europą Zachodnią i w otoczeniu niemieckim.

I działa coś jeszcze. Nie mam pojęcia, jak to nazwać. Może: bliźniacza genetyka kulturowa Czech i Śląska. Ujawnia się wspólność irracjonalna, krew, słowiańskość spowinowacona z Walonami. Wyraźniej swojskość duchowa. Wewnętrzność śląskości bohemizowanej przez kilka wieków dochodzi nagle w tych uświadczeniach do głosu. Przemawiają miejsca, architektura, pejzaż, pojedyncze słowa, zapachy, symboliczne odwzorowania. Perorują pospół rzeki z pagórkami. Mówią głośniejsze od urzędników i ekspertów. Morawica, Opawica, Olza i małe strumyki krzyczą o czymś ważnym. A my rozmawiamy z nimi, jak poeta Paweł Kubisz z Olzą:



fol. Ludek, Wikipedia

Nepomuk w Pradze...

Praska). Nie powinno Górnoślązaków zdumiewać ani dziwić, że się dobrze czują w Czechach i na Morawach. Że się relaksują w Brnie i Opawie. A nawet już tu blisko, w kawiarni koło statuy św. Patryka zaraz przy rynku w karwińskim Frysztacie. Że stwier-



*Płyniesz, Olzo, po dolinie,
Płyniesz jak przed laty;
Takie same na twym brzegu
Kwitną wiosną kwiaty...*

Ach, tę męczącą obcość zostawia się po tamtej stronie Olzy. Gorzki smak cudzości znika za granicą. Choć nieskończona ilość nazwanych i nienazwanych przestrzeni jest nie do podzielenia (granicami, rzekami, kreskami na mapie). Tu stoję, tu na moście w Cieszynie przychodzi mi to do głowy, że bez czeskości tradycja śląska staje się niezrozumiała, manipulowana. Opowiedzenie Śląska bez czeskości to absurd. Sens górnośląskości wychodzi ku mnie z południowej strony.

I Korona św. Wacława I

Pamiętacie *Perłę w koronie* Kazimierza Kutza? Kto nie widział filmu z muzyką Wojciecha Kilara z 1971 roku! Tytuł filmu to czytelna metafora. Śląsk – perła w koronie, ale jakiej? Śląsk – precjoza, ale do której korony wprawione? Wszyscy bez zająknięcia powtarzają, utrwalają, że w tej Koronie (powinno być duże „K”), czyli polskiej Koronie: Korona, czyli Polska, Rzeczpospolita. Ale zapytajmy dokładniej o tę inną koronę, nie filmową, mniej metaforyczną, rzeczywistą i historyczną (z katedry św. Wita w Pradze albo sejf w Zlinie). Chodzi niezawodnie o dwie różne korony. O tę zapomnianą koronę, najprawdziwszy symbol więzi, upomnijmy się w tej chwili.

Święty Wacław żył w X wieku. Rządził Czechami jako wzór chrześcijańskiego władcy od 925 roku. Budował kościoły, zapraszał z Zachodu mnichów, sprowadzał relikwie świętych. Lokował Czechy tak samo w chrześcijaństwie, jak i w europejskości. Zamordował go jego brat Bolesław na zamku w Starym Bolesławiu.

Było tak: „Bolesław przestąpił do Wacława u drzwi. Wacław zobaczył go i rzekł: »Bracie, dobrym byłeś dla nas wczoraj«. Szatan jednak podszepnął Bolesławowi, uczynił przewrotnym jego serce, tak iż wyciągnąwszy miecz, odezwał się: »Teraz pragnę być jeszcze lepszym«. To powiedziawszy, uderzył go mieczem w głowę”. Tak czytamy w *Pierwszej legendzie starostwianiskiej*, utrwalającej autorytet pobożności Wacława, chrześcijańskiego ideału rycerza.

Dlatego nawiązano do jego postaci, budując polityczną tożsamość czeską w XIV wieku. Szmaragdowo-szafirowa korona św. Wacława (koruna svatého Václava) miała być widowym przedłużeniem rządów Wacława. Zrobili ją mistrzowie jubilerscy w 1346 roku na podobieństwo korony

św. Ludwika. W tymże roku awinioński papież Klemens VI poświęcił koronę św. Wacława i zaopatrzył w bullę, która potwierdzała powagę klejnotów, a także przywileje i obowiązki związane z ich noszeniem. Dwudziestu dwu czeskich królów



fot. Julo, Wikipedia

we Wrocławiu

wkładało na swą skroń koronę z relikwią cierniowej korony Jezusa. Ale korona to nie tylko niebiańskie cnoty, lecz także ziemskie panowanie. Pozostaje więc polityczny sens korony św. Wacława. W tym sensie koronę św. Wacława stanowiły



wszystkie krainy, które podlegały czeskim władcom: Czechy, Morawy, Śląsk, Dolne Łużyce i Górne Łużyce.

Już od jakiegoś czasu Śląsk był związany z państwem czeskim, gdy złotnicy przyozdabiali drogo-



w Czeskim Cieszynie...

cennymi kamieniami koronę św. Wacława. Przypomnieć bowiem trzeba, że Śląsk (czyli śląskie księstwa jako swoista federacja, Land Slezién) od 1327 do 1336 roku stopniowo przechodził pod panowanie króla czeskiego. Śląscy książęta, piastowscy

(i niepiastowscy), z nierównym entuzjazmem stawali się lennikami czeskiego króla Jana Luksemburskiego. Lojalność ich była lojalnością lennika (nacechowana zatem religijnie), a nie lojalnością narodową, była rycerskim aktem prymarnym, honorem feudalnym, a nie uczuciem czy przekonaniem. Jesteśmy w średniowiecznej Europie. Książęta śląscy nie zdradzali polskości na rzecz czeskości. Tych kategorii nie wolno tu stosować. Nici relacji śląskich Piastów z Piastami polskimi nikt nie przecinał. Bilateralność: albo polskość, albo czeskość, albo to, albo tamto, to anachronizm, którym można się posłużyć tylko wtedy, gdy odrzuca się dobrą wolę rozumienia czasów przeszłych i poznawania faktów. Zbliżenie się Śląska do Czech to wiele skomplikowanych procesów ekonomicznych, politycznych, rodowo-heraldycznych, cywilizacyjnych.

Jedno nie ulega wątpliwości: Śląsk wprowadzono strukturalnie w krąg kultury czeskiej, administrowania i życia czeskiego. To, co zaczyna odróżniać Śląsk od Polski w tym czasie, to jakieś początki otwierania inny rodzaj pracy: kraje Wacławowe eksportują sukno, a nie zboże (jak Polska) czy bydło (jak Węgry). Czy dzisiejsi Górnślązacy cokolwiek dziedziczą w tej materii? Sadzę, że tak, rozpoznając w sobie krajana Wacławowych.

I Od Husa do Białej Góry I

Do przgód śląsko-czeskich konieczne trzeba zaliczyć husytyzm. Husytyzm – jako żarliwość raczej górnośląska – był aspektem wolności. Kult wolności dość często zyskuje religijny wymiar. Według mnie, husytyzm był wyrazem środkowoeuropejskiego indywidualizmu. „Kiedy zsumujemy i rozważymy wszystkie aspekty ideału wolności – pisze gdzieś Benedetto Croce – nie zawahamy się nazwać go »religią«”. Tutaj chodzi o religię jako przeżywanie wolności. Męczeństwo Jana Husa 6 lipca 1415 roku w Konstancji potwierdzi tę intuicję. Niezlomność chrześcijańską Husa docenił papież Jan Paweł II. Husytyzm, chociaż miał podstawy bezsprzecznie religijne, rewolucyjne, ekonomiczne, jednak przede wszystkim był zjawiskiem duchowym. Potem dopiero bralibyśmy pod uwagę ów format polityczny, a nawet nacjonalistyczny.

Od razu powiem, że w Górnślązakach gdzieś głęboko tkwi trauma najazdów husyckich, wojny husyckie jako zniszczenie, apokalipsa, spalone osady. Często słyszałem w opowieściach: husyci to wcielone diabły. Przerażenie przed niosącymi pożogę wojskami husyckimi programuje się w śląskich „memach” aż po współczesność (przypatknąłby tej hipotezie Daniel Dennett). Ale miała miejsce także sympatia. Na przykład Gliwice albo Głogówek mo-



gą przechowywać zupełnie inną pamięć husytyzmu. Czas husyckiego panowania w Gliwicach Zygmunta Korybutowicza (buńczuczny brata króla Jagiełły) do 4 kwietnia 1431 roku to niezwykle barwna historia, a miasto doszło wtedy do wielkiego znaczenia. Podobnie Głogówek z księciem opolskim Bolkiem V, który stanął po stronie husyckiej. Niewiele było trzeba, aby husytyzm odmienił w ogóle losy Górnego Śląska, gdyby powstało górnośląskie husyckie państwo rządzone przez litewskiego księcia i z panującym czeskim językiem.

Husytyzm przygotował na Śląsku reformację (jeden wiek to zaledwie trzy pokolenia). Pamiętamy zdanie, że każdy protestant w sercu jest husytą (wypowiedziane przez Marcina Lutra). Reformacja zaś na Śląsku to świetność kultury śląskiej, erupcja intelektualna na niebywałą skalę. Dynamika reformacji spotyka się, zauważmy, z habsburską wielokulturowością polityczną, która zaczyna się politycznie w 1526 roku. Czechy są wówczas potężnym państwem, które liczy blisko 5 milionów mieszkańców – mniej więcej tyle, co ówczesna Anglia.

Jednym z ciekawszych fenomenów wykreowanych przez procesy kulturowe wokół reformacji oraz ciśnienie kontrreformacyjne było życie intelektualne Pragi czasów Rudolfa II. Praga rudolfiańska to stolica światowych nowinek, ożywczych idei. Dwór cesarski gromadził najciekawsze i najwybitniejsze umysły epoki, na czele z włoskim filozofem Giordano Brunem, angielskim alchemikiem Johnem Dee oraz duńskim astronomem Tycho de Brahe (zmarł w Pradze w 1601 roku). Do najbardziej wpływowych osobistości dworskich należał Hiszpan, wpływowy legat Wilhelm de San Clemente (1539–1608). To on pierwszy zabiegał o wskrzeszenie kultu świętych w katolickich kręgach szlachty czeskiej i pośrednio przyczynił się do kultu św. Jana Nepomucena.

Po ponad półwiecznym zbilansowaniu sił katolików i protestantów książęta katolicy poczuł się pewniej pod koniec tzw. wojny kolońskiej (o biskupie księstwo Kolonii) w latach 1583–1588. Od tej chwili zaczęto ślepo stosować zasadę z pokoju augsburskiego z 1555 roku: *cuius regio, eius religio*, także jako narzędzie walki politycznej. Nie do zaakceptowania ani przez Czechów, ani przez Ślązaków. „Walka między dworem wiedeńskim a Czechami – pisze Witold Biernacki – toczyła się również na płaszczyźnie religijnej. Pod tym względem Czechy były krajem zupełnie wyjątkowym. Wciąż mocno zakorzenione były tam tradycje husyckie, dzięki czemu również łatwiej dokonywała się recepcja luteranizmu”.

Napięcie pomiędzy frakcją katolicko-hiszpańsko-habsburską a protestantami (pomnymi husyckiej swobody) doprowadziło – jak się można było

tego spodziewać – do wybuchu wojny trzydziestoletniej (1618–1648). To pierwsza wielka wojna w Europie, w której ujawnił się nowy zasób okrucieństwa i – małość człowieka powołującego się na dogmaty. Śląsk staje się jej areną od 3 lipca 1618 ro-



fot. Robert Garstka

w Siemianowicach Śląskich...

ku, gdy stany śląskie we Wrocławiu uchwaliły zaciąg żołnierza do strzeżenia granic z Polską w związku z przewidywaną jej inwazją na Śląsk. A 8 listopada 1620 roku rozegrała się bitwa pod Białą Górą niedaleko Pragi. Po stronie czeskiej, czy-



li króla Czech Fryderyka V, walczyli także Ślązacy i Morawianie.

Bitwę tę określali Ślązacy i Czesi jako *atra dies* – czarny dzień. Był to również dzień symbolicznego braterstwa Ślązaków, Czechów i Morawian (ocenia

wstańców. Obca szlachta, która zastąpiła rodzimą i w Czechach, i na Śląsku, wywrze potem silne piętno na identyfikacji regionalnej i etnicznej. To jeden z powodów „plebeizowania się” kultury zarówno Czechów, jak i Górnślązaków w późniejszym okresie.

I Milczący święty I

Jezuici rozpoczęli działalność w Czechach jeszcze w połowie XVI wieku. Wraz z ich działalnością rozkwitają szkoły i kształcenie na Śląsku, na co mamy wiele dowodów w dokumentach. Ale z czasem nasila się również kontrreformacyjna presja. Ikoną kontrreformacyjnej atmosfery staje się Jan Nepomuk, który został potem świętym. Miał być antidotum na wspomnienie Husa.

Był Nepomuk księdzem, spowiednikiem królowej Zofii Bawarskiej w XIV wieku. Jego ojciec nosił nazwisko Wölflin i był sędzią w Nepomuku, czyli Pomuku (nazwa czeska i niemiecka prawie identyczne, ale jednocześnie sprzecznie się o siebie potykające przedrostkiem „ne”). Zgodnie z przekazem historycznym, król Wacław IV Luksemburski, chcąc poznać sekrety swej żony, kazał w 1393 roku Jana Nepomuka torturować, a jego ciało wrzucić do Wełtawy.

Na Śląsku to właśnie św. Jan Nepomuk jest bohaterem najczęściej uwiecznionym w pomnikach i rzeźbach, chociaż niewielu mieszkańców wie, o kogo chodzi, gdy patrzy na te kapliczki i pomniki. „To je Jön” – mówią. Ale ponieważ postać owego Jana wiąże często z rzeką, to sądzą, że chodzi o św. Jana Chrzciciela, który stoi nad jakimś śląskim Jordaniem. Zapewne Jan Chrzciciel nie całkiem bez sensu się tu pojawia – to przecież patron Wrocławia, śląskiej metropolii. Najczęściej nadawane dawniej imię męskie na Śląsku (Jan, Johannes, Johann, Hans) ma chyba tę proveniencję podwójnie Janową.

Pomnikiem św. Jana Nepomucena nie zaszkodziły systemy polityczne, głupota ani reżimy, a nawet najczystsza niewiara wiernych. Kto wie, może właśnie niewiara sprzyjała mu najbardziej. Gdy dziejowe wściekłe nawałnice przelewały się nad śląskim światem jak fale tsunami, Nepomuki stały sobie jak gdyby nigdy nic. W końcu chodzi o świętego poskramiającego wzburzone fale.

Postawiono mu tyle kapliczek i pomników, że można go uznać za inkarnację śląskiego *genius loci*. Nepomuk jest wszędzie na Śląsku. Od Cieszyna (Czeskiego i Polskiego, kilkanaście przedstawień) po Wrocław (25 przedstawień). W Wodzisławiu Śląskim (10), Głogówku (4), Leśnicy (2), Strzelcach Opolskich (4), Rudzie Śląskiej (7 albo 8), Opolu (tyleż samo), Żorach też tyle, Nysie (3), Studzionce (2, jeden na cmentarzu), Suszcu (z piaskowca, mocno znisz-



fot. Robert Garstka

w Cieszynie...

się, że po 1627 roku Śląsk, Czechy i Morawy musiało opuścić blisko ćwierć miliona protestantów). Dzień, który miał smutne następstwa dla śląskiej szlachty, która wsparła czeskich antyhabsburskich rebeliantów, czyli solidarnie stanęła po stronie czeskich po-



czony), w Rybniku (rekord, około 26, jeden, ten na rynku pod kopułą w renowacji, jak gdyby porywali go właśnie kosmici), Bielsku-Białej (9). W Rudach koło klasztoru, w Lublińcu na rynku, w Tarnowskich Górach (12), tyle samo w Mikołowie, w Toszku (3), a w „husyckich” Gliwicach blisko 20.

Wymieniam bezładnie, wymieniać dałoby się długo. Duża liczba Nepomuków w górnośląskim krajobrazie może świadczyć o trzech rzeczach. O silnych działaniach kontrreformacyjnych, gęstości śląskich rzek i cieków wodnych, ale także o tradycji czeskiej.

Wydaje się, że ciało Nepomuka na pomnikach i malowidłach znajduje się w ruchu spiralnym. Głowę ciągnie jakaś siła do lewego ramienia. Lewe kolano przygięte. Jak w karkołomnym tańcu. Albo jakby chciał śmiesznie dygnąć. Albo może cierpiął na *coxa saltans*. W białej ażurowej komży, w czarnym birecie na trójkątnej głowie (jezuicka moda osiemnastowieczna, choć Nepomuk jezuitą przecież nie był). Z przetrąconym biodrem i wybitym stawem barkowym. Całkiem jak Jakub po walce z Bogiem nad Jabbokiem. Biodro Nepomuka podobno kaci królewscy nadwyreżyli piłą. Ale tamten potok i tamten Jakub daleki, a Nepomuk skończył w Wełtawie.

Jest nad każdym strumieniem i każdą śląską rzeką, przy moście, na rynku. Milczenie Nepomuka: Tacu! Tsst! Milczałem! Straciłem życie z powodu powściągnięcia języka! Nepomuk nakazujący ograniczenie gadaniny. Albo wskazujący na źródłowość śląskiego milczenia. Na Świętą Krainę Milczenia, Sancta Silentii Provincia Kałubka. Ale nie moją, lecz biskupa Wincentego, który wydobył w Kronicy z kulis Śląsk mistyczno-milczący. Milczenie i enigmatyczność Nepomuka, która chromie, chociaż najwyraźniej nie rusza się z miejsca. Krzywizna barokowa na cokole. Poprzekrzywiany świętek. Chudy Laokoon bez brody, bez synów i bez węży.

Nepomuk jak Sfinks u bram miast, w kapliczkach przy drogach. Wszystkim stawiający pytania dziwny piaskowy tancerz. Ale nie takie, jak Sfinks tebański, którego pogrążył Edyp. Nepomuk zadaje trudne zagadki: Kim jesteś – w tym konkretnym miejscu? Co właśnie tutaj robisz? Wiesz, gdzie jesteś? Odpowiedz! A zostaniesz królem! No, królem... Bez przesady. Powiedzmy: kimś! I będziesz u siebie. Miejsca i miasta jak Nepomuk – Sfinks egzaminują nas bez skrępowania z tej jedynej wiedzy: Po co tu przyszliśmy i co tu chcemy robić?

Co tutaj zamierzamy? Pyta nas Jan Nepomucen. Do większej głębi sensu nie dochodzi się bezproblematicznie. Dlatego śląskie i czeskie metafory oglądnijmy na nowo. Wspomnijmy symbole i uczucia. Kartkujmy dzieła historyków.

Skoro Nepomuk jest świętym przeciwpowodziowym, od powodzi ignorancji niech nas dzisiaj chroni. Święty jest krajobraz ze świętym, w śląsko-czeskim świętym zrośnięciu. ■



fot. JFL

...i w Toszku.

Zbigniew Kałubek – profesor, filolog klasyczny i literaturoznawca, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, pisarz i eseista, autor *Listów z Rzymu*

O relacjach śląsko-czeskich w średniowieczu

Miłośnicy przeszłości Górnego Śląska bez wątpienia dostrzegają swoisty cykl jego przynależności politycznej do kolejnych organizmów państwowych: najpierw do Polski, potem Czech, Austrii i Prus (od 1870 – do Niemiec). Przyjrzyjmy się, jak to wyglądało w średniowieczu.

W połowie IX wieku na polecenie jednego z władców frankijskich spisano źródło znane pod nazwą *Geografa Bawarskiego*. Według tego przekazu na późniejszym Górnym Śląsku żyły trzy plemiona, a mianowicie Gołęszyce na południu, zamieszkujący teren od Cieszyna i Skoczowa, przez Racibórz (z grodem w Lubomii) po Grodziec Gołęszycki, czyli dzisiejszy Hradec w Czechach; następnie Opolanie, których siedziby rozciągały się od ujścia Nysy Kłodzkiej do Odry po Olesno na północy, a także po Prudnik i Głogówek na południowym zachodzie, oraz po Koźle i Pyskowice na wschodzie; a pomiędzy nimi, najpewniej w okolicach Głubczyc na Opolszczyźnie, mieszkało tajemnicze plemię Lupiglaa (Głupie Głowy?). Pozostałe tereny Górnego Śląska, w tym okolice dzisiejszych Tarnowskich Gór, Bytomia, Katowic, Pszczyny i Mysłowic, nie zostały wspomniane z tej prostej przyczyny, że wchodziły wówczas w skład ziem późniejszej Małopolski.

Na południe od wymienionych plemion rozwijało się państwo Wielkiej Morawy. Miałoby ono jakoby podbić ziemie na północ od Karpat i Sudetów, więc Górny Śląsk miałby wchodzić w skład tego państwa. Powiedzmy od razu, że twierdzenie to (choć cieszące się trwałością) można włożyć między bajki. Jak wykazują badania archeologów – pod koniec IX wieku ostatni silny władca Wielkich Moraw, Świętopełk, podjął atak na omawiane terytorium, w rezultacie czego doszło do zniszczenia

grodów, które możemy niewątpliwie uznać za gołęszyckie, a mianowicie w Podoborze (koło Cieszyna), w Lubomi i w Syryni koło Wodzisławia. Ten los spotkał też grodziska należące do innych plemion śląskich.

Nie były to zniszczenia spowodowane przez zdarzenia losowe, na przykład pożary, gdyż – po pierwsze, miały one miejsce mniej więcej w tym samym czasie, po drugie, ogień zniszczył umocnienia obronne grodów do warstwy najniższej. Nie ma praktycznie żadnych śladów, które wskazywałyby, że mieszkańcy grodów podejmowali próby ich ratowania, co miałoby miejsce w przypadku kataklizmu. Dowodzi to celowego działania, które mogło podjąć jedynie państwo sąsiadujące z plemionami śląskimi i to w dodatku państwo silne. Taką potęgą było pod koniec IX wieku Państwo Wielkomorawskie.

Przypomnijmy, że warunkiem utrzymania dominacji nad danym terytorium była i jest możliwość utrzymania na nim załogi wojskowej. Zniszczenie grodów powodowało, że Morawianie taką możliwość tracili. W takim razie Świętopełk automatycznie rezygnował (przynajmniej w tym momencie) z pełnego narzucenia swojej zwierzchności plemionom śląskim.

Nasze twierdzenie o braku panowania Państwa Wielkomorawskiego nad terytorium Śląska wydaje się podważać informacja zawarta w *Żywocie św.*



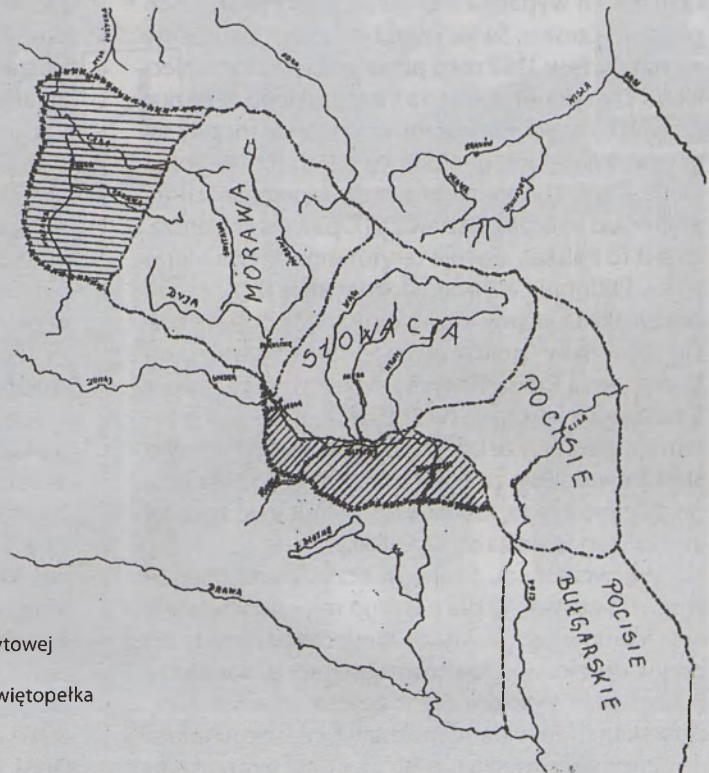
Metodego, zapisana niemal po śmierci apostoła Słowian w 885 roku. Brzmi ona następująco: „Bardzo silny książę pogański, siedzący w Wiśle, urągał chrześcijanom i czynił [im] wiele szkód. A [Metody] wyprawivszy do niego poselstwo powiedział: »byłoby dobrze, mój synu, abyś dał się ochrzcić dobrowolnie, żebyś nie został ochrzczony jako jeniec, w obcej ziemi«”. Pisarz dodał nieco dalej, że tak się stało.

Ten wątek zawiera dwie kwestie: kwestię zależności politycznej (tej wyraźnie brak) oraz pytanie o chrzest: w tym wypadku mieszkańców krainy Wiślan, a w naszym – późniejszego Górnego Śląska.

by się dla misjonarzy oparciem. Brak też u nas śladów tak zwanego rytu słowiańskiego. Chrześcijaństwo przyszło do nas z Rzymu (bez względu na to, za czym pośrednictwem), w łacińskim nurcie, w konsekwencji decyzji Mieszka I.

W roku 1000 miał miejsce – jak zapewne wszyscy wiemy – słynny Zjazd Gnieźnieński: spotkanie cesarza Ottona III z wówczas jeszcze księciem Bolesławem Chrobrym. Wśród wielu podjętych w Gnieźnie decyzji jedna ma dla nas istotne znaczenie: chodzi o akceptację pomysłu powołania do życia archidiecezji w Gnieźnie. Obejmowała swoim zasięgiem terytorium państwa Bolesława, niebawem

Granice Państwa Wielkomorawskiego w jego szczytowej fazie rozwoju w roku 890



- granice Państwa Morawskiego u schyłku panowania Rościława
- xxxx granice Państwa Wielkomorawskiego w szczytowej fazie rozwoju Wielkiej Morawy
- ==== plemiona czeskie podporządkowane przez Świętopełka przed rokiem 885
- //// fragmenty Panonii zajęte przez Świętopełka przed rokiem 885

Faktem jest, że wśród niektórych mieszkańców Górnego Śląska panuje przekonanie, że ich przodkowie przyjęli chrzest już w okresie, gdy na Morawach prowadzili działalność misyjną Apostołowie Słowian, święci Cyryl i Metody. Powiedzmy wyraźnie, że takiej możliwości nie dostrzegamy.

Po pierwsze, po śmierci św. Metodego jego uczniowie, przepędzeni z Moraw, uszli na południe. Nie wyklucza to możliwości docierania tu misjonarzy, jednak ich pobyt mógł przynajmniej początkowo nosić charakter rekonesansu, zaznajamiania z nową nauką. Na stałą działalność misyjną nie tylko brakło czasu, lecz także nie było władcy, który stał-

zwanego Polską. Wśród regionów, które Gnieznu podlegały, był również nasz: ten, który od końca XV wieku będzie określany mianem Górnego Śląska, a który aż do początków XIV wieku nie miał własnej nazwy! Wejście naszego regionu w skład polskiego państwa dokonało się zatem już w momencie jego zakładania.

Można jednak postawić pytanie – czy może była to swoista uzurpacja Mieszka I lub Bolesława Chrobrego? Otóż nie! Zauważmy, że – jeżeli chodzi o organizację kościelną – nasz region od początku był częścią biskupstwa wrocławskiego, które było jednym z biskupstw współtworzących metropolię



gnieźnieńską. Otóż, w tym czasie (a także później) do władzy kościelnej nad naszym regionem nie zgłaszali pretensji ani biskupi prascy, ani ołomunieccy. Zważmy też, że takich pretensji nie zgłaszali zwierzchnicy Pragi, czyli arcybiskupi z Moguncji (Praga stała się bowiem metropolią kościelną dopiero za niemal 350 lat!). Oznacza to, że nikt nie kwestionował przynależności naszego regionu do polskiego państwa lub do grupy plemion, które umownie nazywamy wczesnopolskimi.

Może ktoś rzec, że było to związane z chwilową dominacją państwa Chrobrego – otóż również nie. Był to stan trwały, akceptowany zarówno przez społeczeństwo i tutejszych książąt (nawet w dobie rozbięcia dzielnicowego), jak i sąsiadów z południa, czyli w tym wypadku Morawian, współtworzących państwo czeskie. Świadczą o tym m.in. dokumenty wystawione w 1297 roku przez biskupa ołomunieckiego Dytryka oraz księcia cieszyńskiego Mieszka, w związku ze sporami granicznymi, jakie toczyły się między książętami opolskimi a biskupem. W dokumencie tym Dytryk na temat ziem położonych na północ od linii rzek Ostrawica i Opawica stwierdza, że jest to Polska!, a swoje terytorium nazywa Morawami. Podobnie w swoim dokumencie pisze książę cieszyński. Dodajmy, że stało się to już po zawarciu związków politycznych pomiędzy księciem Mieszkiem a Pragą Wacława II, który w tym czasie bliski był już koronacji na króla Polski! Nie ulega zatem wątpliwości, że książęta późniejszego Górnego Śląska uważali się za Polaków także w dobie rozbięcia dzielnicowego, również ich południowi sąsiedzi uważali ten teren za część Polski.

We wczesnym średniowieczu miało miejsce inne, równie ważne dla naszego regionu wydarzenie. Mianowicie, w latach siedemdziesiątych XII wieku doszło do gwałtownego sporu pomiędzy Bolesławem Wysokim a jego bratem Mieszkiem raciborskim. Ten ostatni pozbawił własnego brata dzielnicę wrocławską, a zarazem był stronnikiem księcia Mieszka Starego. Po stronie Bolesława Wysokiego opowiedział się Kazimierz Sprawiedliwy i wówczas książę raciborski zwrócił Bolesławowi jego księstwo. W zamian w 1179 roku raciborski Piast otrzymał dwie kasztelanie zachodniej Małopolski – bytomską i oświęcimską. W 1202 roku tenże Mieszko zajął jeszcze dzielnicę opolską, której panem był książę Jarosław, i w ten sposób doszło do ukształtowania się terytorium, które pod koniec XV wieku zwano Górnym Śląskiem, współtworzyły go terytoria wymienionych plemion i zachodniej Małopolski.

W 1327 roku nastąpiła zasadnicza zmiana w przynależności politycznej późniejszego Górnego Śląska. Do walki o tron polski przystąpił Jan Luk-

semburski, sukcesor ostatnich Przemysławów na tronie Czech, Wacława II i Wacława III, którzy byli zarazem królami Polski i do tego tytułu Jan się odwoływał. Król Polski Władysław Łokietek – z pomocą węgierską – Kraków co prawda obronił, nie był jednak w stanie zapobiec przejęciu Górnego Śląska przez Luksemburczyka. Od tego czasu region został pod względem politycznym związany z królestwem czeskim.

Jan Luksemburski związał Śląsk z Czechami nie poprzez klasyczny zabór, lecz system hołdów lennych. Dzięki temu zarówno on, jak i jego następcy mogli przejmować poszczególne tutejsze księstwa na własność Korony lub przekazywać je w ręce pożądanym sojuszników. Po raz pierwszy stało się tak już w 1337 roku po uprzednim wymarcu raciborskiej linii Piastów. Wbrew prawu książęciu Raciborza nie otrzymał któryś z bliskich krewniaków zmarłego Leszka raciborskiego, lecz książę opawski i w ten sposób powstało księstwo opawsko-raciborskie.

Zarazem król Jan zezwolił książętom górnośląskim na posługiwanie się w sprawach wewnętrznych polskim prawem książęcym (w źródłach zwanym *ius poloniale*) i ten stan utrzymał się do schyłku epoki.

Pod koniec XIV wieku – w związku z wielkim chaosem w Czechach oraz wojnami domowymi, a potem wojnami husyckimi – księstwa śląskie na ponad 100 lat stały się niemal samodzielne. Prowadziło to do wojen pomiędzy poszczególnymi książętami górnośląskimi, co powiększało panujący bałagan. Złamał samodzielność książąt śląskich dopiero król węgierski Maciej Korwin po zajęciu części Moraw i Śląska (lecz to za jego czasów po raz pierwszy użyto terminu Górny Śląsk). Po jego śmierci tutejsi książęta dawniejszej pozycji już nie uzyskali, stając się w istocie panami ziemskimi – tyle tylko, że w ówczesnej hierarchii postawionymi najwyżej. Obok nich pojawili się właściciele mniejszych domen (zazwyczaj pochodzący spoza Górnego Śląska), tak zwanych państw stanowych niższego rzędu.

Dzielnica weszła w okres głębokiego rozbięcia terytorialnego, ale także wielkiej eksploatacji ekonomicznej jej mieszkańców. Eksploatacja ta nasilała się w okresach wyprzedaży dóbr przez właścicieli państw stanowych, którzy w ten sposób pokrywali swoje długie lub chcieli odzyskać zainwestowane w kupno majątności pieniądze. Ten stan trwał do wojen śląskich w XVIII wieku. ■

Idzi Panic – profesor, historyk, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, zajmuje się głównie historią średniowiecza oraz dziejami Górnego Śląska i Śląska Cieszyńskiego, tłumacz łaciny, niemieckiego i czeskiego

PIOTR PAŁYS

Jak kształtowała się **GRANICA**



Wielki myśliciel rodem z pogranicza śląsko-morawskiego, ksiądz Emil Szramek określił niegdyś Śląsk mianem polsko-niemiecko-czesko-łużyckiego splotu.

Jego granice przez wieki zmieniały się, podobnie jak zakres terytorialny pojęcia „Śląsk”, w XI wieku używany przez Niemca Thietmara jedynie w odniesieniu do okolic Wrocławia, Niemczy i Ślęzy (Pagus Silensis). Jeden z następców czeskiego kronikarza Kosmasa obszar wrocławskiej prowincji kościelnej określił mianem Slansco. Z czasem książęta z obszaru dzisiejszego Dolnego Śląska zaczęli się określać mianem Dux Slesie.

Do wieku XIV Śląsk kończył się więc na Przesiece. Na wschód od niej rozciągał się obszar, którego

władcy określali się już mianem dux Opoliensis, powiększony w 1178 roku o małopolskie kasztelanie siewierską, oświęcimską i bytomską. Dalszy postęp „śląskości” kosztem „opolskości” związany był z tytułaturą kancelarii królestwa czeskiego (w jego granicach znalazły się księstwa tak dolno-, jak i górnośląskie). Powoli tym terminem obejmowane były ziemie cieszyńska, kozielska i pozostałe fragmenty Opolszczyzny. Reminiscencją tych podziałów jest dzisiejsze rozróżnienie na Śląsk Dolny i Górny. To południowym sąsiadom w dużym stopniu za-



wdzięczamy nie tylko nazwę naszej dzielnicy, ale także objęcie nią terytorium dzisiejszego Górnego Śląska.

I Jak Fryderyk II granicę polsko-czeską ustalał I

S poglądając na bieg obecnej linii granicznej polsko-czeskiej na terenie województw śląskiego i opolskiego i zastanawiając się nad jej kształtem, nie sposób nie wspomnieć o wydarzeniach bezpośrednio z dziejami stosunków polsko-czeskich niezwiązanymi. W 1740 roku Prusy rozpoczęły wojnę z Habsburgami. Zawarte we Wrocławiu preliminaria pokojowe mówiły o oddaniu Prusom całości Dolnego i Górnego Śląska z wyjątkiem Księstwa Cieszyńskiego, miasta Opawy oraz obszaru położonego za rzeką Opawą i „wysokimi górami”. Król pruski

niem granic. Problemem na „już” było zagadnienie rozgraniczenia na terenie byłego Księstwa Cieszyńskiego. Porozumienie w tej sprawie lokalne ośrodki narodowe zawarły w listopadzie 1918 roku. Linia rozgraniczenia pozostawiała w rękach polskich powiaty bielski, cieszyński z częścią frysztackiego. Granica ta, odpowiadająca stosunkom etnicznym, nie przetrwała długo.

Już w styczniu 1919 roku Masaryk z Benešem dali swoisty przykład „słowiańskiej wzajemności”, decydując się na akcję zbrojną. Ponieważ Polska toczyła boje w Małopolsce z Ukraińcami i w Wielkopolsce z Niemcami, Czechów powstrzymano dopiero pod Skoczowem. Po zakończeniu walk wyznaczona została linia rozgraniczenia, pozostawiająca w polskich rękach Cieszyn, Frysztat i Jabłonków. Sprawa granicy znalazła się w rękach Sprzymierzonych, którzy za zgodą obu stron po-



Żołnierze francuscy nad Olzą w 1920 roku

Fryderyk II wyobrażał sobie granicę wzdłuż granicy Cieszyńskiego, rzeki Opawicy oraz gór. Do szczytów górskich nie przywiązywał jednak większej wagi, głównie chodziło mu o miasto Karniów. Stało na tym, że Prusy zatrzymają równinę, a szczyty pasma Jesioników pozostaną u Habsburgów.

Wyklócającym się o linię graniczną urzędnikom ani ich władcy nie mogło przyjść do głowy, że wytyczają zręby granicy, która przetrwa likwidację Prus i stanie się podstawą rozgraniczenia całkiem innych organizmów państwowych.

I Burzliwe lata dwudzieste i trzydzieste I

Wraz z odrodzeniem się Polski i proklamowaniem republiki Czechów i Słowaków należało przystąpić do negocjacji nad wyznacze-

stanowili przeprowadzić plebiscyt. Do głosowania jednak nie doszło, a o rozgraniczeniu zadecydowała w lipcu 1920 roku Rada Ambasadorów, za podstawę przyjmując linię Olzy.

Agresja ze stycznia 1919 roku oraz taki, a nie inny podział Cieszyńskiego otworzyły we wzajemnych stosunkach prawdziwą puszkę Pandory. Pierwszy etap wzajemnych stosunków zakończyło polskie ultimatum z września 1938 roku, po którym na krótko odebrano to, co utracono w 1919 i 1920 roku.

Zakres czechosłowackich aspiracji na Górnym Śląsku określony został w listopadzie 1918 roku. Postulowano, aby przyszła granica biegła od miejsc, gdzie Wisła opuszcza Śląsk w kierunku na Orzesze, dalej biegiem Bierawki do jej ujścia do Odry, następnie wzdłuż tej rzeki do Koźła, a stam-



tań drogą na Prudnik, gdzie nad Osobłogą dochodziłaby do granicy czechosłowacko-niemieckiej. Za takim rozwiązaniem przemawiać miały względy etniczne.

Pozyskanie tych terenów przez Czechosłowację miałoby dla niej również znaczenie gospodarcze, przede wszystkim ze względu na złoża węgla kamiennego, rud żelaza, cynku i ołowiu. Wielkie znaczenie przyznawano uzyskaniu Koźla, bo dzięki niemu – po wybudowaniu kanału Odra – Dunaj – można byłoby transportować węgiel z Zagłębia Górnośląskiego do Czech, na Morawy i na Słowację. Rola tego portu rzeczno-żeglownego wzrosłaby jeszcze bardziej z chwilą usławnienia Odry oraz neutralizacji żeglugi i portu w Szczecinie. Dlatego twierdzono, że droga Odrą na Bałtyk jest tak ważna, jak Łabą na Morze Północne.

Przytaczano również argumenty natury strategicznej, podkreślając rolę tak uzyskanego przedpo-

mentem przetargowym. Propozycje zawarte w dostarczonym Niemcom 7 maja 1919 roku projekcie warunków pokojowych należy uznać za sukces. Czechosłowacja miała uzyskać prostokąt pomiędzy Osobłogą a Boguminem, z trzech stron ograniczony starą granicą.

Ostatecznie konferencja pokojowa w Wersalu bezwarunkowo przyznała Czechosłowacji 316 km² wokół Hulczyna z 45 386 mieszkańcami, w większości morawskiego pochodzenia. Mający przypaść Czechom fragment okręgu głubczyckiego włączono do obszaru plebiscytowego, pozostawiając jego przejęcie dopiero w przypadku ewentualnego polskiego zwycięstwa.

Wytyczenie granicy czechosłowackiej w Raciborskiem nastąpiło w 1923 roku. Wówczas zakończyła pracę powołana do ostatecznego jej wykreślenia komisja delimitacyjna. Początkowo two-



Wkroczenie
wojsk czechosłowackich
do Frysztat
w 1920 roku

ła dla obrony przed dwoma większymi sąsiadami – Niemcami i Polską. W trakcie posiedzenia rząd czechosłowacki 2 stycznia 1919 roku dyskutował cztery możliwe warianty ewentualnych roszczeń terytorialnych względem Niemiec. Minimalny zakładał przyłączenie jedynie fragmentu powiatu raciborskiego wraz z przedmiejscem bogumińskim. Kolejne warianty obejmowały fragmenty zagłębia węglowego. W najdalej idącym, czwartym projekcie była mowa o całości górnośląskiego systemu komunikacyjnego, co było równoznaczne z żądaniem większości złóż węgla kamiennego. Na konferencji pokojowej w Wersalu rząd czechosłowacki przedstawił w tej kwestii memoriał zatytułowany *La Haute-Silésie Tchèque-Region de Ratibor*.

Jednak roszczenia na odcinku górnośląskim były dla dyplomacji czechosłowackiej głównie argu-

mentem reprezentanci 5 mocarstw, Czechosłowacji oraz Polski. Zakładano, że po plebiscycie sąsiadem Czechosłowacji na tym odcinku będzie Polska. Ponieważ na skutek interwencji niemieckiej z obszaru, który miała objąć Czechosłowacja, wyłączone zostały Krzanowice, Owsiszcze, Pišť i Hať, jednym z celów przedstawiciela Czechosłowacji było włączenie trzech ostatnich miejscowości w granice Republiki, co znalazło wtedy wsparcie jego polskiego kolegi. W dniu 19 grudnia 1922 roku zapadło postanowienie, że wieś i obszar dworski Hať przyłączone zostaną do Czechosłowacji, a Owsiszcze pozostanie w Niemczech. Decyzję o przynależności miejscowości Pišť podjęto 14 marca 1923 roku, przydzielając ją także Czechosłowacji. Jednocześnie Czesi odstąpili Niemcom osadę Rakowice.



I Czy Stalin obiecał Racibórz Benešowi? I

Sprawa granicy polsko-czechosłowackiej na jej górnośląskim odcinku powróciła w chwili zakończenia wojny. W Cieszyńskim Czesi objęli tereny wyznaczone granicą sprzed 1 października 1938 roku, likwidując z rosyjską pomocą tworzącą się tam polską administrację. W Warszawie kwestię tę uznawano jednak za otwartą. W maju 1945 roku opracowano w Warszawie cztery warianty rozgraniczenia, nawiązujące mniej więcej do linii z roku 1918. Praga z kolei przypomniła roszczenia do południowych połaci Górnego Śląska. Początkowo usiłowano je przedstawić jako jeden z elementów problemu niemieckiego, uznając, że o ostatecznym

wojcżyńskiego i Misteckiego, także Głubczyce, Prudnik, Racibórz, Koźle, Głogówek, Głuchołazy, Nysę, Otmuchów, Paczków, Kłodzko, Wałbrzych, Jelenią Górę i Zgorzelec. Wzywano do utworzenia z ziem śląskich oddzielnej jednostki administracyjnej, przyłączenia do niej Opolszczyzny, Kłodzkiego, Legnickiego, Nyskiego, Świdnickiego, południowej części Wrocławskiego, Rybnickiego, Gliwic oraz całości historycznego Księstwa Cieszyńskiego, czyli także polskich powiatów: cieszyńskiego i bielskiego.

I Czołgi nad Olzą I

W czerwcu 1945 roku oddziały czechosłowackie przekroczyły granicę w Racibor-



Wkroczenie oddziałów polskich do Bogumina w 1938 roku

losie zajętych przez Polskę terenów będzie mogła zdecydować konferencja pokojowa.

Pomysły przyszłej granicy w tym rejonie pojawiały się już w kręgach czechosłowackiej emigracji wojennej. Dyskutowano możliwość oddania zamieszkałych przez Niemców kilku klinów granicznych w zamian za rejony ważne ze strategicznego punktu widzenia, wśród których wymieniono Raciborskie. Zdaniem przedstawicieli armii czechosłowackiej, obsadzona po wojnie przez podległe im wojska strefa okupacyjna powinna obejmować również Raciborskie aż po Koźle. Podobno w grudniu 1943 roku Stalin obiecał Racibórz Benešowi.

W chwili klęski Niemiec apetyty terytorialne środowisk wywodzących się z czeskiej części Śląska mocno się rozrastały. Czechosłowacka Śląska Rada Narodowa ogłosiła Lašský manifest zakładający utworzenie „Czeskiego Śląska”, obejmującego oprócz Opawskiego i Cieszyńskiego oraz przynależnych administracyjnie do Moraw Ostrawskiego, No-

skiem. Jednak scenariusz z 1919 roku nie powtórzył się. Polska wysłała nad granicę 1. Korpus Pancerny. To wystarczyło, aby Czesi zajęte tereny szybko opuścili.

Tymczasem strona polska postanowiła wykorzystać sytuację do załatwienia kwestii granicznej w Cieszyńskim. Marszałek Michał Rola-Żymierski nakazał koncentrującym się siłom po sforsowaniu Olzy zająć rubież od Chałupek począwszy na zachód od Bogumina, Rychwałdu, Podlesia i Szonowy, dalej na wschód od Kaniowic i Bruzowic oraz na zachód od Wojkowic i 2 kilometry od Czadcy. Koncentracja wojsk polskich wywołała po stronie czeskiej konsternację. Praga nakazała swym wojskom wycofać się bez walki. Dopiero interwencja rosyjska powstrzymała polską akcję, lecz i przymusiła Pragę do podjęcia negocjacji. Po stronie polskiej liczone, że ich podstawą będzie pozostawienie po polskiej stronie Karwińskiego Zagłębia Węglowego. Rokowania moskiewskie spaliły jednak na panewce.



Za stołem rokowań obie strony zasiadły ponownie w lutym 1946 roku. Grupa polskich rzeczoznawców przygotowała kolejny pakiet propozycji terytorialnych. W odniesieniu do Cieszyńskiego były to propozycje znacznie skromniejsze. Wariant minimalny miał dać Polsce 444 km², maksymalny zaś 591 km², pozostawiając Czechom zagłębienie węglowe i węzeł kolejowy w Boguminie. W zamian proponowano terytoria do wymiany.

Na Opolszczyźnie było to sześć gromad w Raciborskiem, między granicą a rzeką Cyną, o powierzchni 51 km² z najdalej na wschód wysuniętą miejscowością Bolesław, a w Głubczyckiem 172 km² południowej części powiatu, obejmujące gromady Michałkowice, Posucice, Lubotyń, Dzierżysław,

Prace Polsko-Czechosłowackiej Komisji Mieszanej do wytyczenia istniejącej granicy państwowej uwieńczone zostały umową podpisaną dopiero 13 czerwca 1958 roku. W trakcie jej posiedzeń strona polska wykazywała większą elastyczność, proponując likwidację szeregu niewielkich występów. Inną filozofię prezentowali delegaci czechosłowaccy, dążący do ograniczenia korekt do niezbędnego minimum. Dlatego nie przyjęli propozycji przejścia otoczonej z trzech stron przez ziemie czeskie miejscowości Ściborzyce Wielkie, a także oddania wcinającej się w polskie tereny wsi Vysutá.

Na prace komisji wpływały stosunki między obu państwami i partiami komunistycznymi. W stalinowskiej Czechosłowacji Polska Ochaba i Gomułka



Wódka i Chrościelów. Inny wariant zakładał oddanie Czechom 136 km² w środkowo-zachodniej części powiatu głubczyckiego, a w razie zgody Pragi na większe ustępstwa, środkową część powiatu z Kietrzem i Głubzycami. Polacy gotowi byli zaproponować także rejon Głuchołaz, o powierzchni 64 km². Zakres tych propozycji nijak się jednak miał do apetytów Pragi. Nic dziwnego, że i te negocjacje zakończyły się fiaskiem.

II Delimitacja I

Narzucony Polsce i Czechosłowacji przez Związek Radziecki traktat o przyjaźni i wzajemnej pomocy z 10 marca 1947 roku przewidywał załatwienie spraw pozostających w zawieszeniu, a więc także granicznych, w ciągu dwóch lat. Na rozpoczęcie prac nad ostatecznym wytyczeniem granicy trzeba było poczekać znacznie dłużej. W 1954 roku strona polska zaproponowała wytyczenie granicy, za podstawę przyjmując jej aktualną linię.

postrzegana była jako siedlisko niebezpiecznego rewizjonizmu, które należało izolować.

Długie i żmudne negocjacje polsko – czechosłowackie najbardziej spektakularne wyniki dały w powiecie głubczyckim, gdzie pomiędzy wsią Holasovice a polską Wysoką granica przesunęła się o 1800 metrów, dzięki czemu Czesi zyskali 289 hektarów. Z kolei w powiecie nyskim Skřivankov zamienił się w polski Skowronków, a będący *de facto* przedmieściem Widnawy Krasów stał się czeskim Krasovem.

Dzisiaj granica polsko-czeska nie budzi już emocji. Sprzyja temu jej otwarcie. Pozwala to także bez zbrodnego zaciętrzewienia spoglądać wstecz na wydarzenia, które niegdyś przebieg tej granicy ukształtowały. ■

Piotr Pałys – doktor, historyk Instytutu Śląskiego w Opolu, zajmuje się historią najnowszą, w tym stosunkami polsko-czechosłowackimi XX wieku i problematyką łużycką, redaktor naczelny rocznika „Pro Lusatia”

Widziane z Opawy

Patrząc na problemy pogranicza opawskimi oczami, dojrzymy zmienną mozaikę. U zarania dziejów obszar późniejszego Śląska Opawskiego należał do Rzeszy Wielkomorawskiej, a zamieszkiwało go najprawdopodobniej plemię Golęszyców. W drugiej połowie X wieku tereny te stały się częścią państwa Przemyślidów.

Na południe od Opawy, na dawnym szlaku ziemskim, który najpierw zwał się polskim, a później opawskim, leży zamek Hradec. Według legendy w roku 965 polski książę Mieszko miał się tam spotkać z córką czeskiego księcia Bolesława I – Dobrawą (matką Bolesława Chrobrego). Ich ślub przyspieszył chrystianizację Polski. Informacja o tym spotkaniu oparta jest na zaginionej kronice parafialnej z XVIII wieku.

Można wątpić, czy ślub Mieszka z Dobrawą przyczynił się do trwałej poprawy stosunków polsko-czeskich. Legendy mogą jednak stać się pozytywnym impulsem. W 1965 roku czescy i polscy historycy zorganizowali w Hradcu ważną konferencję pod hasłem „1000 lat przyjaźni czesko-polskiej”. Czytałem niedawno w gazecie, że przed hradeckim zamkiem buduje się „za europejskie pieniądze” fontannę „Dobrawa”, a w polskich Krzanowicach ma powstać fontanna „Mieszko”.

Na przełomie tysiącleci późniejszy Śląsk Opawski opanowali Polacy. Czeska ekspansja, jaka potem nastąpiła, przesunęła granicę na północ. W połowie XIII wieku uformowała się ona na linii: Głuchołazy – Prudnik – Głubczyce – Baborów – rzeka Psina (śl. Cyna) aż do jej zbiegu z Odrą na północ od Tworkowa. Tereny te nazywano Provincia Opaviensis, od miasta Opawa założonego pomiędzy 1210 i 1220 rokiem.

W tym czasie Śląsk Opawski był częścią Moraw. Położenie Opawy w sąsiedztwie granicy przyczyniło się do tego, że stała się miejscem najrozmaitszych konfliktów. Potem Opawa odegrała rolę pośrednika w dążeniach Przemyślidów do pozyskania Śląska. W latach 1273–1274 Przemysł Otokar II, król „żelazny i złoty”, przyczynił się do pojednania między książętami opolskim i krakowskim, deklarował w Opawie „wieczną przyjaźń”, jaka miała łączyć go z księciem krakowskim. Później – również w Opawie

– Przemysł Otokar zawarł porozumienie o wzajemnej pomocy z książętami śląskimi. Jego syn Wacław II, późniejszy król Polski, w 1289 roku zyskał w Opawie sojuszników także wśród Piastów dolnośląskich.

I Konflikty i współpraca I

W roku 1318 powstało Księstwo Opawskie. Książęta opawscy z nieprawej linii Przemyślidów pragnęli prowadzić bardziej niezależną politykę. Opanowanie całego Śląska przez Luksemburgów jako królów czeskich przyczyniło się do zbliżenia Opawy ze Śląskiem. Opawscy Przemyślidzi uzyskali księstwo raciborskie. Znacznie później w Księstwie Opawskim panowali synowie Jerzego z Podiebradów, Maciej Korwin i jego nieślubny syn Jan, a po nim czescy królowie z dynastii Jagiellonów i Habsburgów za pośrednictwem starostów. Książęta karniowscy z rodu Hohenzollernów przenikali na ziemię opolską, raciborską z bogumińską i bytomską. W 1613 roku Księstwo Opawskie stało się lennem Liechtensteinów, którzy po bitwie pod Białą Górą opanowali też księstwo karniowskie. Oba księstwa były już uważane za śląskie.

Polityka książąt opawskich odpowiadała interesom regionu, który mógł się rozwinąć gospodarczo bardziej na obszarze Polski niż na zachodzie, gdzie – tak jak dzisiaj – była większa konkurencja. Córkę pierwszego księcia opawskiego Eufemię wydano za księcia mazowieckiego Siemowita III. Książę Przemek ożenił się z Anną z Łucka na Wołyniu, której brat wydał dokument zwalniający opawskich kupców od opłat celnych. Opawa leżała na szlaku łączącym środkową Europę, przez Kraków i Lwów, ze wschodnim wybrzeżem Morza Czarnego. Handlowano suknem, winem, piwem, przyprawami, solą z Wieliczki. Do dzisiaj mamy w Opawie ulicę Solną,



na której ustawiano stragany z solą. W latach 1392–1506 wśród nowo przyjętych mieszczan krakowskich było 39 obywateli Opawy. Z Krakowa kupcy opawscy wozili wschodnie towary na ziemie czeskie, wino przewozili do Polski przez Głubczyce. Nadwornym budowniczym króla Kazimierza Wielkiego był Mikołaj z Opawy, twórca nowej koncepcji architektonicznej Lwowa. W XV wieku młodzież opawska studiowała głównie w Krakowie.

Kontakty z księstwami śląskimi miały przede wszystkim charakter polityczny i wojskowy, pomagały formować śląską świadomość elit księstw opawskiego i karniowskiego. Dawały również impulsy o charakterze gospodarczym, religijnym i kulturalnym. Dla mieszkańców Opawy Wrocław był często bliższy niż Praga czy później Wiedeń. Już na początku XIV wieku opawscy mieszczenie posiadali majątki we Wrocławiu, za panowania Jana Luksemburskiego centralną postacią w radzie miasta był Jan z Opawy. Natomiast w Opawie działali wrocławscy rzemieślnicy, urzędnicy i lekarze, z których jeden został nawet burmistrzem. Wrocławski zegarmistrz Swelbelin około 1368 roku naprawił opawski zegar astronomiczny.

Z Polską łączy Opawę postać domikanina Marcina z Opawy (zwanego też Martinus Polonus). Pozostawał on w służbie papieskiej w Rzymie. Był autorem bestsellera – *Chronicon pontificum et imperatorum* (*Kronika papieży i cesarzy*). Pod koniec życia został mianowany metropolitą Polski, ale zmarł w drodze do Gniezna (1278). Z kolei Jindřich Polan z Polansdorfu, rodem z Gdańska, został rektorem szkół opawskich i pisarzem miejskim. Był autorem niedokończonych kroniki opawskiej, wywiezionej podczas II wojny światowej do zamku Fürstenstein (Książ), gdzie urywają się jej ślady. Jego syn Amand był teologiem kalwińskim, rektorem uniwersytetu w Bazylei, przyjacielem znakomitego polityka Karola starszego z Żerotina z Jednoty Braci Czeskich.

Opawscy mieszczenie poprosili o spisanie dziejów miasta Abrahama Hosemanna, rodaka z dolnośląskiego Lubania, który z ogromną dozą fantazji w duchu renesansowych fabulatorów sfabrykował dzieje wielu śląskich miast. Ten „schlesischer Lügenschmied” jest też autorem chronologicznej historii Austrii, w której doszukał się przodków cesarza Rudolfa II już w IV wieku po Chrystusie. Otrzymał za to tytuł cesarskiego historiografa.

I Vivat Österreich! I

Po wojnie trzydziestoletniej zarówno handel, jak i kontakty kulturalne osłabły. Przełomem okazał się podział Śląska w roku 1742. Czeska

literatura ubolewa nad stratą „dawnych ziem Korony Czeskiej” jako bogatego regionu, jednak z czeskiego punktu widzenia powinna raczej cieszyć się z utraty obszaru zamieszkałego w większości przez ludność etnicznie polską i niemiecką. Połączenie ziem Korony Czeskiej, jako najważniejszy postulat czeskiej polityki w XIX wieku, nie mogłoby stać się narzędziem forsowania czeskiej hegemonii, gdyby należał do niej cały Śląsk.

W 1742 roku Opawa stała się głównym miastem nowego regionu, z sejmem krajowym i urzędem królewskim. W trzydziestoosobowym sejmie zasiadał m.in. biskup wrocławski. Doszło też jednak do regresu na skutek zerwania więzów z pruskim Śląskiem. Próby zastąpienia szlaków przez Wrocław szlakami przez ziemie czeskie, a konkretnie przez Opawę, nie powiodły się.

W środowisku intelektualnym podział Śląska odczuwany był jako bolesny cios. Opawski historyk Faustyn Ens pisał o zaniku istniejącego ponad tysiąc lat śląskiego charakteru narodowego. Josef von Eichendorff wołał w jednym ze swoich wierszy: „Vivat Österreich!” W ruchach politycznych Niemców na Śląsku Opawskim chyba najbardziej w całej monarchii przejawiały się tendencje do jedności niemieckiej, bez względu na granice państwowe.

Na uniwersytecie wrocławskim byli studenci i nauczyciele z Czech i Moraw. Profesorowie Jan Evangelista Purkyně i František Ladislav Čelakovský odnosili się do pruskich Polaków w duchu wzajemności słowiańskiej. W 1863 roku ukazał się we Wrocławiu zbiór pieśni Polaków na Górnym Śląsku. 11 pieśni jest identycznych z czeskimi, a 102 są bardzo podobne.

Polski ruch narodowy na Górnym Śląsku szukał inspiracji na Śląsku Cieszyńskim. Tam jednak stosunki polsko-czeskie od początkowej antyniemieckiej współpracy słowiańskiej szły w kierunku wzajemnych animozji. Na Górnym Śląsku dochodziło natomiast do współpracy czesko-polskiej. Elity kulturalne Morawców znajdowały oparcie w środowisku polskim, jak to pokazuje przyjaźń Karola Miarki z Cyprianem Lelkiem. Na przykład autorem jednej z broszur, niesłusznie przypisywanej Lelkowi (*Die Tschechen in Preußisch Oberschlesien*), był w rzeczywistości Karol Miarka.

I W nowych czasach I

Po I wojnie światowej Niemcy ze Śląska Opawskiego domagali się samostanowienia, przez co rozumieli przyłączenie do Niemiec. Profesor niemieckiego gimnazjum w Opawie, Richard Patscheider, stał u narodzin teorii nowego śląskiego plemienia i Wielkiego Śląska, do którego



fot. Bogdan Kulakowski

miały należeć także północne Morawy i północno-wschodnie Czechy. Później etnograf z Hlubicza, Ernst Bednara, proponował przywódcy Trzeciej Rzeszy (w liście z 1938 roku), żeby wysunął roszczenia do terenów, które miały być Prusom odebrane przez angielskich pośredników przy wyznaczaniu granic w roku 1742. Znaczna część mieszkańców ziemi hulczyńskiej, przyłączonej do Czechosłowacji w 1920 roku, pragnęła żyć w Niemczech.

Po przewrocie hitlerowskim niemieccy antyfaszyści uciekali do Czechosłowacji. Stworzyli wzdłuż granicy konspiracyjną sieć przemytu literatury antyfaszystowskiej do Niemiec. Opawa należała do węzłowych punktów tej sieci. Agenci gestapo przedostawali się przez granicę i uprowadzali obywateli Czechosłowacji i Rzeszy, których sądzono potem w Niemczech.

Zainteresowanie tymi terenami okazywała również polska dyplomacja. W dokumentach warszawskiego Archiwum Akt Nowych znajduje się trzydziestostronicowy dokument, zatytułowany *Polskość Śląska Cieszyńskiego, Hulczyńskiego, Opawskiego i przyległych części Moraw*.

Po II wojnie światowej strona czeska występowała z roszczeniami dotyczącymi ziem raciborskiej, głubczyckiej i kozielskiej. Jednym z ośrodków tej propagandy była Opawa. W czerwcu 1945 roku czechosłowacka brygada pancerna zajęła – z radzieckim przyzwoleniem – 14 gmin na obszarze między Chałupkami i Rudyszwałdem. Jednak na rozkaz marszałka Jeremienki szybko się wycofała. Znaczna część Morawców, żyjących głównie w powiecie głubczyckim, wysiedlono do Niemiec.

Po roku 1945, a zwłaszcza po 1948, kontakty międzyludzkie po obu stronach granicy zostały ograniczone. Nawet utrzymywanie więzów rodzinnych nie było rzeczą łatwą, co mógłbym pokazać na przykładzie własnej rodziny. Dochodziło natomiast do wymiany delegacji organów partyjnych i państwowych, zawiązywała się „przyjaźń” pomiędzy miastami, szkołami, zakładami przemysłowymi, klubami sportowymi i instytucjami kulturalnymi. Na taką wymuszoną współpracę możemy patrzeć sceptycznie.

Po zasadniczych zmianach politycznych 1989 roku powstał nowy klimat. Upadły bariery ideolo-

giczne, administracyjne i inne. Najrozmaitsze koncepcje współpracy transgranicznej nie zawsze były możliwe do zrealizowania. Pochodzący z Bytomia profesor Heinz Kiefer z Essen przedstawił wizję stworzenia ogólnosląskiego regionu. Burmistrz Opawy był nieco skromniejszy, rozważając możliwości ponownego uruchomienia linii kolejowej z Opawy do Raciborza. Na śląskim pograniczu powstały euroregiony (Opawa jest częścią Euroregionu Silesia).

Po wejściu do Unii Europejskiej za pomocą funduszy unijnych zbudowano niektóre obiekty, rozbudowano komunikację, odnowiono zabytki. Rozwija się wymiana studentów i nauczycieli. Transformacja gospodarcza prowadzi także do podporządkowania interesów regionalnych i państwowych ogólnym tendencjom europejskim. Wywołuje to określone problemy społeczne. Ocena tych procesów będzie zadaniem dla przyszłych historyków.

W średniowieczu i we wczesnej epoce nowożytnej Opawa z powodzeniem wykorzystywała swe położenie geograficzne na granicy. Z powstaniem

nowoczesnego społeczeństwa przemysłowego jej znaczenie malało, aż znalazła się na peryferiach.

Dla historyka zajmującego się regionem wielokrotnie dzielonym granicą państwową położenie pomiędzy dwoma, a w przeszłości nawet kilkoma państwami, jest dużym plusem. Po 1989 roku występowałem na kilkudziesięciu konferencjach na temat historii Śląska. Większość z nich odbywała się w Polsce, wiele w Niemczech i w Austrii, a tylko kilka w Czechach, na ogół w Opawie.

Za najważniejszą uważam wymianę poglądów między niemieckimi, polskimi i czeskimi historykami. Rezultatem było powstanie wspólnej historii Górnego Śląska, wydanej przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Przypuszczam, że stworzyliśmy podstawę dla tych, którzy podejmą w przyszłości kolejne starania w tym zakresie. ■

Przełożył z czeskiego Jacek Illg

Dan Gawrecki – profesor, historyk, b. dyrektor Instytutu Śląskiego w Opawie i Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, wykładowca Uniwersytetu Opolskiego, redaktor i współautor *Historii Górnego Śląska*

Jak Racibórz stracił na znaczeniu

Jeszcze w połowie XIX wieku Racibórz był największym miastem na obszarze obecnego województwa śląskiego. Bogusz Zygmunt Stęczyński w poemacie *Śląsk* sportretował go wówczas jako „miasto starożytne, i obronne, i ludne, porządkiem zaszczytne”.

Dzisiaj Racibórz, położony na południowo-zachodnich peryferiach regionu, znacznie ustępuje rangą głównym ośrodkom województwa. Jego doświadczenia dobrze oddają wpływ przemian cywilizacyjnych i geopolitycznych na zmianę pozycji miast w hierarchii osadniczej.

Na kształt dzisiejszej sieci miejskiej województwa śląskiego, czy szerzej Górnego Śląska, decydujący wpływ miały średniowiecze oraz czasy XIX i XX wieku. W tym czasie powstało ponad 90% ośrodków mających dziś status miasta. Jednak każda faza kreowała innych liderów, czyli najbardziej znaczące ośrodki miejskie.

Do połowy XIX wieku znacznie lepiej zagospodarowana i zaludniona była lewobrzeżna część Odry. Żyzne czarnoziemy Płaskowyż Głubczyckiego mogły wyżywić znacznie więcej osób niż mało urodzajne gleby Wyżyny Śląskiej. Wyższe zaludnienie terenów wiejskich stwarzało z kolei lepsze warunki dla rozwoju miast. Dlatego, jak to obrazowo ujął ongiś Tadeusz Ładogórski: „serce Górnego Śląska nie biło ani w Gliwicach, ani w Bytomiu (Katowice były nędzną wioską), ale na zachodzie w Raciborzu, Nysie, czasem Opolu”.

Ranga Raciborza w okresie średniowiecza, miała źródło głównie w czynnikach funkcji administracyjnej (ośrodka władzy), węzłowego położenia komunikacyjnego oraz siły nabywczej jego rolniczego zaplecza (liczby i zamożności mieszkańców).

Pierwszorzędne znaczenie należy przypisać jego funkcji administracyjno-politycznej. Siedziba książęcego urzędnika (kasztelana) w obronnym grodzie była centrum obszaru, które przyciągało zarówno działalności obsługujące dwór, jak i rolnicze zaplecze grodu, np. handel czy rzemiosło. Dlatego Racibórz był już ważną warownią na śląsko-morawskim pograniczu w 1108 roku, gdy po raz pierwszy wymieniono go w kronikach. Ranga miasta znacznie wzrosła po 1172 roku, gdy stało się sto-

licą księstwa. W drugiej dekadzie XIII wieku w pobliżu siedziby książęcej, ale na drugim brzegu Odry, lokowano na prawie flamandzkim osadę miejską. Była to jedna z pierwszych lokacji miejskich na prawie zachodnim na terenie ziem polskich i pierwsza na obszarze, który od XV wieku określano mianem Górnego Śląska.

Rozwojowi miasta sprzyjało położenie wzdłuż mającego korzenie w epoce antycznej szlaku handlowego, który wiódł przez Bramę Morawską i dolinę Górnej Odry. Wraz z zagęszczaniem się sieci osadniczej Racibórz stał się znaczącym węzłem komunikacyjnym. Tu przecinały się m.in. główne traktory wiodące z Opawy i Morawskiej Ostrawy na północ, a także szlaki z Cieszyna i Nysy. Racibórz był ważnym miejscem wymiany dóbr, usług i idei. O jego randze świadczyły m.in. wysokiej jakości realizacje architektoniczne (np. kaplica zamkowa – perła śląskiego gotyku). Jego znaczenie podnosiły też zakony dominikanów i dominikanek, które preferowały przecież większe ośrodki miejskie.

Pochodząca z czasu średniowiecza hierarchia miast Górnego Śląska nie zmieniała się znacząco aż do początku XIX wieku. Najważniejszą zmianą XIX wieku było powstanie nowego, bardzo silnego „bieguna wzrostu” w trójkącie Gliwice – Tarnowskie Góry – Mysłowice jako konsekwencji rewolucji przemysłowej. Uprzemysłowienie wschodniej części Górnego Śląska – który od połowy XVIII wieku znajdował się w obrębie państwa pruskiego – spowodowało bezprecedensowy wzrost ludności starych, średniowiecznych miast tego obszaru (głównie Gliwic i Bytomia) oraz powstanie nowych, dynamicznych osad miejskich (z Królewską Hutą i Katowicami na czele). Wraz z budową pierwszej linii kolejowej silnie wzrosła rola korytarza transportowego Wrocław – Opole – Gliwice – Katowice – Mysłowice.

Proces przesuwania się punktu ciężkości gospodarki i osadnictwa na wschód miał istotne kon-



sekwencje dla Raciborza, powodując w dłuższej perspektywie zmianę jego relacji z Opolem. Przez kilkaset lat były to równorzędne miasta. Przeprowadzona w 1819 roku przez władze pruskie reforma administracyjna przyniosła utworzenie nowej rejencji górnośląskiej, na stolicę której wybrano Opole. Jednak z Opolem konkurowały przedtem cztery inne miasta, w tym Racibórz. Przesądziła geografia, bo Opole miało najkorzystniejsze, centralne położenie, do tego znajdowało się bliżej Wrocławia, a ponadto najbardziej było oddalone od granicy z Rosją i Austrią.

Dynamiczny wzrost Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego oraz przegrana w rywalizacji o status stolicy rejencji pozostawiły Racibórz nieco na uboczu. Ale tylko trochę. W XIX wieku Racibórz przeobraził się bowiem w duże, wszechstronnie rozwinięte miasto, które u progu 1914 roku nadal pozostawało wiodącym – obok Katowic, Gliwic, Opola i Bytomia – ośrodkiem miejskim Górnego Śląska.

Miasto korzystało z uprzemysłowienia Górnego Śląska, nie ponosząc najbardziej negatywnych jego skutków, a zwłaszcza uniknęło monofunkcyjności. Było ośrodkiem wielu przemysłów (m.in. spożywczego, tytoniowego, chemicznego, metalowego i maszynowego), a jednocześnie silnym centrum usługowym. Jego atrakcyjność inwestycyjna wynikała z korzystnego położenia względem rynków zbytu, dobrej dostępności transportowej, zasobów lokalnych (głównie dla przemysłu spo-

żywczego), a także prorozwojowej polityki władz miejskich.

Przez Racibórz przebiegało główne połączenie kolejowe między dwiema metropoliami środkowej Europy, czyli Wiedniem i Berlinem. Według rozkładu jazdy z 1914 roku Racibórz posiadał cztery bezpośrednie połączenia dziennie ze stolicą Cesarstwa Niemieckiego i CK Monarchii. Znaczenie regionalne Raciborza wynikało m.in. z umiejscowienia w nim Wyższego Sądu Krajowego dla Prowincji Górnośląskiej (a jego siedzibę zaprojektował znany architekt Karl Schinkel).

Bepośrednich przyczyn spadku znaczenia Raciborza należy upatrywać w wydarzeniach i procesach, które miały miejsce w XX wieku. Pierwszym punktem zwrotnym były geopolityczne konsekwencje I wojny światowej. Nowy podział Europy Środkowej oznaczał, że Racibórz pozostał przygranicznym miastem na styku trzech nieprzyjaźnie do siebie nastawionych państw: Niemiec, Czechosłowacji i Polski.

O niemal połowę zmniejszył się obszar powiatu raciborskiego. Jego część południowa, tzw. Kraj Hulczyński, została przyłączona do Czechosłowacji, a część wschodnia znalazła się w Polsce. Osłabły powiązania firm raciborskich z ich dotychczasowymi rynkami zbytu (powiaty rybnicki, wodzisławski oraz duża część Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego), które znalazły się w granicach Polski.



Istotnie zmalała rola raciborskiego węzła kolejowego.

Racibórz utrzymał wprowadzić niektóre funkcje ośrodka regionalnego, ale dynamika jego wzrostu była znacznie słabsza niż stolicy nowo utworzonej Prowincji Górnośląskiej – Opola. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku Opole przegoniło Racibórz pod względem liczby ludności, prawdopodobnie po raz pierwszy w historii.

Prawdziwa katastrofa nadeszła jednak w 1945 roku. W wyniku działań wojennych w marcu 1945 roku, a następnie plądrowania i niszczenia miasta przez żołnierzy radzieckich Racibórz został praktycznie obrócony w perzynę. Przez kolejne pięć lat, pod szczytnym hasłem „cały naród buduje swoją stolicę”, nadal systematycznie niszczone miasto. Ostateczne straty sięgnęły od 60 do 80% zabudowy (w szacunkach różnych autorów). Z przed-

Jego miastem centralnym został Rybnik. Aby zdać sobie sprawę ze skali odwrócenia się relacji między tymi miastami, wystarczy spojrzeć na dane przedstawiające liczbę ludności w przeszłości. Niegdyś Rybnik leżał na ziemi raciborskiej, a dzisiaj Racibórz zaliczany jest przez geografów do policentrycznej aglomeracji rybnickiej.

W ciągu ostatnich 200 lat Racibórz przeszedł zatem długą drogę od głównego miasta peryferyjnego regionu do peryferyjnego miasta rdzeniowego regionu. Nie jest jednak skazany na trwałą marginalizację. Wprowadzić miasto nie ma możliwości powrotu do funkcji pełnionej przed II wojną światową, lecz ma potencjał, który może w przyszłości podnieść jego rangę, przynajmniej w niektórych sferach.

Dzisiaj Racibórz jest silnym ośrodkiem powiatowym o zróżnicowanej strukturze gospodarki. Ja-

Liczba mieszkańców w miastach Górnego Śląska między 1550 a 2012 rokiem

	1550–1600	1787	1855	1910	1939	1960	2012
Gliwice	1 500	1 872	9 425	66 981	117 240	135 270	186 210
Katowice	*	*	2 945	43 173	134 500	269 926	307 233
Nysa	7 350	6 976	12 346	25 938	37 859	23 638	45 232
Opole	2 100	2 802	8 333	33 907	52 977	63 489	121 576
Racibórz	2 500	3 272	9 962	38 424	50 004	32 523	56 084
Rybnik	650	1 246	3 424	11 656	28 498	34 009	140 789

wojennych 850 zakładów przemysłowych i rzemieślniczych przetrwały 23 obiekty.

Zupełnie zmieniła się też struktura etniczna i społeczna mieszkańców. Racibórz z 1950 roku miał niewiele wspólnego z miastem Ratibor sprzed dekady. Liczba mieszkańców, jaką Racibórz posiadał przed wybuchem wojny, została osiągnięta dopiero w połowie lat siedemdziesiątych, w czym jednak wydatnie pomogło znaczne poszerzenie granic miasta.

Zatem utrata potencjału ludnościowego i gospodarczego oraz peryferyjne położenie przy polsko-czechosłowackiej granicy pogrzebały szanse odzyskania przez Racibórz przedwojennego znaczenia. A po wojnie nadal postępował proces spadku roli Raciborza. Było to związane z centralizacją kompetencji w ośrodkach wojewódzkich w okresie PRL, w tym z likwidacją powiatów w 1975 roku.

Jednak najbardziej istotne, trwalsze w konsekwencjach, zmiany zostały spowodowane niebywale dynamicznym wzrostem Rybnickiego Okręgu Węglowego po 1960 roku (czyli dawniejszych wschodnich peryferii Księstwa Raciborskiego).

kość przestrzeni miejskiej i atrakcyjność krajobrazowa strefy podmiejskiej wyróżniają nadodrzańskie miasto na tle wielu innych miast Górnego Śląska. Większość dużych przedsiębiorstw przemysłowych przetrwała proces transformacji, a niektóre w swojej branży są wiodącymi w kraju.

Radykalna zmiana stopnia przepuszczalności granicy między Polską a Republiką Czeską po 1990 roku wpłynęła na istotną zmianę otoczenia, w jakiej funkcjonuje dzisiejszy Racibórz, co umożliwia odrodzenie się powiązań gospodarczych, społecznych i kulturalnych między ziemią raciborską a opawską. Do wyzwań, z którymi muszą się zmierzyć raciborscy liderzy, należy wyludnianie się powiatu raciborskiego (zwłaszcza na lewym brzegu Odry), emigracja młodych mieszkańców oraz spadek znaczenia miasta w sieci powiązań komunikacyjnych. ■

Krzysztof Gwosdz – doktor, geograf, pracownik Instytutu Geografii i Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor książki *Ewolucja rangi miejscowości konurbacji przemysłowej. Przypadek Górnego Śląska (1830–2000)*

WITOLD TURANT

PO TEJ I TAMTEJ STRONIE

Kto żyje na pograniczu, nie zawsze żyje wygodnie czy bezpiecznie, ale zawsze żyje ciekawie. Nie będę się upierał, że to było najistotniejszym powodem, dla którego przeniósłem się w Cieszyńskie, ale z pewnością sprawdza się tu teza o ciekawym życiu.

Nie powiem, że nie wiedziałem nic o okolicy, do której przed dwudziestu siedmiu laty się przeprowadziłem. Wiedziałem co nieco o dziejach tych ziem, po części poprzez historię domową rodu Sabelów, z którego latoroślą, Markiem, przyjaźnię się od wczesnych lat szkolnych. Senior rodu to profesor Władysław Sabela, legenda polskiego hutnictwa. Ewangelickie korzenie tej rodziny pomogły mi zrozumieć odrębny, innowierczy klimat tej ziemi, na której obok siebie koegzystują 23 wyznania.

Wspólne wyjazdy do Wisły, Ustronia, Cieszyna były wstępem do poznawania historii. Nie będę nadużywał określenia „tragicznej”, bo *per saldo* każda historia okazuje się tragiczna; ktoś tonie, ktoś wypływa. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo odcisnęła tutaj swoje zamię wojna trzydziestoletnia, która w dziejach Polski została przyćmiona przez inne wydarzenia. Pamiętać trzeba, że ówczesne Księstwo Cieszyńskie to teren znacznie większy od dzisiejszego Śląska Cieszyńskiego, poprzez splot wydarzeń dynastyczno-politycznych znajdujący się wówczas w granicach cesarstwa austriackiego, którego władca używał tytułu „arcykatolicki”. Tak pozostało aż do kresu monarchii habsburskiej i Cieszyńskie w 1918 roku stało się kością niezgody pomiędzy Republiką Czeską i Polską, niezgody nie wolnej od starć zbrojnych. Z niej powstał termin Zaolzie, oznaczający tę część Śląska Cieszyńskiego, która przypadła Czechom, a którą na krótko w 1938 roku odzyskaliśmy w bardzo nieodpowiednim towarzystwie.

Jak wiele prominentnych i mniej prominentnych rodów cieszyńskich, Sabelowie wywodzą się z Zaolzia. W Ligotce Kameralnej pokazano mi wie-

kowy cmentarz, na którym znajdują się liczne groby z nazwiskiem Sabela pisanym przez jedno „l”, ale te starsze trzymają się wersji z dwoma, jako że korzenie rodu sięgają dalekiej Lombardii. Po obu stronach Olzy znajdziemy, nie tylko na cmentarzach, wiele obco brzmiących nazwisk, takich jak: Vigezzi (przybysze z północnych Włoch), Banot (z Banatu), Omorczyk (kłania się Irlandia i jakiś O'Moore, który zapewne w czasach wojny trzydziestoletniej pozostawił tu swego potomka), Kołder (od angielskiego lub szkockiego Colder) i wiele innych. Nazwiska te powtarzają się, podobnie jak i rdzenie polskie (np. Jiří Cieńciała, minister gospodarki Republiki Czeskiej, nieodżegnujący się od polskości, czy Monika Cieńciała, niegdyś dziennikarka Polskiego Radia w Katowicach) po obu stronach dzisiejszej granicy. Nazwisk o czeskiej genezie także jest sporo.

I Szlaban? Jaki szlaban I

Nie da się jednak przemilczeć faktu, iż historyczne zdarzenia poskutkowały wzajemnymi animozjami i pretensjami. W PRL-u (i nie tylko)



przyjęto zasadę, iż izolacja i brak wymiany poglądów to najskuteczniejszy środek leczenia ran zadanych przez bieg dziejów.

Jednym z pierwszych akcentów zapowiadających nową rzeczywistość był więc protestacyjny w sprawie budowy koksowni w Stonawie, zwołany przez Solidarność Polsko-Czeską, na którym wystąpił m.in. Jaromír Nohavica, czeski cieszynian. Potem był festiwal teatralny „Na granicy”, którego symbolem był złamany szlaban. Kilku czeskich aktorów potraktowało metaforę dosłownie i przeszło w bród przez Olzę. Nie muszę dodawać, że performance miał swój finał na posterunku straży granicznej i przysporzył organizatorom wiele kłopotu, by sprawę załagodzić. Były to wczesne lata dziewięćdziesiąte i o układzie z Schengen nikomu się jeszcze nie śniło.

Po podpisaniu wspomnianego układu znikły posterunki straży granicznej na obu mostach w Cieszynie, a świetnie prosperujące alkoholowe interesy na przejściu granicznym w Lesznej zaczęły gwałtownie podupadać, aż doszły do stanu dzisiejszego, czyli zerowego. Przy mostach jeszcze kantory wymiany walut są oznaką granicznego charakteru Olzy. Jednak gdy my i Czesi będziemy w strefie euro i te oznaki zapewne znikną.

I Sąsiedzkie dąsy I

Wszystko już układa się pięknie? Niekoniecznie. Od czasu do czasu wypływa np. kwestia dwujęzycznych tablic z nazwami ulic czy miejscowości. Nie wszystkie samorządy przyjmują ten obowiązek z entuzjazmem, wskazując, iż po polskiej stronie takich tablic nie ma. Podnosząc tę kwestię radni jakby zapominali, że trudno byłoby znaleźć w Polsce wieś z dominującą ludnością narodowości czeskiej, nie wspominając o gminie.

Warto zatrzymać się przy kwestii etnicznej: otóż liczebność polskiej grupy mniejszościowej maleje. Przyczyn jest wiele – od mieszanych małżeństw, poprzez pewien graniczny koniunkturalizm, po naturalny pęd do poszukiwania lepszego życia poprzez zmianę miejsca zamieszkania. W 1919 roku polonia na tych terenach liczyła ok. 130 tys. dusz, a obecnie ok. 30 tys. Jeszcze przed wojną wiele osób przeniosło się na tereny, które przypadły Polsce. W moich Gorkach Wielkich (wraz z Małymi) jest sporo rodzin, których korzenie sięgają Zaolzia.

Wracając do wzajemnych dąsów, to z kolei Czesi nie byli zadowoleni z rekonstrukcji pomnika tzw. Matki Ślązaczki u stóp cieszyńskiego zamku, upamiętniającego synów ziemi cieszyńskiej w walkach legionów Piłsudskiego. Chodziło, jak mi powiedziano, o to, iż kobieta na cokole, dłuta wybitnego rzeź-

biarza Jana Raszki, za bardzo kieruje swój miecz w stronę Czech. Wiadomo jednak, iż legionści nigdy nie walczyli z Czechami.

Inny problem dał o sobie znać w początkach lat dziewięćdziesiątych. Nasza transformacja gospodarcza przebiegała w szybszym tempie i tzw. place Balcerowicza pełne były rozmaitego dobra, po które również wyruszali nasi sąsiedzi. Lokalna prasa niepotrzebnie publikowała alarmistyczne artykuły, ostrzegające przed masowym wykupem towarów przez czeskich nabywców. Dowodziło to zakorzenienia widzenia handlu w kategoriach gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Dziś rynki po obu stronach granicy działają komplementarnie – równie zwykłym widokiem jest samochód na polskich tablicach przed sklepem we Frydku-Mistku, Czeskim Cieszynie czy w Ostrawie, co czescy klienci w sklepach Skoczowa, Bielska czy nawet Katowic. O żadnych niepokojących sygnałach nie ma mowy, a sprzedający wyglądają na zadowolonych. Wymienny ruch turystyczny stał się oczywistością, choć muszę powiedzieć, że na polskich turystów mogą na szlakach czeskiego Beskidu Śląskiego czyhać pułapki w postaci rollbarów z piwem. Nie korzystałbym z nich zbyt często, bo nawet wyborne czeskie piwo może utrudnić rozkoszowanie się górskim krajobrazem.

I Obserwacje przymostowe I

Poszukując niedawno oferty na rynku nieruchomości, dowiedziałem się, że wśród polskich nabywców zauważa się zainteresowanie działkami budowlanymi i domami w Czechach. Podobno ceny bywają konkurencyjne i dojazd do pracy, np. w okolice Cieszyna czy Bielska-Białej, nie jest kłopotliwy. Bardziej może istotnym zjawiskiem są oferty pracy w Czechach, m.in. dla górników. Polskie kopalnie sąsiadujące z Cieszyńskim zostały zlikwidowane bądź zmniejszyły wydobywanie, a kopalnie w rejonie Karwiny potrzebują rąk do pracy. Dla równowagi, choć to inna branża, niepubliczne zespoły opieki zdrowotnej zatrudniają chętnie lekarzy specjalistów zza Olzy. Dodam, że nasi lekarze wspomagają tamtejszą służbę zdrowia.

Kiedy spoglądam z widokowego punktu na Buczu w stronę wznoszących się na drugim planie gór, nie widzę ich jako czegoś niedostępnego, dalekiego. Dźwięki popularnej także i tu dechovki, które dobiegają z jakiegoś wesela czy festynu, przekonują o prawdziwości tezy o przenikaniu się pogranicznych rzeczywistości. To proces niezbyt spieszny i w dużej mierze metafizyczny. Najważniejsze to nie przeszkadzać. Byłem świadkiem takich prób „uzdrawiania” i „oczyszczania” wza-

jemnych stosunków po obu stronach. Niczego nie zmieniły, a pozostawiły po sobie niesmak i przekonanie, że jeśli ktoś nie jest „stela”, to nic istotnego do delikatnej materii nie wniesie.

Jak każdego przybysza (mieszkam w Górkach dopiero 27 lat i to doprawdy niewiele wobec wieczności, czy choćby dziejów Śląska Cieszyńskiego i jego wspaniałych rodów, niekoniecznie arystokratycznych) nadużywanie pojęcia „stela” mnie czasem irytuje. Jednak określenie to ma swoje drugie dno: zaufajmy przede wszystkim temu, kto zna nasze sprawy do głębi. Natomiast przejawów jakiejś chorobliwej nieufności podczas tych lat nie zauważyłem.

Wróćmy jeszcze na most. Moje obserwacje związane z przewidywanym przez lokalne media i władze wzmożonym ruchem narkoturystycznym

o dziesięć kilometrów więcej niż można nikt się nie upomni, traktowali jak bajkę o żelaznym wilku. Gdy dziś na „wiślanie” wyprzedza mnie auto z czeskimi rejestracjami, jadące powyżej dozwolonej prędkości, nachodzi mnie refleksja, że bracia Czesi jakoś szybko się uczą.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to skromne reminiscencje, jak na dwadzieścia siedem lat. Jeśli to ma być szkic, to muszę na tym poprzestać. Gdybym zaczął rozbudowywać wątki, to należałoby uwzględnić wszystkie przyjaźnie i znajomości, udział w wielu lokalnych przedsięwzięciach, mnóstwo nadzwyczajnych wydarzeń, które mogły mieć miejsce tylko tu. Niekoniecznie miały one związek z nadgranicznym przenikaniem się rzeczywistości. Przyjmijmy, iż poczucie przygraniczności to stan



wśród młodzieży po zliberalizowaniu prawa dotyczącego tzw. narkotyków miękkich w Republice Czeskiej nie przyniosły godnych uwagi rezultatów. Pewna młoda osoba zapytana wprost, czy ona i jej koledzy chodzą przez most żeby zająrać, roześmiała mi się w nos: – Po co? Wystarczy w samym Cieszynie pójść za róg i dostanie się wszystko, czego potrzeba. Wygląda na to, że strach miał wielkie oczy, lecz tak naprawdę trzeba by sięgnąć do policyjnych statystyk.

A jeśli już o policji mowa, to pamiętam ostrzeżenia przed gorliwością czeskiej drogówki. Kiedy zaczął się duży ruch na granicy, wśród kierowców zaczęły krążyć ponure legendy. Nasi kierowcy nie mogli pojąć, że przekroczenie prędkości choćby o dwa, trzy kilometry, to w Czechach już wykroczenie i gdy trafili na odcinek lepszej drogi, gnali bez opamiętania. W ogóle Czesi traktują przepisy prawne bardziej restrykcyjnie i tłumaczenie, że u nas

ducha, który pojawia się i odchodzi, a życie codzienne jest zwyczajne.

Dopiero chwila refleksji, przypadkowa lub zaplanowana, przywołuje ów stan, czy raczej jego świadomość. Ktoś tę rzeczywistość widzi inaczej? Bardzo możliwe. Ktoś postrzega ten stan czy doznaje go w inny sposób? Ma do tego prawo, bo to odczucia bardzo subiektywne. Spora doza subiektywizmu na terenie pogranicznym jest nieunikniona. Tu spotykają się bowiem dwa światy, które powinny ze sobą współistnieć. Jeśli są w stanie osiągnąć to w umyśle jednej osoby, jest szansa, iż może się to udać w skali zbiorowości. ■

Witold Turant – dziennikarz, prozaik, eseista, poeta, przez wiele lat związany z Radiem Katowice, redaktor naczelný miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”, od 1987 roku mieszka w Górkach Wielkich koło Skoczowa

Zaolzie dzisiaj

Zaolzie to używana głównie w Polsce potoczna nazwa zamieszkałej przez Polaków zachodniej części dawnego Księstwa Cieszyńskiego, która obecnie znajduje się w Republice Czeskiej. Obok terminu Zaolzie używa się niekiedy terminu Śląsk Zaolziański.

Jednak oba terminy są niedokładne. Z historycznego punktu widzenia Zaolzie jest tworem świeżej daty. Po podziale Śląska Cieszyńskiego praktyka życia narzuciła konieczność terminu odpowiadającego pojęciu terytorium zabranego Polsce w 1920 roku. W ten sposób powstała nazwa Zaolzie. Ukuto ją pod wrażeniem mostów w Cieszynie i płynącej pod nimi Olzy, dzielącej miasto na dwie części. Można mieć zastrzeżenia do terminu Zaolzie, lecz tradycja i względy praktyczne wymusiły jego stosowanie.

Zatem Zaolzie to pojęcie kojarzone z Polakami i polsnością. Ze zrozumiałych powodów Czesi z nim się nie utożsamiają. Nie lubią i nie uznają go, bo zawarta jest w nim polska perspektywa: „za Olzą”. Kiedy było to możliwe, próbowali nawet zabronić jego używania. Nie istnieje nawet czeskie określenie dla Zaolzia. Stosowany termin Těšínsko jest niejednoznaczny. Natomiast Niemcy stosują określenie Olsagebiet.

W sensie etnicznym Zaolzie jest w ciągłym ruchu, w nieustannej przemianie. Na skład narodowościowy Zaolzia w najnowszych czasach największy wpływ miały jego losy polityczne. W okresie od 1920 roku trzy narody (Polacy, Czesi, Niemcy) były na tym terenie przynajmniej przez pewien czas narodami państwowymi: Czesi (Czechosłowacy) w latach 1920–1938 i od 1945 roku, Polacy w okresie 1938–1939, Niemcy 1939–1945. Niektóre tutejsze nacje odeszły. Zaledwie kilka pamiątek przypomina o społeczności żydowskiej, dla której katastrofą stał się okres okupacji nazistowskiej. Nie

ma już Niemców cieszyńskich, których po wojnie wysiedlono.

Po drugiej wojnie światowej można było odczuć silny wpływ rozwoju gospodarczego regionu i związanych z nim migracji na skład narodowościowy Zaolzia. Historia sprawiła, iż dzisiaj czeską część Śląska Cieszyńskiego, obok dominujących Czechów, zamieszkują Polacy i Słowacy (po podziale Czechosłowacji w 1993 roku stali się nową mniejszością narodową na tym terenie). Dalej Romowie, Grecy, Wietnamczycy i mniej liczne nacje.

Gdy Polacy zaolziańscy mówią o zagadnieniach mniejszościowych Śląska Cieszyńskiego, mają często na myśli tylko sprawy związane z samymi sobą. Z innymi mniejszościami nie chcą być porównywani. Wobec władz czeskich podkreślają swój status autochtoniczny. Ale państwo czeskie traktuje wszystkie mniejszości tak samo, a status mniejszości narodowej posiada aż 13 grup narodowych.

Największym problemem Polaków zaolziańskich jest asymilacja. Bo liczba Polaków zmniejsza się. Zostało to spowodowane dobrowolną i niedobrowolną emigracją, czeską polityką paszportową, manipulacjami przy spisach ludności i wyborach, sztucznym podziałem administracyjnym, rabunkową polityką gospodarczą, polityką rozbudowy czeskich szkół, do których dzieci pozyskiwano najczęściej naciskami ekonomicznymi. W efekcie Czesi pozyskali niemal całą ludność chwiejną narodowo, szczególnie dawniejszą siłę roboczą z byłej Galicji, osiadłą pod koniec XIX wieku w przemysłowym zagłębiu.

Jednak znaczna część Zaolzian ostała się i dokonała się wśród niej „pozytywna selekcja”. Dzisiaj społeczność polska na Zaolziu składa się z ludzi świadomych polskości i dorobiła się wspaniałej elity. Można było korzystać z dobrych stron życia

mi europejskimi – mniejszościom w Republice Czechosłowackiej żyło się relatywnie dobrze.

Zmiany 1989 roku przyniosły możliwość swobodnego rozwoju życia politycznego i społecznego, z czego od razu skorzystali Polacy. Zaistniała potrzeba przeprowadzenia zmian struktur społecznych i politycznych mniejszości polskiej. Znakiem tych przemian było „rozparcelowanie” życia społecznego Polaków, skupionego przedtem w strukturach jedynej polskiej organizacji – Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego (PZKO). Odnowienie działalności niektórych organizacji przedwojennych oraz powołanie nowych wywołało potrzebę koordynacji działań i wspólnej reprezentacji. Dlatego w 1990 roku powstała Rada Polaków, której powierzono koordynację pracy poszczególnych zrzeszeń oraz reprezentację społeczeństwa polskiego wobec władz państwowych. W 1993 roku Rada przekształciła się w Kongres Polaków w Republice Czeskiej (nazwa Rada Polaków pozostała na określenie organu wykonawczego Kongresu). Poszczególne organizacje zgłosiły do Kongresu swój akces, co dało mu mandat podejmowania rozmów z przedstawicielami państwa czeskiego i polskiego. Dotąd zgłosiły akces 32 organizacje, nie tylko z Zaolzia.

W nowym okresie po 1989 roku Polacy zaolziańscy przyczynili się ponadto do założenia Ruchu Politycznego Coexistetia – Wspólnota, wspólnie z innymi mniejszościami w Czechosłowacji. Jego aktywność najwidoczniejsza jest na poziomie lokalnym. Z jego ramienia podczas wyborów gminnych do władz gmin zaolziańskich wchodzi zawsze około 40 przedstawicieli.

Według wyników spisu ludności w 2001 roku Republikę Czeską zamieszkiwało 5, 8% obywateli deklarujących inną niż czeska narodowość, pomijając narodowość morawską i śląską. W tej liczbie znajdowała się grupa Polaków licząca 51 968 osób (0, 5% ludności). Polacy plasują się wśród mniejszości narodowych na drugim miejscu, za Słowakami, a przed

Niemcami. Na Zaolziu żyje obecnie ok. 30 tysięcy obywateli Republiki Czeskiej narodowości polskiej.

Działa sieć polskich placówek szkolnych, składająca się z przedszkoli, szkół podstawowych i szkoły średniej – gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Szkolnictwo polskie skupia się w powiatach Karwina



for. Bogdan Kuliakowski

w demokratycznym państwie, którym niewątpliwie była przedwojenna Czechosłowacja, i którym jest dzisiejsza Republika Czeska. W stosunku państwa do mniejszości polskiej w XX wieku można dopatrzeć się przejawów przymusowej asymilacji, niemniej – zwłaszcza w porównaniu z innymi państwa-



Dla pełnego obrazu należy wspomnieć o działalności jedyne­go profesjonalnego polskiego teatru poza granicami Polski, jakim jest Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie. Zainaugurowała ona działalność w 1951 roku. Dzisiaj poprzez organizację przedstawień objazdowych dociera do większych miejscowości Zaolzia, zapewniając bezpośredni kontakt z żywym słowem polskim i z kulturą macierzystą.

i Frydek-Mistek. W roku szkolnym 2009/2010 szkolnictwo polskie obejmowało 33 przedszkola (762 dzieci), 25 szkół podstawowych (1630 uczniów) i jedną szkołę średnią plus polskie klasy w Akademii Handlowej w Czeskim Cieszynie (488 uczniów). Podobnie wygląda to dzisiaj. Nauka odbywa się w języku polskim, oprócz języka czeskiego (od drugiej klasy), który jest oczywiście obowiązkowy. W trzeciej klasie szkoły podstawowej uczniowie rozpoczynają naukę kolejnego języka obcego (przeważnie angielskiego). Potem placówki szkolne mają obowiązek zaproponowania uczniom kolejnego języka obcego (ostatnio wzrasta zainteresowanie młodzieży językiem rosyjskim).

Utrzymanie szkolnictwa polskiego w możliwie największym zakresie ma podstawowe znaczenie dla zachowania tożsamości narodowej Polaków na Zaolziu. Szkoły i przedszkola to swoiste punkty oparcia, wokół których skupia się życie Polaków w poszczególnych miejscowościach. Szkoły to aktualnie najgorętszy temat polskiej społeczności.

Największą organizacją jest Polski Związek Kulturalno-Oświatowy (PZKO), który założono w następstwie Układu o Przyjaźni i Wzajemnej Współpracy między Polską i Czechosłowacją podpisanego w 1947 roku w Warszawie. PZKO już ponad 60 lat jest nie tylko największą polską organizacją w Republice Czeskiej, lecz również największą organizacją polonijną w Europie. Zrzesza 12 tysięcy członków w 84 kołach (45 kół posiada własny budynek lub świetlicę). Jego posłannictwem jest zachowanie tożsamości narodowej przez pielęgnowanie tradycji miejscowych i propagowanie polskiej kultury.

Najliczniejszą z organizacji, które wznowiły działalność po 1989 roku, jest Macierz Szkolna działająca przy wszystkich szkołach i przedszkolach. Organizacja ma ambicje nawiązania do dorobku swojej przedwojennej imienniczki. Do równie bogatych tradycji nawiązuje harcerstwo. Ze zrzeszeń „branżowych” na uwagę zasługuje Towarzystwo Nauczycieli Polskich. Na początku lat dziewięćdziesiątych, zanim powołano odpowiednie struktury, Towarzystwo praktycznie zastąpiło działania państwa w zapewnieniu nowych podręczników, opracowaniu programów nauczania i w dokształcaniu nauczycieli, opierając się wtedy na możliwości współpracy z Polską. Z kolei Polskie Towarzystwo Medyczne podjęło się zorganizowania pierwszego w czasach demokracji zjazdu lekarzy polskich z krajów Europy środkowej i wschodniej, przy współpracy ze „Współnotą Polską” z Warszawy. Natomiast sukcesy artystyczne na miarę Republiki Czeskiej, a także w Polsce, odnoszą nasze zespoły muzyczne. Wreszcie

Beskid Śląski prowadzi działania w dziedzinie sportu i turystyki.

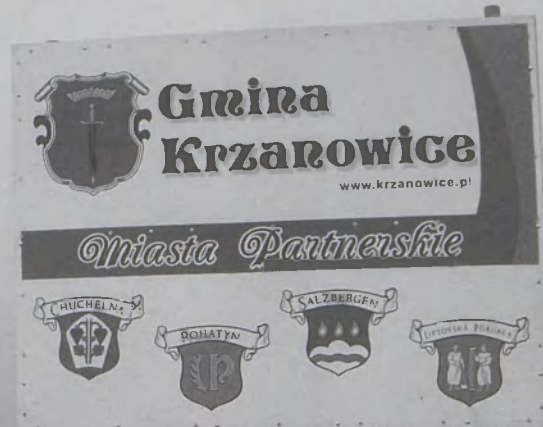
Dla pełnego obrazu należy wspomnieć o działalności jedyne go profesjonalnego polskiego teatru poza granicami Polski, jakim jest Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie. Zainaugurowała ona działalność w 1951 roku. Dzisiaj poprzez organizację przedstawień objazdowych dociera do większych miejscowości Zaolzia, zapewniając bezpośredni kontakt z żywym słowem polskim i z kulturą macierzystą. Zespół Sceny Polskiej składa się zarówno z miejscowych, jak i polskich aktorów i reżyserów. W ciągu 57 sezonów wystawił 400 premier, które obejrzało około 3 miliony widzów. Zespół aktorski liczy obecnie 16 osób, wystawia 6 premier w sezonie, dając około 150 przedstawień rocznie. Niedawno, w 2008 roku, otwarto trzecią scenę: Teatr Lalek Bajka, który poprzednio występował pod auspicjami PZKO.

Duże znaczenie ma prasa polska: wychodzący trzy razy w tygodniu „Głos Ludu”, którego wydawcą jest Kongres Polaków, miesięcznik społeczno-kulturalny PZKO „Zwrot” oraz pisma dla dzieci „Ogniwo” i „Jutrzenka”. Do tego polskie audycje w Czeskim Radio w Ostrawie (od 1950 roku) i wiadomości regionalne po polsku w Telewizji Czeskiej (raz w tygodniu pięć minut).

Na Zaolziu istnieje sieć bibliotek publicznych, w których udostępniane są również polskie książki. Nadzór metodyczny nad nimi sprawuje Biblioteka Regionalna w Karwinie – Oddział Literatury Polskiej. W Czeskim Cieszynie istnieje księgarnia polska, współprowadzona przez Kongres Polaków.

Pomimo wielu starań można jednak zauważyć postępujące zobojętnienie młodszych generacji wobec spraw narodowych. Polacy zaolziańscy, autochtoni, którzy od połowy XIX wieku, tak jak wszyscy polscy Cieszyńscy, przebyli drogę od wspólnoty etnicznej (od „rakuskich Sławian” polsko mówiących) do wspólnoty narodowej, przechodzą od roku 1920, tj. od podziału Śląska Cieszyńskiego, drogę w odwrotnym kierunku, czyli niejako z powrotem do wspólnoty etnicznej, przednarodowej. Żyjąc w świecie innej kultury, obok innego narodu, w innym państwie, tracą powoli atrybuty polskości i zmieniają się w „tustelanów” o polskim pochodzeniu. Niemniej wiele wartości zachowują, na przykład gwarę śląsko-polską, tolerancję religijną i polityczną oraz obycie wielokulturowe. ■

Józef Szymeczek – doktor, historyk, wykładowca Uniwersytetu Ostrawskiego, prezes Kongresu Polaków w Republice Czeskiej (od 2002 roku), mieszka w Końskiej koło Trzyńca



NAD MORAWCAMI ŚWICI SŁUŃCE

Morawska tożsamość sześciotysięcznej gminy Krzanowice koło Raciborza przeżywa wyraźny renesans.

fot. Grzegorz Sztoler

Przez lata była to, wie pan, „taka wiejska gadka”, ludzie wstydzieli się nią posługiwać, a teraz, proszę spojrzeć, wszyscy zobaczyli, że można się przy niej bawić, że świetnie wychodzi na scenie – podkreśla Marian Wasiczek, dyrektor krzanowickiego Miejskiego Domu Kultury, który uważa, że nikt, tak wiele nie zrobił dla tamtejszej morawszczyzny, jak dr Kornelia Lach, twórczyni izby regionalnej, czy pani Bożena Kreis, nauczycielka, która dzięki szkolnemu zespołowi „Krzanowickie omy”, pokazała krajanom piękno morawskiej gwary. Za to są tu cenione.

„Morawska kultura nadal tkwi głęboko w tutajszych ludziach. Tę kulturę trzeba tylko wydobyć, żeby ją przedstawić, wypromować, a przede wszystkim przekazać dalszym pokoleniom” – tak uważa burmistrz Krzanowic Manfred Abrahamczyk.

I Ryneček tonie we mgle I

Prowadzi mnie Debora Kosel, 22-letnia studentka filologii słowiańskiej, tutejsza, Morawianka, która o Krzanowicach, „morawskiej wyjątkowości” tego miejsca, pisze pracę licencjacką. W przyszłości może – jak Bóg da – studia historyczne, może Czechy, może Opole. Parkujemy na rynku, koło okazałej kolumny maryjnej.

„Ta pierwsza data, 1265 rok, to czas założenia Krzanowic, a ta druga, 2001, to data odzyskania praw miejskich” (Krzanowice uzyskały je ok. 1625 roku). Podchodzimy do neobarokowego kościoła św. Wacława przebudowanego po pożarze z 1913 roku. Mijamy kaplicę Nepomucena, którego kult rozpowszechniony jest zarówno na Śląsku i Morawach, jak i w Czechach.



Debora opowiada mi o historii rodzinnych Krzanowic, z zapalem, przeuroczo. Żyje tym miejscem. Opisuje, jak – nie tak dawno jeszcze, za komuny – prześladowani byli mieszkańcy. Wiadomo, blisko granica, a oni zawsze podejrzani, bo Niemcy. „Podjeżdżali, nasłuchiwali, donosili...” – przerywa. „A potem mieszkańcy wzywani byli na posterunek milicji, czy na gminę” – słyszę.

Ale te czasy minęły, przyszłość należy do takich młodych ludzi, jak Debora – otwartych i zakorzenionych w swej ojcowiznie, morawskości. Jednocześnie podkreśla, że jest, że czuje się Morawianką: „Ze Ślązakami łączy nas podobieństwo kulturowe, mamy przecież takie same potrawy, zwyczaję, ale różni nas gwara, słowa. Nasza jest bardziej melodyjna” – mówi, a ja proszę, by „prawiła po swojemu”.

Jedziemy dalej, do kościoła „swateho Mikołasza”, zalanego przez powódź w 1997 roku, koło którego – niedaleko – płynie Biała Woda, wpadająca do rzeki Psiny, Ciny, Cyny [„różnie mówią”, zauważa Debora], stanowiąca granicę „morawszczyzny” na terenie Raciborszczyzny. Przez wieki była rzeką graniczną między diecezją ołomuniecką a diecezją wrocławską. Jest też granicą językową – na południe od niej ludzie posługują się dialektami laskimi, na północ śląskimi. Językoznawcy toczą o nie spory, ale Morawcy nimi się nie przejmują, trafnie rzecz ujmując: „Po Cinu letí vrůna a za ní už vrana”.

Przyleciły wrany,

Powiesiły zwuny.

*Przyleciły pinkawy,
po kostele brzynkały.*

*Przylecieł tam kos
i dziubnął cie w nos!*

[wyliczanka morawska]

Kościół filialny jest zamknięty. „To tu odbywają się konne procesje na świętego Mikołaja, idące z rynku, od kościoła św. Wacława” – wyjaśnia Debora. Pradawnym zwyczajem jeźdźcy trzykrotnie okrążają kościółek Mikołasza, ze śpiewem na ustach [Swaty Mikołaszu nasz, oroduj za nas / Przymówej se za nas. / O swaty Mikołaszu przymówej se za nas]. Medialnie bardziej znane są dziękczynne procesje konne, tzw. Osterreiten, na wielkanocny poniedziałek, z sąsiednich Pietrowic Wielkich. Praktykuje się je także w Bieńkowicach, Sudolach, Zawadzie Książęcej. Z kolei w Pogrzebieniu 4 maja konna procesja czci św. Floriana, patrona strażaków. Towarzyszące procesji rzucanie jajek nawiązuje do gradobicia z 1877 roku, które spustoszyło pola i pozabijało bydło.

„O, mój opa plac zamiato” – zauważa Debora i macha starzykowi, ale ten tak pochłonięty jest sprzątaniami, że nie zauważa nas, chociaż mijamy go dwukrotnie.

Zamiatających place i wjazdy do posesji w sobotnie popołudnie jest więcej. „A tu jest taki pruski ordnung” – żartuje Debora. I ten pruski porządek udziela się nawet „nowym”, których przybywa.

*Szeł chłop do lesa
Bez sekyry, bez pasa.
Urwał se tam jedliczku,
Postawił tam kapliczku.
Przyleciały kawki,
postawiły ławki.*

I Krzanowice, morawska enklawa I

Widzę, że to odrodzenie morawskiej tożsamości trwa już ładnych kilkanaście lat i przyniosło całkiem spory owoc w postaci pokazanego zbioru publikacji. Nawet towarzysząca nam oma, 74-letnia Inga Ehr, ma prawie wszystkie. Dopytuje jedynie o jedną z ostatnich *Jako rządziły i o czym pyrwe śpiwały nasze omy*, z tekstami morawskich pieśni, bo dołączono do niej płytę, na której prezentuje się starsza generacja mieszkanki Borucina.

„Jak pan to chce wszystko o nas napisać?” – dziwi się pani Marcela Szymańska, polonistka z krzanowickiej szkoły, zajmująca się morawskim dialektem, kiedy widzi, że wokół mnie rośnie stos książek, książeczek, broszur wydawanych w Krzanowicach głównie za europejskie fundusze, poświęconych morawskiej kulturze, czy gwarze Krzanowic (autorstwa pani Marceli właśnie), tradycji – słowem ich, krzanowiczanki spuściznie. Jest i książeczka o Nepomucenie, o krzanowickich kapliczkach, jest wydana ostatnio historia tutejszej gminy pióra historyka i samorządowca, Norberta Miki, są publikacje z na-

ukowych konferencji organizowanych przez Miejski Dom Kultury. Troska o spuściznę przodków wypełniana jest w Krzanowicach z nawiązką.

*Engele, menele
Mam szumneho ptaczka.
Ptaczek mi da słamu,
słamu dam krawie.
Krawa mi da mliko...*

Pani Inga Ehr potwierdza moją tezę o morawskim renesansie w Krzanowicach. Kilkunastoletnie wnuki chętnie ją słuchają i nieustannie proszą, by pawiła im po morawsku (nawet zięcia nauczyła morawskiej mowy). Opowiada z humorem, choć historie zupełnie prawdziwe, jak o tym, gdy zaraz po wojnie polszczone im niemieckie nazwiska i imiona (i tak z Ingeborg zrobiła się Inga): „Zaraz po wojnie, w 1947, czy 1948 roku, nie chciałam, ale musiałam chodzić do polski szkoły. Po polsku my nie umieli ani słowa, a w szkole mnie się pytała taka pani, Polka, jak się nazywam. Ingeborg Rossmann, odpediałam. Łup mnie. Powtórzyłam – i zaś dostałam. Zmieniła mi imię na Inga, a z nazwiska wycięła jedno »s« i jedno »n«. Jakby ta polska nauczycielka tu teraz przyszła, zrobiłaby wielkie oczy, bo teraz i po niemiecku, po polsku i po morawsku się mówi, jak przód. Traktowali nas wtedy, z przeproszeniem, jak psów... A i tak do trzeciej klasy my po niemiecku się porozumiewaliśmy. Kto tam na boisku po polsku mówił. Ale jak nas usłyszeli, to my obrywali, wiela razy przyszłach z płaczem do domu. I wszyscy my w rodzinie mieli imiona pozmieniane, z siostry Elfrydy zrobili Alfredę, brat jeden nazywał się Helmut, no to był Józef, a Ginter – Wilhelm...

A po wojnie u nas była placówka graniczna, wojsko było, i Rusy, i Polacy, na koniach rajtowali, a słuchali, kaj kto godał po niemiecku. A już byłś w gminie wołany, abo milicja zaraz przyszła z rykiem: »dlaczego nie uczycie dzieci po polsku!!!«

*Mliko dam kocze.
Koczka mi da mysz,
Mysz dam sorbowi.
Sorba mi da skórku,
Skórku dam garbierzowi...*

Tutejszych, Morawian, jest w gminie Krzanowice większość, ale są zróżnicowani, bo w myśl przysłowia co wieś, to inna pieśń.

„To jest jeden dialekt, laski, on ma wspólne cechy językowe, występuje po obu stronach granicy, polskiej i czeskiej, dlatego nie ma problemów ze zrozumieniem się, a gwara ma to do siebie, że w każdej wsi występują różnice fonetyczne – tłumaczy. – Gwara, czy dialekt morawski, to nasze określenie, ludności autochtonicznej, naukowcy nazywają ten dialekt laskim, a jego nazwa wzięła się od



rozciągającego się w średniowieczu pasa lasów oddzielających Opawszczyznę od Moraw”.

Kiedy pytam, ile osób przyznaje się w gminie Krzanowice do „morawskości”, pani Marcela szacuje ostrożnie, że mniej więcej 1/3 mieszkańców. I okazuje się, że spośród czterech sołectw (Pietraszyna, Borucina, Bojanowa i Wojnowice) i dwutyśięcznych Krzanowic „morawskie” są w zasadzie jedynie Krzanowice, Borucin (najbardziej) i Pietraszyn: „Tylko w tych trzech miejscowościach mówi się tą gwarą łaską – podkreśla pani Marcela. – Granicę stanowi tu rzeka Cyna, za którą mamy gwary śląskie”.

A za Cyną/Psiną znajdują się należące do morawskiej gminy Krzanowice, wsie Bojanów i Wojnowice, które już należą do obszaru gwar śląskich. „Niewątpliwie Krzanowice są ojczyzną »morawszczyzny« – podkreśla autorka opracowania o gwarze Krzanowic. – Ale udało mi się przebadać i odkryć jej ślady także w gminie Krzyżanowice – w miejscowościach Owsiszczce, Nowa Wioska, Tworków, Bieńkowice, Bolesław (w tych trzech miejscowościach gwara morawska zanika, posługują się nią już tylko pojedyncze osoby), a w gminie Pietrowice Wielkie – we wsiach Samborowice i Pietrowice Wielkie. W październiku 2013 roku dotarłam do dwóch rodzin, które znają gwarę łaską, w powiecie głubczyckim”.

*...Garbirz mi da pynize,
pynize dam sedlakowi.*

*Sedlak mi da obili,
Obili dam młynarzowi.*

*Młynarz mi da muku,
muku dam pekarzowi...*

I Jak te omy godają... I

Zasięg „morawszczyzny”, gwar łaskich, na terenie Raciborszczyzny – co odnotował już etnograf Lucjan Malinowski na mapie z 1877 roku, a sto lat później potwierdził wybitny językoznawca Stanisław Bąk – pokrywa się z rzeką Psiną. Te „różnice” wychodzą na konkursach gwarowych, bo zespoły wywodzące się z tego terenu posługują się inną „godką”.

„Wyjątkowe jest to, że tutaj mówimy po morawsku, a geograficznie Morawy są dalej za Ostrawą” – podsumowuje Debora, która chce zająć się fenomenem morawszczyzny (Prajzka) na przykładzie rodzinnych Krzanowic. Prajzsko – tak określa się Śląsk Huczyński, od dawnego panowania Prus na tym terenie. Południowa część Raciborszczyzny znajdowała się w obrębie Kraju Huczyńskiego, którego autochtoni określają się jako Morawcy lub Prajzaci (Prusacy).

Krzanowice są morawskie nawet mimo tego, że ostatnio przybyło „cudzych”, bo okolica piękna i się budują, albo kupują opuszczone domy [pani Inga: „na moji ulicy, co drugi je pusty”], od tych, co do Niemiec powyjeżdżali w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Marcela Szymańska: „Do naszych Krzanowic sprowadza się ludność napływowa, co sprawia, że Morawcy, autochtoni, nie czują się już swobodnie w sklepie, banku, na rynku, w kościele – bo język polski zaczyna dominować...”

Pani Inga: „Jak je październik, różaniec w kościele, to jeden dziesiątek je po polsku, jeden po niemiecku, jeden po morawsku. Ksiondz aż się

uśmiecha. »No to je niemożliwe, żeby te dzieci tak fajnie mówiły po morawsku« – prawi. To je fajnie, no ale niektórzy to potępiają...»

Pani Bożena Kreis, nauczycielka miejscowej szkoły, od której – zdaje się – całe to krzanowickie odrodzenie się zaczęło, przyznaje, że najczęściej mama Debory, pani Jolanta, albo inne krzanowickie omy ją poprawiają. To znaczy, wprowadzają do tekstu scenki stworzonej przez panią Bożenę właściwe słowa i zwroty. Kto próbował sił w pisaniu w jakiegokolwiek gwarze, dialekcie, wie, że to trudne. Tym bardziej, że pani Bożena, przyznaje to sama, z morawszczyzną się osłuchiwała, ale jej „domowym językiem” był polski: „Moja mama za Tarnowem się urodziła, a tata... – zastanawia się. – Tata, nie przypominam sobie, by prawil po morawsku w doma...”

Pani Bożena podpatruje krzanowickich mieszkańców w codziennym życiu. „Jak jo lubię chodzić do lekarza, ale nie żeby się leczyć, ale żeby posłuchać, jak te omy godają, jak one fajnie se rosprowiają, i jak sie zasłuchom, to nawet wchodzić mi się nie chce do tego doktora, ino bych durch słuchała” – przyznaje.

Na każdą imprezę inna scenka, związana z folklorem, życiem codziennym: „Dzieciaki naśladują dorosłych, przebierają się za swoich dziadków [bo są też krzanowickie opy], babki, w ich stroje i grają” – mówi pani Bożena.

Żadna lokalna impreza nie może odbyć się bez krzanowickich omów i opów – podkreślają moje rozmówczynie: „Jak ino sie ktoś pojawi na sali, pyto się, czy zdążył, czy »omy už były?« – słyszę. Pani Inga, po morawsku: „Omy se raduju, plaskaju [kłaskają], ja, ja – to tak było...”

Na pytanie, ile tych występów „Krganowickie omy” mają już za sobą, słyszę głośnie „Jezus Maria!” Po czym pani Bożena zwraca się do pani Marceli, że „trza by to spisać”. A na moje nalegania odpowiada: „W czasie letnich wakacji mieliśmy sześć występów – mówi. – Jo już odmawiam, bo ani jednego weekendu wolnego ni mom” – wzdycha.

W poprzednim roku szkolnym na występy zešlo im 68 godzin, czyli można powiedzieć, że wyjazdów, występów krzanowicki zespół ma ok. 50–60 w roku. Zaangażowanych jest 19 uczniów. Doliczmy próby, a jeszcze do tego tworzenie krzanowickich scenek – z humorem i z folklorem, bo to dewiza pani Bożeny, która mówi wprost, że tworzy kabaret, a nie zespół folklorystyczny. I widać, że ta droga się sprawdza.

I pewno pani Bożena chciałaby odpocząć. Ale kiedy spotyka takiego krajana, który przyjeżdża z Niemiec po dłuższym czasie i wyraźnie wzruszony występem „krzanowickich omów i opów” przybiega, cieszy się, ściska i winszuje, mówiąc: „pisz

dziołcha, pisz, fajnie ci to wychodzi”. To co ma zrobić osoba, która poruszyła lawinę?

„Ta nasza tradycja, tożsamość morawska trwała i trwa, bo przekazywana była i jest przez rodziny wielopokoleniowe” – zaznacza pani Marcela.

...Pekarz mi da chlib,

Chlib dam żebrakowi.

Żebrak mi da almużnu,

Almużnu dam Pam Buczkowi.

Pam Buczek mi da nebo,

A po smyrci fik do nieho!

I Izba w Borucinie I

W Borucinie, a właściwie w „Borzucinie” (po tutejszemu, morawsku), miał mi zostawić dyrektor kilka z tych „konferencyjnych książeczek”. To tutaj odbywają się te morawskie konferencje, bo tu największa sala. Tutejszy dom kultury choć budowany sto lat temu, jeszcze za „Niyemca”, modernizowany za Gierka, trzyma się solidnie.

Kiedy zaglądam na salę widowiskową, w której miały miejsca sesje naukowe, na scenie widzę... ołtarz, a pod nim stajenkę. „Czy... trafiłem do kościoła?” – pytam pana Jurka, który drapie się w głowę. – „Kościół jest w remoncie, grzyb, wszystkie tynki skute – wyjaśnia. – I na razie odprawia się tu. Może to potrwać jeszcze z dwa miesiące”.

Pani Marika, czyli Marysia, pokazuje mi izbę regionalną, stworzoną z tego, co zostało po morawskich przodkach. Tysięczny Borucin zachował najwięcej tej „morawszczyzny”, więcej niż same Krzanowice. „Tam, gdzie jeszcze są starzy ludzie, to coś się znajdzie” – zapewnia mnie pan Jurek, którego szyslon [szezlong] też trafił do tego okazałego już zbioru staroci („a pani Lach nie dała mi go porąbać”). I narzeka, że robi się ciasno, przydałoby się jeszcze jedno pomieszczenie. Ale eksponaty podzielone są prosto i logicznie – izba, sypialnia, kuchnia, a reszta (a więc święte obrazy, mundury strażackie, maselniczki i inne szpargoły) mieści się w przedsionku: „Przychodzą do nas szkoły, przyjeżdżają wycieczki, dosyć często z pobliskich Czech” – opowiada pani Marika.

Wszystko się zmienia, ucieka, a tutaj, w Krzanowicach, próbuje się zatrzymać czas, udokumentować to, co jest „swojskie”, morawskie, dla potomnych. Próbuje pani Bożena, próbuje pani Marcela, próbuje pani Kornelia...

I chyba się udaje..., choć na zewnątrz mgła.

Debora mówi, że jeszcze wczoraj świeciło tu słońce. ■

Grzegorz Sztoler – doktor, historyk, dziennikarz i reportażysta, pracuje jako archiwista w redakcji „Dziennika Zachodniego”

Kim są Ślązacy w Republice Czeskiej?

Nie posługuję się statystykami ani badaniami naukowymi, korzystam z obserwacji życia codziennego, piszę z perspektywy osobistej. Spróbuję naszkicować ogólnie sprawę z punktu widzenia człowieka, któremu ludzie nie są obojętni. W odpowiedzi na pytanie, kim są Ślązacy w Republice Czeskiej, mogę ich poszeregować na kilka kategorii. Zatem po kolei:

Kategoria pierwsza: **Narodowość śląska jako forma kompromisu**

W przeszłości konflikty narodowościowe i terytorialne prowadziły nieraz do podziałów przebiegających także przez poszczególne rodziny. Wtedy deklarowanie narodowości śląskiej bywało i bywa wynikiem jakiejś próby konsensusu, kompromisu. Tacy obywatele są świadomi swego pochodzenia, ale stanowisko zajmują raczej z czeskiego punktu widzenia.

Kategoria druga: **Narodowość śląska jako bunt przeciw centralizmowi**

To osoby odczuwające życie na Śląsku w kontekście politycznym i zaangażowane społecznie, a podstawą ich poglądu jest niechęć wobec centralistycznego stylu rządzenia w kraju. Mówią przeważnie po czesku, a często też po naszymu, czym odróżniają się od pozostałych mieszkańców Republiki Czeskiej. Awersja do czeskiego bywa raczej umiarkowana, na tym samym poziomie co niechęć do polskiego.

Kategoria trzecia: **Śląsk jako znak patriotyzmu regionalnego**

To kategoria wyrażająca swój stosunek do Śląska poprzez patriotyzm regionalny. Należą do niej najczęściej Czesi żyjący na terenie Śląska, nazywający siebie Ślązakami czeskimi. Najczęściej nie posiadają charakteru narodowego śląskiego, ale sporo dumy i zainteresowania historią śląską. Dążą do wspierania regionu w ramach Republiki Czeskiej i współpracy regionalnej ze Ślązakami po stronie polskiej.

Kategoria czwarta: **Mniejszość polska dążąca do łączności z Polską**

To osoby deklarujące narodowość polską, niektórzy myślą czasem o przyłączeniu Zaolzia do Polski, popierając opinię, że Śląsk Cieszyński powinien należeć do Polski. Nie zgłaszają raczej akcesu do narodowości śląskiej. Natomiast mają duży wpływ na kształtowanie się opinii publicznej w regionie, zwłaszcza w swoich środowiskach. Do tej kategorii można zaliczyć nawet niektóre osoby z kręgów akademickich.

Kategoria piąta: **Tacy, co żyją i niczym się nie przejmują**

Prawdopodobnie najliczniejsza grupa. To osoby, które urodziły się jako Czesi, Polacy, Słowacy lub Ślązacy. Jednak narodowość nie jest dla nich zbyt ważna. Rozmawiają takim językiem, jaki w ich środowisku jest im potrzebny. Zdarza się, że mówią płynnie trzema językami i zajmują się sprawami, które są dla nich ważniejsze od dyskusji narodowościowych i bardziej ich pociągają. A ponieważ sentymenty narodowe są dla nich mniej istotne, stwarzają być może nową kategorię, którą będzie można nazwać w przyszłości narodowością europejską. Na przykład: córka ojca, który uczęszczał do polskiej szkoły, i matki pochodzącej z Wołoszczyzny, czuje się Czeszką o krwi polskiej, urodzoną na Śląsku, z dodatkiem wołoskim.

Kategoria szósta: **Antyślązacy**

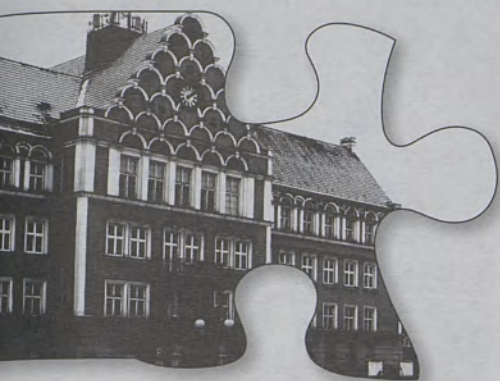
To osoby niedeklarujące narodowości śląskiej, a przeciwnie – mają negatywne nastawienie do mówiących po naszymu lub po polsku, czasami dlatego, że ich nie rozumieją. Należą tu zwłaszcza osoby nie pochodzące z regionu, popierające twarde stanowisko antymniejszościowe, które jednak nie odpowiada charakterowi czeskiemu.

A teraz coś na zakończenie. Z pewnością istnieje wiele innych poglądów, dlaczego ludzie określają siebie Ślązakami, dlaczego interesują się narodowością śląską i fascynują się historią Śląska. Nie jestem ekspertem, tylko człowiekiem żyjącym na Śląsku, pewnie zapominałem o jeszcze innych kategoriach. Są tacy, którzy wywieszają morawskie flagi w śląskich miastach. Są ci, co nazywają się Morawianami i ci co myślą, że Śląsk znajduje się tylko w pobliżu Opawy. I także tacy, którzy sądzą, że wszyscy mówią o Śląsku, skoro oni sami nie mówią o niczym innym. No i wreszcie tacy, którzy nawet nie wiedzą, gdzie Śląsk się znajduje.

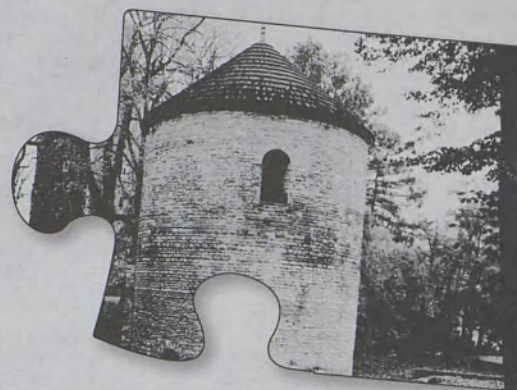
A może nie zajmujemy się aż tak wiele narodowością obywateli, lecz więcej kulturą i historią Śląska. Starajmy się o więcej tolerancji i zrozumienia wobec wszystkich żyjących na Śląsku. Tolerancja, szacunek, godność i wolność to przecież sprawy podstawowe. Jeśli działania społeczne mają być sensowne, to powinny być wolnego ducha. ■

Lukáš Palowský – politolog, pracuje jako technik w ko-

palni, muzyk i poeta, mieszka w Hawierzowie



CZY CIESZYN zrasta się na nowo?



Wśród polskich czechofilów, czyli osób bezkrytycznie zafascynowanych czeską kulturą, popularny i często przytaczany jest pewien dowcip. Polacy powinni wypowiedzieć wojnę Czechom, a później jak najszybciej się poddać.

Humorystyczna wizja przyłączenia Polski do Czech to – w ich przekonaniu – sposób na dołączenie do utopijnej krainy wiecznej szczęśliwości. Obserwacja relacji na pograniczu polsko-czeskim w Cieszynie i Czeskim Cieszynie unaocznia, że – jak przekonywał kiedyś profesor Leszek Kołakowski w książce *Moje słuszne poglądy na wszystko* – także ta utopia nie jest możliwa.

Nie znam drugiego tak rozkochanego w swojej historii polskiego miasta. Nie może być jednak inaczej w miejscu, które swoją strategią promocyjną ukuło wokół obchodów 1200-lecia legendarnego założenia miasta. W mieście, które najmocniej szczyli się obecnością swojej historycznej Rotundy na dwudziestozłotowym banknocie. W mieście, gdzie postać cesarza Franciszka Józefa wykorzystywana jest do sprzedaży produktów gastronomicznych i promocji hostelu.

By zrozumieć miejsce historii w teraźniejszości dzisiejszego Cieszyna, należy uświadomić sobie, że skutecznym pomysłem na promocję znajdującej się przy cieszyńskim rynku odrestaurowanej restauracji „Pod Brunatnym Jeleniem” okazał się 22-minutowy wykonany w technice 3D film, który prezentował historię Cieszyna. Projekt wykonała grupa Virtual Magic przy wsparciu historyków Muzeum Śląska Cieszyńskiego, a jego prapremiera miała miejsce 14 marca 2013 roku. Oglądający mają szansę zobaczyć Cieszyn od czasów jego legendarnego założenia przez Trzech Braci do czasów współczesnych. Jest Księstwo Cieszyńskie, wygaśnięcie dynastii Piastów, pożar Cieszyna, jego odbudowa. Jest książd Leopold Szersznik, założyciel muzeum cieszyńskiego, dzisiejsze Muzeum Śląska Cieszyńskiego, tramwaj.

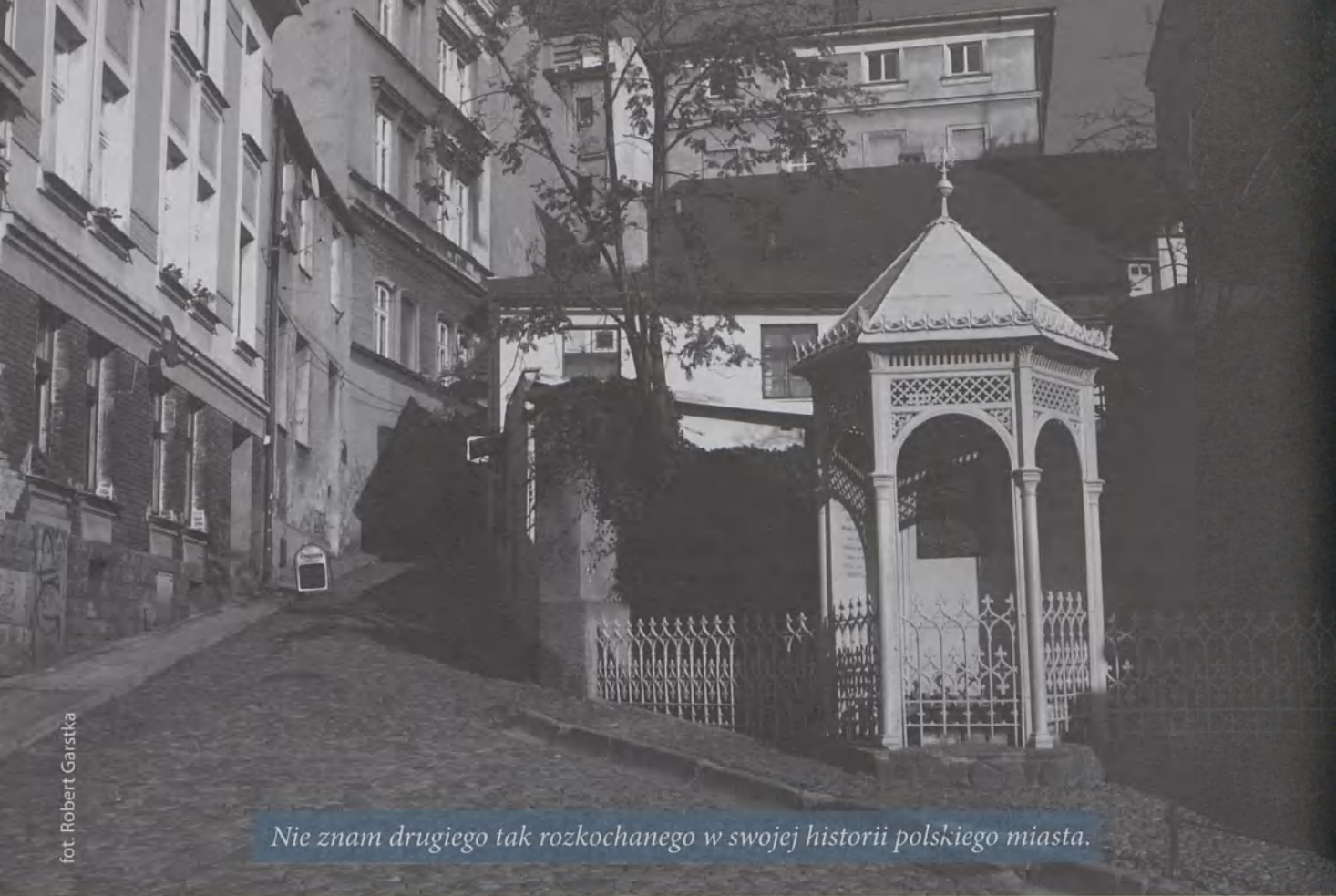
W filmie znajdziemy inscenizację najważniejszych wydarzeń, które miały największy wpływ na losy miasta.

Film w niezwykle sposób (być może przypadkowo) oddaje obecny cieszyński dyskurs nad historią miasta. Można w nim zaobserwować zainteresowanie wiekami dawnymi, które zdają się być nostalgią za czasem minionej chwały. Historia XX wieku w powszechnej świadomości jest słabiej obecna. Podobnie jak w omawianym wcześniej filmie, w którym wydarzenia po I wojnie światowej zostały przedstawione w sposób nad wyraz epizodyczny.

Po upadku cesarstwa i zakończeniu I wojny światowej Cieszyn, jak i cały Śląsk Cieszyński, stał się terytorium spornym pomiędzy Polską i Czechosłowacją. W styczniu 1919 roku doszło nawet do wojny. Powstała jeszcze w październiku 1918 roku w Cieszynie Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego dążyła do przyłączenia regionu do Polski, jednak ostatecznie spór został rozstrzygnięty dopiero przez paryską Radę Ambasadorów w 1920 roku, która arbitralnie podzieliła Śląsk Cieszyński.

Samo miasto Cieszyn zostało podzielone wzdłuż rzeki Olzy, przy czym historyczna część miasta znalazła się w granicach Polski (Cieszyn), zaś przemysłowa z dworcem kolejowym w granicach Czechosłowacji (Czeski Cieszyn). Oddzielenie Cieszyna od dworca kolejowego i terenów przemysłowych zahamowało rozwój miasta. Było jego tragedią w 1920 roku i zmurą w okresie PRL-u do czasu wejścia obu państw do traktatu z Schengen.

Dziś pogranicze czesko-polskie w Czeskim Cieszynie i Cieszynie ogniskuje w sobie wszystkie realne problemy w stosunkach naszych



fol. Robert Garstka

Nie znam drugiego tak rozkochanego w swojej historii polskiego miasta.

krajów. Gdzieś zupełnie na uboczu mainstreamowej narracji polskiego czechofilstwa niczym w soczewce widać konflikty, wzajemne oskarżenia, czasem niechęć, ale też i wzajemną sympatię.

Dzieli nas historia i próba mówienia o niej. W 1920 roku podziału nie dokonano wzdłuż granicy etnicznej, ale politycznej. Historia nas nie rozpieszczała. Dlatego pewnie tak dzieli Ślązaczką z pomnika, stojącego przed Wzgórzem Zamkowym, z mieczem wymierzonym w czeską stronę. Dzieli niedawna mapa wydrukowana w nakładzie 3 tys. egzemplarzy, która zawiera zwięzłe i opublikowane po polsku informacje na temat poszczególnych miejscowości oraz aktywności żyjących w nich Polaków. Dzieli też czeski pomnik i osoba kontrowersyjnego generała Josifa Šnejdárka. W styczniu 1919 roku Šnejdárek dowodził wojskami czechosłowackimi podczas konfliktu zbrojnego o Śląsk Cieszyński. Dla Czechów to bohater, dla Polaków zbrodniarz odpowiedzialny m.in. za zamordowanie 20 naszych żołnierzy w Stonawie. Na pomniku, który znalazł się w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, pojawiły się swastyki, a Czesi o dewastację podejrzewają Polaków.

Ale łączą nas inne rzeczy. Liczne polsko-czeskie inicjatywy kulturalne i infrastrukturalne. Prze-

gląd filmowy Kino na Granicy, który już po raz szesnasty odbędzie się w Cieszynie i Czeskim Cieszynie. Impreza tyle uczyniła dla stosunków polsko-czeskich i walki ze stereotypami, co „The Clash” dla historii punk rocka.

Zbliżają nas spacerowe trasy nad brzegiem Olzy, czeskie place zabaw, z których chętnie korzystają polscy rodzice ze swoimi dziećmi. No i zakupy. Czesi – mimo antypolskiej propagandy w mediach – robią zakupy w polskich sklepach spożywczych. Decydują kurs korony, który sprawia, że Czechom opłaca się kupować w Polsce, i jakość polskich produktów spożywczych. Market budowlany w Cieszynie reklamuje się w języku polskim i czeskim, a zapłacenie w nim w koronach nie stanowi problemu. Polacy często robią zakupy spożywcze po czeskiej stronie – w dni, kiedy polskie sklepy są nieczynne.

Do tego łączy nas też beznadzieja. Peryferyzacja Czeskiego Cieszyna, a zwłaszcza większego i mającego większe tradycje kulturalne czy edukacyjne Cieszyna. Miasto nad Olzą wyludnia się. Padają lub wyprowadzają się stąd kolejne zakłady przemysłowe, za którymi migrują cieszynianie, a absolwenci szkół wyższych pochodzący z Ciesz-



Pomysł integracji Cieszyna i Czeskiego Cieszyna (na zdjęciu) inaczej wygląda z oddali niż z bliska.

na po zdobyciu dyplomu pozostają w Krakowie czy Katowicach, nie łudząc się, że w Cieszynie uda im się znaleźć pracę. Upadek turystyki zakupowej i problemy komunikacyjne Cieszyna pogłębiają tylko jego peryferyjność. Odpowiedzi na to zjawisko – zdaje się – nie mają władze po jednej i drugiej stronie Olzy.

Socjolodzy lubią mówić o Cieszynie i Czeskim Cieszynie w kategorii „dwumieścia” (miast podwójnych), bliskich sobie, wręcz bliźniaczym miast, które leżą po dwóch stronach państwowych granic. W Europie jest ich kilkanaście. Bardzo często – w kontekście takich miast – mówi się o zjawiskach, które prowadzą do ich funkcjonalnego zbliżenia, a nawet połączenia. Dzięki nim tworzą się nowe miejskie organizmy, z dwóch miast powstaje zintegrowany organizm transgraniczny.

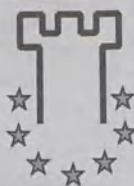
Myślenie w tych kategoriach o Cieszynie i Czeskim Cieszynie zdaje się być pobożnym życzeniem. Najdobitniejszą ilustracją tej tezy jest grupa mieszkańców Czech i Polski, która ostentacyjnie deklaruje brak chęci odwiedzenia swojego sąsiada po drugiej stronie rzeki czy niemożność powołania miejskiej komunikacji, która połączyłaby dwa sąsiednie miasta, mimo że już sto lat temu

miasto łączyła linia tramwajowa. Często pozory obustronnej przyjaźni kupuje się za europejskie pieniądze, gdy do realizacji projektu potrzebny jest po prostu partner po drugiej stronie rzeki. Współpraca polsko-czesko ma często jedynie pozory współpracy, jak choćby niemożność zintegrowania imprez podczas odbywającego się w Czeskim Cieszynie i Cieszynie święta miasta czy wspólnych fajerwerków na sylwestra.

Niedawno ogólnopolskie media poinformowały o powołanym w Czeskim Cieszynie i Cieszynie Porozumieniu Lewicy Cieszyńskiej, do którego przystąpiły lewicowe partie po obu stronach Olzy. Na konferencję, na której ogłoszono powołanie tego politycznego tworu, odczoch przybyli znani polscy i czescy parlamentarzyści. Wygłosili pełne frazesów zdania o potrzebie polsko-czeskiego porozumienia i współpracy. Tymczasem polityczny twór właśnie dogorywa na naszych oczach, bo lokalne struktury partii nie są zainteresowane jego trwaniem. Pomysł integracji Cieszyna i Czeskiego Cieszyna, podobnie jak relacje polsko-czeskie, inaczej wygląda z oddali niż z bliska. ■

Łukasz Grzesiczak – dziennikarz, publicysta portalu o Czechach i Słowacji Novinka.pl.

EUROREGION BESKIDY



EUROREGION
Těšínské Slezsko
Śląsk Cieszyński



AGATA GORAJ

NASZE EUROREGIONY

Idea euroregionów narodziła się w Europie Zachodniej już w latach pięćdziesiątych XX wieku. Potem przez lata sprawdzała się w praktyce. Na granicach Polski euroregiony mogły pojawić się dopiero po przełomie politycznym 1989 roku.

Obecnie w Polsce funkcjonuje 18 euroregionów, z których cztery: Pradziad, Śląsk Cieszyński, Silesia i Beskidy, działają na obszarze Górnego Śląska. Powstawały stopniowo od 1997 roku, obejmując południowe tereny województw śląskiego i opolskiego. Dzisiaj mają za sobą przeważnie po kilkanaście lat działalności, w tym dziesięciolecie wspólnego, polsko-czeskiego uczestnictwa w Unii Europejskiej od 2004 roku.

Po upadku komunizmu w 1989 roku świat, stając się wielobiegunowy i bardziej otwarty, zmieniał również kształt i oblicze górnośląskiej ziemi. Decentralizacja koncepcji i struktur państw (za)planowanych centralnie wpłynęła na zmiany w myśleniu o obszarach postrzeganych jako pograniczne i peryferyjne. Transformacja wywołała zmiany nie tylko ustrojowe, ale i mentalne. Dawniej granice stawiała przed regionami nieprzekraczalne bariery. Propagandowa przyjaźń w ramach bloku komunistycznego zamiast jednoczyć, pogłębiała raczej trudności we wzajemnych kontaktach. Dopiero zmiany systemowe przyniosły narzędzia niezbędne przy budowie autentycznych relacji przygranicznych, w tym polsko-czeskich i polsko-słowackich.

Nie nastąpiło to od razu. Pierwsze inicjatywy, podejmowane na początku lat dziewięćdziesiątych przez rozmaite stowarzyszenia szukające współpracy z podobnymi sobie po drugiej stronie granicy, miały najpierw charakter indywidualny, a dopiero z czasem przybierały kształty sformalizowane. Szybko okazało się, że razem łatwiej jest podejmować starania o pieniądze: państwowe i europejskie. Dlatego pograniczne regiony chętnie instytucjonalizowały wspólne działania, a gdy stało się to możliwe, utworzyły euroregiony.

Na gruncie śląskim euroregiony wpłynęły na zwrot ku problematyce regionalizmu w dobie glo-

balizmu. Wejście w struktury unijne zredefiniowało nie tylko euroregiony, ale i myślenie o Górnym Śląsku jako regionie. W przeszłości krainę dzieliły granice i to na wielu płaszczyznach (politycznej, społecznej, ekonomicznej, kulturowej), co pozostawiło urazowe ślady do przepracowania. Jako rana polsko-czeskiej historii granica w procesie integracji ulega zbliznieniu. Niewątpliwie euroregiony otwierały jednak przede wszystkim nowe myślenie o przyszłości, niewątpliwie w euroregionach chodzi szczególnie o perspektywy przyszłości.

Dzisiaj można powiedzieć, że współpraca transgraniczna Polski i Czech w procesie europejskiej integracji wprowadziła z pewnością zmiany jakościowe. Siła ciężenia sąsiednich regionów, dzięki oddziaływaniu prawzorów europejskich, zmieniła natężenie pozytywnej pracy przygranicznej, pomimo głosów eurosceptyków.

Jednak rosnący entuzjazm, który pojawił się w początkowej fazie, po 2004 roku z czasem opadł. Długotrwałe procesy, pochłaniające spore nakłady finansowe i społecznego zaangażowania, po pierwszej dekadzie domagają się podsumowania, a pewnie i nowego spojrzenia w stronę przyszłości.

Dlatego po 10 latach wspólnego uczestnictwa w Unii Europejskiej zapytaliśmy, jak się mają nasze euroregiony. Zwróciliśmy się do osób reprezentujących po stronie polskiej cztery euroregiony o refleksje na temat ich dnia dzisiejszego i przyszłości.

Wypowiadają się: Marcin Filip z Euroregionu Beskidy z siedzibą w Bielsku-Białej, Daria Kardaczyńska z Euroregionu Silesia z siedzibą w Raciborzu, Bogdan Kasperek z Euroregionu Śląsk Cieszyński z siedzibą w Cieszynie i Radosław Roszkowski z Euroregionu Pradziad z siedzibą w Prudniku. ■



Marcin Filip – dyrektor Biura Euroregionu Beskidy w Bielsku-Białej, zajmuje się wdrażaniem funduszy transgranicznych, promocją turystyczną Beskidów i rozwojem jakości turystyki



Daria Kardaczyńska – dyrektor sekretariatu Stowarzyszenia Gmin Dorzecza Górnej Odry Euroregionu Silesia

Jesteśmy najmłodszym euroregionem na granicy polsko-czeskiej i jedynym w województwie śląskim działającym na podstawie kooperacji trzech państw. Do Polaków i Czechów dołączyli bowiem także Słowacy, dzięki którym współpraca nabrała niepowtarzalnego charakteru. Wspólnym mianownikiem integracji są góry Beskidy. Właśnie specyfika życia na terenie o podobnej topografii, specyficznym klimacie, pięknej przyrodzie i charakterystycznej kulturze wzbudziła w mieszkańcach chęć bliższej współpracy i wzajemnego poznania się, bez względu na bariery administracyjne czy prawne. Pragnienie złagodzenia tych barier stało się mottem przewodnim twórców Euroregionu Beskidy. Zdajemy sobie sprawę, że granice państwowe muszą istnieć, ale nie powinny być barierami przygranicznej integracji.

Niemal od początku zachodzące w polskich euroregionach zmiany cieszyły się wsparciem Unii Europejskiej. Uznając zasadę subsydiarności, unijna administracja pozwoliła na utworzenie i zarządzanie przez euroregiony funduszem mikroprojektów. Pojawiła się szansa podniesienia jakości i skali integracji pomiędzy społecznościami graniczących krajów. Fundusze zmieniły też znacząco infrastrukturę nadgraniczną, służącą wymianie turystycznej. Dzięki inicjatywie euroregionalnej szansę dostały liczne organizacje trzeciego sektora w Beskidach. Mogły one przenieść działania ze skali lokalnej na regionalną, nieraz po raz pierwszy prezentując się efektywnie na arenie międzynarodowej, a zarazem ucząc się od partnerów czeskich i słowackich.

Dzisiaj Euroregion Beskidy należy do najważniejszych instytucji transgranicznych w regionie, za którą stoi blisko 180 jednostek samorządu terytorialnego z Polski, Czech i Słowacji. Przez 14 lat zrealizowano 350 projektów, które zmieniły trwale obraz naszego pogranicza zarówno w sferze społecznej, jak i gospodarczej. Dlatego sądzę, że idea współpracy euroregionalnej w Beskidach jeszcze się nie wyczerpała, raczej zauważamy wzrost zainteresowania jej realizacją. Jest moim marzeniem, aby dzięki niej osoby odwiedzające Beskidy odczuwały, że są w pięknym, atrakcyjnym i gościnnym regionie, niezależnie po której stronie granicy się znajdują. ■

Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku wydawało się mało prawdopodobne, że Polska i Czechy staną się szybko pełnoprawnymi członkami Unii Europejskiej, a ich mieszkańcy będą swobodnie podróżować po Europie bez kontroli granicznej. Nikt nie przypuszczał, że kraje byłego bloku wschodniego przystąpią w 2004 roku do struktur Unii Europejskiej, a bariery celne, graniczne i te związane z rynkiem pracy przestaną istnieć. A jednak to, co wtedy wydawało się niemożliwe, stało się możliwe.

W 1996 roku władze Raciborza i Opawy debatowały na temat historii i perspektyw „Regionu Opawa-Racibórz” w Unii Europejskiej. Wtedy nikt nie był pewny, czy uda się stworzyć Euroregion Silesia i jaka będzie jego rola. Zadaniem konferencji było rozpoznanie historycznych korzeni obszarów przygranicznych Polski południowo-zachodniej oraz północnych Czech i Moraw. Potem trzeba było określić potrzeby i możliwości Raciborza i Opawy wraz z sąsiednimi gminami. W efekcie związku gmin partnerskich, na wzór tych funkcjonujących już w Europie Zachodniej, wykreowały modele współpracy. Tak doszło 20 września 1998 roku do utworzenia Euroregionu Silesia, który na początku obejmował nieliczne miasta i gminy regionu raciborsko-opawskiego.

Już od pierwszych programów unijnych wspierających czesko-polską współpracę Euroregion Silesia działał w celu wsparcia jak najlepszej ich realizacji. Szybko uświadomił sobie swoją rolę w tej dziedzinie: udzielanie pomocy innym podmiotom przy korzystaniu ze środków europejskich. Za jego pośrednictwem rozdysponowano ponad 7,7 mln euro na realizację prawie 700 małych projektów transgranicznych. Dzisiaj, przy tworzeniu nowej strategii rozwoju na lata 2014–2020 wiemy, że w ramach polsko-czeskiej współpracy transgranicznej w naszym euroregionie wiele dokonano. Codziennie widać jak zmienia się nasze pogranicze. Ale jest jeszcze wiele do zrobienia, potrzebne są fundusze na realizację kolejnych projektów, dzięki którym możemy wspólnie z Czechami realizować wytyczone w 1998 roku cele. ■



Bogdan Kasperek – sekretarz i dyrektor biura strony polskiej Euroregionu Śląsk Cieszyński



Radosław Roszkowski – przewodniczący rady i prezes zarządu Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pradziad oraz starosta powiatu prudnickiego

Wnocy z 30 kwietnia na 1 maja 2004 roku reprezentanci polskiej i czeskiej części Euroregionu Śląsk Cieszyński podpisali Deklarację Cieszyńską, określającą kierunki i sposoby dalszej polsko-czeskiej współpracy na obszarze wspólnoty opartej na wciąż żywym i atrakcyjnym dziedzictwie Śląska Cieszyńskiego. Jej podpisaniu towarzyszyła część bardziej ludyczna, pełna rzeczywistego entuzjazmu zgromadzonej na brzegach granicznej rzeki Olzy lokalnej społeczności pogranicza.

Podobne nastroje towarzyszyły nam w 2007 roku, kiedy otwierały się wrota strefy Schengen, także wcześniej, gdy w 1998 roku podpisywaliśmy umowę o współpracy regionalnej, powołując Euroregion Śląsk Cieszyński do życia, czy niedawno, gdy zawieraliśmy porozumienie z francusko-niemieckim eurodystryktem Regio Pamina (w 2010 roku) i przystępowaliśmy do sieci TEIN, z jej liderem Euro-Institutem z Kehl (w 2012 roku).

Współpraca polsko-czeska to jednak zdecydowanie i przede wszystkim praca, w której ważnym instrumentem jest zarządzany przez nas fundusz mikroprojektów. Pomagamy budować transgraniczne partnerstwa i sami je wdramy. Mamy własne inicjatywy, lecz inspirują nas także sprawdzone i skuteczne formy działalności z innych europejskich granic.

Co cechuje naszą współpracę? Na pewno jej naturalność i nieudawana potrzeba po obu stronach granicy. Wszystko to oparte na spuściźnie historycznej i dziedzictwie kulturowym Śląska Cieszyńskiego z jego wciąż żywo bijącym cieszyńskim sercem. W tę współpracę modelowo wpisały się również Jastrzębie-Zdrój i gmina Godów, z innym bagażem historycznej przeszłości, dodając wiele wartościowych elementów do naszej układanki. Ważną rolę odgrywa także mniejszość polska zamieszkująca po stronie czeskiej Śląska Cieszyńskiego, wciąż szukająca należnego, docelowego miejsca w przyszłej współpracy. No właśnie, przyszłość. Tę wyznaczyła nasza uchwała z listopada 2012 roku, wskazująca na nowe obszary współpracy. Wszystko wskazuje, że jesteśmy wciąż potrzebni na granicy, w miejscu, dla rozwoju którego powołano nas ponad 15 lat temu do życia. ■

Nasz Euroregion Pradziad to ponadgraniczne porozumienie samorządów lokalnych z terenu województwa opolskiego (po stronie polskiej) oraz kraju morawsko-śląskiego i kraju ołomunieckiego (po stronie czeskiej). Jego założenie w 1997 roku było odpowiedzią na potrzebę struktury, która zabiegałaby skutecznie o interesy mieszkańców po obu stronach granicy. Pragnienie kontaktów między ludźmi zamieszkującymi sąsiednie tereny wynikało z oddzielenia przez lata granicą „przyjaźni”, a tak naprawdę szczelnym kordonem, który można było przekroczyć służbowo w wyjątkowych sytuacjach, a prywatnie tylko na specjalne zaproszenie.

Struktury euroregionalne Unii Europejskiej, jako wyższe stadium współdziałania transgranicznego, sprawdziły się wcześniej w praktyce. Dlatego, czerpiąc z nich wzory, nowe organy samorządowe już od początku lat dziewięćdziesiątych spontanicznie nawiązywały kontakty. Dla samorządów i organizacji pozarządowych była to doskonała szkoła w zakresie aplikowania po środki unijne. Wszystkie te inicjatywy miały (i mają) jeden cel: czerpanie korzyści ze wspólnie podejmowanych działań, a w konsekwencji stwarzanie szansy rozwoju gospodarczego i społeczno-kulturalnego na pograniczu. Jest to istotne tym bardziej, że marginalizowane obszary pogranicza, zwłaszcza w powiatach czeskich, od lat mają najwyższe wskaźniki bezrobocia.

Po polskiej stronie działalność na rzecz rozwoju terenów przygranicznych prowadzi powstałe w styczniu 2000 roku Stowarzyszenie Gmin Polskich Euroregionu Pradziad. W ramach programów pomocowych Unii Europejskiej zrealizowano blisko 1000 projektów na niebagatelną kwotę 11,3 mln. euro. Ważnym działaniem proekologicznym była zaproponowana w latach dziewięćdziesiątych koncepcja przyłączenia Złatych Hor do nowej oczyszczalni ścieków w Prudniku, zrealizowana ostatecznie w kadłubowej formie z uwagi na przeszkody prawne. Zadania przyszłościowe wyznacza strategia rozwoju do roku 2020, która otwiera nowe perspektywy współpracy transgranicznej. ■

DIVERTIMENTO CIESZYŃSKIE

Roditsja by sto liet nazad...
Josif Brodski, *Divertimento litewskie*

*Urodzić się tu przed stu laty
w czas katastrofy kopalnianej,
gdy stary Szczyrba, Hiob na raty,
stracił swych synów w piekle alej.*

*Potem się żegnać z guldenami,
korony supłać z wątych trzosów,
patrzac jak kupiec Kohn palcami
pieści swe pejsy z tłustych włosów.*

*Kajzermanewrom się przyglądać,
które zaszczycił cesarz jeden
i w szyki bydła się zaplątać,
sunące rok w rok via Wiedeń.*

*Pochylać się nad cieszynianką,
skromnym curiosum botanicznym,
doczekać prądu, choć pod lampą
naftową świat ten mógł być ślicznym.*

*Urodzić się przed tylu laty
w mieście – naczyniu połączonym,
pierwszym tramwajem mknąc na gapę
przez Olzę (wówczas w obie strony).*

*Potem na pierwszą, tę światową,
potomków wysłać swych po mieczu
i o ich znoju z ciężką głową
rozważać, gdy nikt ran tu nie czuł.*

*W głąb Demellochu dzień w dzień schodzić,
by w Sachsenbergu wpaść objęcia,
znów po raz wtóry się odrodzić,
dziękując Bogu za łut szczęścia.*

*Hodować dzieci i bydlęta,
kleić zaścianek ramię w ramię
naiwnie śniąc, że Panna Święta
za rzeką w Wyższej świeci Bramie.*

*By wchodząc w lata Chrystusowe
doczekać roku dwudziestego...
Roku szlabanów. Stracić głowę
i nie rozumieć już niczego.*

Cieszyn – Czeski Cieszyn, czerwiec 1993



W kawiarni „Avion”

Z RENATĄ PUTZLACHER, poetką, autorką opowiadań i scenariuszy, tłumaczką i publicystką, rozmawia KRZYSZTOF KARWAT

Siedzimy w kawiarni „Avion”, spoglądając z czeskiego brzegu na leniwie płynącą Olzę. To miejsce niezwykle, „klimatyczne”. Odegrałaś dużą rolę w jego odkrywaniu, a tym samym – przywracaniu pamięci historycznej tej części Śląska Cieszyńskiego. Jak do tego doszło?

■ Przed dwudziestu laty zaczęłam tłumaczyć piosenki Jaromíra Nohavicy, który był wówczas w Polsce właściwie nieznany. Telewizja wrocławska przygotowywała o nim program dokumentalny, a ja miałam opracować polskie napisy. Wtedy się po-

znaliśmy, choć Jarka już wcześniej widywałam, bo był moim... bibliotekarzem. Jako dziewczynka wypożyczałam książki w budynku, gdzie mieści się również teatr Těšínské Divadlo, a nie mogłam wtedy wiedzieć, że ten wysoki pan stanie się głośnym czeskim pieśniarzem. Przetłumaczyłam jakieś 70 piosenek Jarka. Prowadziliśmy wtedy wiele rozmów i wyszło, że łączy nas pasja gromadzenia starych pocztówek. W moich zbiorach rodzinnych znalazła się ta z kawiarnią „Avion”. Nie byłoby może dalszego ciągu, gdyby nie sugestia Jarka, że warto stwo-

rzyć coś w rodzaju kabaretu literackiego. Znał Festiwal Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, a ja byłam wtedy kierownikiem literackim Sceny Polskiej teatru Těšínské Divadlo i jemu podobało się, że teatr ten łączy Czechów i Polaków. Szukaliśmy wzorców i metod pracy. No i nazwy, która zespoliłaby różne epoki, kultury i języki. Na wspomnianej pocztówce zobaczyliśmy, że na budynku Avionu były napisy w trzech językach: kawiarnia, kavárna, kaffehaus. Pomysł chwycił. Powstało 50 programów, podczas których najpierw sami, a potem z artystami teatralnymi prezentowaliśmy poezję, piosenki, skecze. Pierwszy, zatytułowany *W kawiarni Avion, której nie ma*, miał premierę w roku 1996 w podziemiach teatru Těšínské Divadlo. Jarek brał udział tylko w niektórych programach, ale znalazł tu inspirację. Na przykład jego słynna piosenka *Cieszyńska (Těšínská)* nawiązuje do wiersza Josifa Brodskiego i mojego *Divertimenta cieszyńskiego*, które powstało po moim pobycie w Katowicach, gdzie rosyjski noblista odbierał doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego.

Granica była już otwarta. Do jakiej publiczności chcieliście mówić?

■ Nawiązaliśmy do idei cieszyńskiego Festiwalu „Na granicy”, chodziło o to, by „łamać szlabany” – to aluzja do nazwy nagrody głównej. To była nowa wartość: teatralne autobusy przejeżdżały z jednej na drugą stronę miasta. Świetna atmosfera. Wielu dopiero wtedy przekonało się, że po czeskiej stronie działa profesjonalny teatr. Publiczność była otwarta, złańniona także takich programów, jak nasze. Przełamywaliśmy stereotypy, mieszałyśmy języki, wprowadzaliśmy także wątki niemieckie i żydowskie.

Ale „Avionu” – „kawiarni, której nie ma” – na prawdę wtedy nie było. A dziś jest!

■ Zaczęłam krążyć wokół tego tematu, grzebać, szukać. Zainteresował się nim również Janusz Spyra, historyk z Muzeum Śląska Cieszyńskiego, znawca spraw żydowskich. To on w księgach meldunkowych odnalazł Rosalię Wiesner, właścicielkę tej wybudowanej w roku 1933 kawiarni. To była krótka, dramatyczna historia.

Tutaj, w kawiarni, w której siedzimy, na planszach eksponowane są dawne fotografie. Widzę stan po katastrofie...

■ Polacy, wycofując się we wrześniu roku 1939 z Zaolzia, wysadzili mosty na Olzie, także ten. Wyleciały okna, naruszyła się statyka budowli. Wkrótce Niemcy nakazali rozebranie budynku, potraktowanego jako mienie pożydowskie.

Dzisiaj ta budowla do złudzenia przypomina przedwojenną. Bardzo zgrabna rekonstrukcja. Jak udało się ją przeprowadzić?

■ Jeden z programów z cyklu „W kawiarni Avion, której nie ma” poświęciłam Rosalii Wiesner i cieszyńskiemu Żydom. Rozważałam, jak to było możliwe, że ta Żydówka w chwili, gdy w Niemczech do władzy dochodził Hitler, zdołała postawić tak nowoczesny, modernistyczny obiekt, który wówczas przylegał do nieistniejącego już dziś secesyjnego hotelu, który zresztą też do niej należał. Ta kobieta stała się dla mnie kimś ważnym i pomocnym w odkrywaniu własnej tożsamości, bo ja również wielokrotnie musiałam się zastanawiać, co wynika z faktu, że jestem Polką, a jednak urodziłam się i mieszkam po czeskiej stronie. Choć nie jestem stąd, „stela” – jak się to tutaj określa. Doszłam do przekonania, że Rosalia miała jeszcze trudniej niż ja, bo w tak newralgicznym punkcie historii musiała pokonywać poczucie obcości, a później otwartą wrogość.

Wiemy coś więcej?

■ Z dociekań Janusza Spyry wynika, że w tym miejscu, na Osmeku, osadzili się pierwsi cieszyńscy Żydzi. Tutaj zawsze stały jakieś przydrożne oberże i zajazdy. Aż w końcu przejęła ten teren Wiesnerowa, o której wiemy, że wyprowadziła się stąd w roku 1939. Tutaj ślad się urywał... Poświęciłam jej kilka wierszy, a Jarek Nohavica, który po roku 1997 ruszył w świat i osiadł w Ostrawie, napisał piosenkę, że gdy będzie starszym panem, to usiądzie sobie w kawiarni „Avion”, w kąciку z widokiem na rzekę... Właśnie jesteśmy w tym kąciку. Stworzyliśmy go, by miał dokąd wracać...

Pięknie odtworzyliście w nim nastrój i wystrój lat 30.

■ Ta piosenka i nasze programy, z którymi jeździliśmy także do Pragi, Opawy i Brna, spopularyzowała ideę „kawiarni, której nie ma”. No i przede wszystkim powstał czesko-polski spektakl muzyczny *Těšínské nebo (Cieszyńskie nebe)*, który aktorzy obu scen teatru Těšínské Divadlo przedstawili ponad 100 razy. Kawiarnia „Avion” ożyła na scenie, także w Pradze, Warszawie i Bratysławie. Byłam autorką scenariusza, a spektakl poprzedziły liczne rozmowy z Jarkiem Nohavicą i czeskim reżyserem Radovanem Lipusem, pochodzącym z Bystrzycy. W tych dyskusjach uczestniczył też muzyk Tomáš Kočko z Frydku (a Mistek, już za Ostravicą, to Morawy). Co oznacza polskość, co czeskość, co niemieckość. Jak współżyły i konfrontowały się religie i wyznania. To były pola naszych penetracji. Ponieważ spektakl się podobał, więc kiedy realizowano polsko-czeski pro-



fot. Robert Gałstka

jekt unijny, zmierzający do rewitalizacji terenów przy Olzie, zmieszczono w nim odbudowę kawiarni „Avion”. Potem jeszcze napisałam scenariusz spektaklu o zbójniku Ondraszku, oparty m.in. na piosenkach Tomáša, wyreżyserował go Bogdan Kokotek, obecny kierownik artystyczny Sceny Polskiej. Ondraszek to postać historyczna (i literacka zarazem), inaczej pojmowana na Śląsku i Morawach. Trzeba było wejść w kwestie religijne, epokę reformacji i kontrreformacji. Powstało przedstawienie nie tyle polsko-czeskie, co „protestancko-katolickie”, a to ma swoje znaczenie i współczesne konotacje na Śląsku Cieszyńskim. Nie zdawałam sobie sprawy, jak żywe to kwestie. W kolejnych latach powracałam do postaci literackich, znanych z podań i legend. Stworzyliśmy nawet projekt poznawania regionu i jego historii poprzez bohaterów literackich. W niejednym przypadku znajdziemy te same postaci i w literaturze polskiej, i w czeskiej.

Wspomniałaś, że odkrywając losy Rosalii Wiesner, potraçałaś o własną biografię. A przecież nie jesteś przybyszem. Urodziłaś się w Karwinie, a zatem po czeskiej stronie. Dopiero na studia wyjechałaś do Polski.

■ Moje nazwisko brzmi obco. Przodkowie pochodzili z Gruzji, ze Styrii. Potem przewędrowali poło-

wę monarchii, a dziadek urodził się w Galicji, w okolicach Drohobycza. Zjawił się w Cieszynie, bo jego sąsiad został piekarzem przy ulicy Menniczej i go tu ściągnął. Jak wiadomo, w roku 1938 Cieszyn stał się jednym miastem, więc dziadkowie postanowili przeprowadzić się na drugą stronę. Zdecydowały względy mieszkaniowe. I tak już zostało. Tutaj urodził się mój ojciec, w końcu także ja. Nie mam więc głębokich korzeni zaolziańskich. Nikt z moich krewnych nie przeżywał tu wydarzeń roku 1920. Niekiedy i od swoich słyszę, że mimo wszystko nie jestem „stela”.

Czy dlatego zawsze zachowywałaś pewien delikatny dystans do środowisk polskich na Zaolziu? Wprawdzie jesteś ich częścią, to jednak nigdy nie wojowałaś, jak to się zdarzało „starym działaczom”. Dlatego, że poecie przystoi stać nieco z boku?...

■ Tak, przystoi, bo poeta powinien być indywidualistą. A jednak od lat gimnazjalnych należę do Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, byłam członkiem Zespołu Pieśni i Tańca „Olza”, który właśnie obchodzi 60-lecie istnienia. Kiedy z powodów rodzinnych na 17 lat przenieśliśmy się do Brna, to założyliśmy tam Klub Polski „Polonus”. Zawsze więc działałam, uczestniczyłam, organizowałam... Prze-

W kawiarni Avion, której nie ma

FOTOGRAFIA

Na jedynej ocalałej fotografii mój pradziad Franz, ubrany w odświętny garnitur, którego dopełnieniem jest długi łańcuszek od zegarka, rzuca na struchlałego fotografa groźne spojrzenie znad sumiastego wąsa. Obok ojca stoi z równie nieprzystępnym wyrazem twarzy najstarsza córka Karolina, a centralnie ustawił się jasnowłosy Lorenz, oczko w głowie taty.

Miejskowy fotograf był niewątpliwie speszony, bo zdjęcie, na którym pradziadek patrzy na mnie, absolwentkę polonistyki, z wyrzutem, bynajmniej nie jest stosownie wypośrodkowane. Z prawej strony – o zgrozo! – załapał się bowiem ciekawski chłopczyk, sądząc z wyglądu starozakonny, bacznie przyglądający się magikowi, który nakrył statyw i siebie czarną płachtą. Miejskowy Weiser Dawidek? W międzywojennym kresowym tyglu i w wielonarodowościowej Izidorówce obecność Żyda na zdjęciu rodzinnym potomków austriackich kolonistów nie jest niczym zaskakującym. Na późniejszych zdjęciach z cieszyńskiej piekarni odnajdę podobne międzynarodowe zestawy – obok dziadka piekarza stoją jego starozakonni koledzy, Glücksmann i Zeiphammel. Taka mała przedwojenna lekcja tolerancji dla przyszłych pokoleń.

PUNKTY ZA POCHODZENIE

Pamiętam twarz mojego młodszego brata, kiedy zapytał ojca o jego praprzodków. „Niemcy”, jęknął i miał minę jakby połknął żabę. Jakby nasza mniejszościowa polskość, za którą regularnie obrywaliśmy od czeskich kolegów z osiedla, nie była wystarczającym handicapem. Gdyby ten dodatkowy, pikantny szczegół naszej genealogii wyszedł na jaw, bylibyśmy nieodwracalnie skasowani w oczach rówieśników. Niemcy – czyli źli. Pokrzykiwano by na nas: „Hände hoch!” albo kazano by nam śpiewać „Tandaradei”, bo jak na złość właśnie ten staroniemiecki refren z filmowych *Krzyżaków* wszyscy zapamiętali.

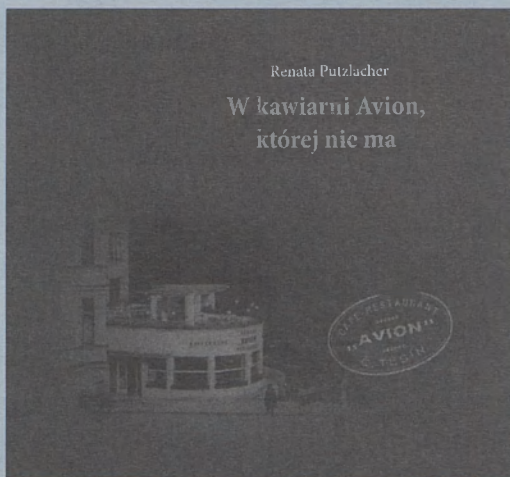
Nie rozumiesz, dziadku Rudi? Przez ten dziwny i niejednoznaczny (Niemiec czy Austriak, czy to nie to samo?) rodowód nie zabrałaby cię na swój szlak załoga Rudego 102, a pies Szarik – jakby nie było Rosjanin, czyli „swój”, „dobry” – wyczułby cię na kilometr. Na pewnym etapie mego późnosocjalistycznego dzieciństwa nie przysporzyłbyś mi na podwórku punktów za pochodzenie. Może tylko w szkole, gdybym subtelnie wyznała pani od rosyjskiego, że pochodzisz z terenów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, aczkolwiek w chwili twoich narodzin tego cudu nie było jeszcze na mapie. Kiedy umierałeś, drżał w posadach mur berliński, a wschodnie mocarstwo powoli sięgało bruku. *Vanitas vanitatum*, dziadku, wszystkie mocarstwa i systemy to kupa złomu. Jak ten Rudy 102 z lamusa moich wspomnień.

PISANIE

To właśnie pisanie, nie blond warkoczki, które mi niebawem obcięto, i nie perlisty śmiech dziecka, który wkrótce brzmiał dziwnie w domu, który na zawsze opuścił nasz Anioł; to pisanie, beztraskie rymy, które zawsze miałam pod ręką i używałam ich w odpowiednich momentach; to właśnie pisanie pozwoliło mi zaistnieć jako istocie odrębnej, innej od tych wszystkich dzieci

z osiedlowego podwórka, może ładniejszych, może bardziej skłonnych do szczęścia i do karania za winy niezawinione, na przykład brak języka w gębie w momentach, kiedy trzeba było wyartykułować po czesku to, co mi w duszy grało w innym języku. Przelewanie na papier tego wszystkiego, co wisiało w powietrzu i nade mną, było próbą oswojenia rzeczywistości i pogodzenia się z tym, czego zmienić nie mogłam. Pisanie – rytualne lizanie ran i jednocześnie kompres na rany przeze mnie zadane...

Fragmenty książki Renaty Putzlacher *W kawiarni Avion, której nie ma* (wydanej w 2013 roku w Czeskim Cieszynie przez Spolek – Towarzystwo Avion) wybrane przez Autorkę.



szkadzało mi jednak niegdyś powszechne tu przekonanie, że klasyczny regionalizm zespolony z folklorem to jedyny motor działania, jedyny sposób na bycie tutaj, jakiś rodzaj ratunku. Mnie zaś fascynowało to, co w Teatrze Cieszyńskim robił na przykład Janusz Klimsza, który zrealizował tu m.in. znakomitą *Czarną Julkę* według Morcinka. Zrozumiałam wtedy, że lepiej się czuję w tej „większej Europie”. Owszem, moją małą ojczyzną pozostaje Śląsk Cieszyński (a wolę to pojęcie od zawężającego i politycznego słowa Zaolzie), lecz rodowód kresowy moich przodków, połączony z austriackim brzmieniem nazwiska, wypycha mnie gdzieś dalej. Nie jestem politykiem. Kwestie związane z rokiem 1920 czy 1938 nigdy nie wchodziły do mojej poezji. Ani do teatru. Odrzuciłam więc elementy mitologizacji, obecne w życiu każdej mniejszości narodowej. Jestem kobietą i nie przepadam za bojowymi, militarystycznymi pojęciami, jakich często używa się na terenach zagrożonych, jak „walka”, „obrona”, „ob-

miasto o wielobarwnej historii, znaczonej nie tylko konfliktami narodowościowymi. Zaczęliśmy więc – nie bacząc na ich metryki urodzenia – przywoływać znaczące, lecz nieraz zapomniane postacie, które decydowały o rozwoju Cieszyna.

Z fotografii zawieszanej na ścianie „Avionu” zgląda nam do filiżanek i pilnie się nam przysłuchuje Józef Koźdoń, założyciel Śląskiej Partii Ludowej i przedwojenny burmistrz Czeskiego Cieszyna. To wystarczający powód, by zapytać o tożsamość śląską. Czy ona tu konkuruje z polską i jest odrębną wartością? A może się z nią zlewa?

■ Tutaj „ślaskość” – przynajmniej od czasów II wojny światowej – jest trochę podejrzana. Zwłaszcza dla najstarszych generacji. No, chyba że odnosi się ją tylko do dawnych terenów pruskich, co wtedy może co innego znaczyć, bo tutaj jednak wygrywają tradycje austriackie, galicyjskie. Koźdoniow-



szar działania”, „teren” itp. Nie uważam też, że jako społeczność polska w Czechach jesteśmy „lepszymi Polakami”, bo codziennie musimy walczyć o polskość. Deklaracje brzmią dumnie, warto jednak nie zapomnieć języka (polskiego) w gębie. Nigdy nie negowałam dorobku historycznego tutejszych Polaków, nie odmawiałam im prawa do pielęgnowania tradycji i nie umniejszałam cierpień, jakich doznawali oni i ich przodkowie. Broniałam się jednak przed zamykaniem się w skansenie. Jednocześnie w latach 90. Cieszyn zaczął kojarzyć się z koszmarowymi targowiskami, przemytem, „mrówkami” przenoszącymi alkohol, kolejkami, przestępczością przygraniczną, hałasem i chaosem. Chodziło też o to, by zmęczonym takim obrazem codzienności mieszkańcom Cieszyna przypomnieć, że to jest

ców postrzega się jako tych, którzy wyraźne linie podziałów rozmyli. Albo jesteś Polakiem, albo Czechem. Tak się tutaj myśli. Młodsze pokolenia, a wpływ na to miało otwarcie granicy, zapominają o nazwie Zaolzie i chętniej dziś używają pojęcia Śląsk Cieszyński, patrzą na ten region jako na całość, małą ojczyznę. Mnie przychodzi to tym łatwiej, że moja mama wywodzi się ze Skoczowa, a inni krewni z Ustronia, Wisły i okolic. Historycznie rzecz biorąc, dla tutejszych polskich działaczy ważne były związki z dawną Galicją, Krakowem czy Lwowem.

Sugerujesz, że Koźdoń i jego idee, to na Śląsku Cieszyńskim epoka zamknięta. A jak jest na Morawach? Tam też pojawiają się autonomistyczne

tęsknoty, manifestuje potrzeba odróżnienia się od Czechów. Dostrzegasz jakieś analogie z sytuacją na Górnym Śląsku?

■ Te kwestie odzywają w kampaniach wyborczych, a potem przycichają, stanowiąc tylko margines rzeczywistości politycznej w Republice Czeskiej. Odnoszę wrażenie, że większość mieszkańców Moraw odnosi się do tych spraw z dystansem, obawiając się, że to niepotrzebne próby dzielenia obywateli, rozdrabniania sił. Ale duma i tęsknoty istnieją. Podczas Miesiąca Spotkań Autorskich, dużego festiwalu literackiego, który organizowałam w Brnie, na spotkaniach z polskimi pisarzami wstawał pewien pan, poprawiał moich gości i strofował, informując, że nie przyjechali do Czech, lecz do stolicy Moraw. Musiałam wielokrotnie wyjaśniać, że Polacy dokonują swego rodzaju skrótu myślowego, używając słowa: Czechy. Podobne postawy manifestują się podczas spisów ludności. Dopuszcza się wówczas kategorie: narodowość morawska, także śląska. Śląską wpisują czasem mieszkańcy pogranicza, którzy nie czują się ani stuprocentowymi Czechami, ani Polakami.

A jak funkcjonuje samo słowo Śląsk – Slezsko? U nas podczas debat regionalistycznych często przypomina się, że śląski orzeł nie wypadł z godła Republiki Czeskiej. I to ma być jakiś argument. Ale jest też druga strona medalu. Już w latach międzywojennych czeski Śląsk administracyjnie łączony był z Morawami. Protesty na nic się zdały. Dziś też jest z Morawami zespolony.

■ Jesteś z Północnych Moraw? Jesteś z Těšínska albo Ostravska? Takie pytania często stawiają mi ludzie z Brna albo Pragi, którzy wcześniej mnie nie znali. Zdradza mnie akcent, brak długich samogłosek, bo tak w tym regionie mówią jego mieszkańcy. Charakterystyczne: nie pytają o Śląsk. Także w mediach to słowo pada stosunkowo rzadko. Prezenterzy telewizyjni pozdrawiają zwykle tylko mieszkańców Czech i Moraw. Mówiąc o pogodzie, zapominają o Śląsku. Trochę to irytujące...

Rozmawiamy w kawiarni przy granicy, której już się nie zauważa. Czy to jednak znaczy, że – jak w czasach austriackich – mamy jedno miasto, jeden organizm? Dawne napięcia wygasły? Jak to wygląda z perspektywy dnia powszechnego?

■ Lata 90. były bardzo optymistyczne. Koncerty, imprezy, festiwale, nie tylko teatralne. Poznawaliśmy się, odwiedzali. Wydawało się, że wszystko będzie proste. A jednak – jak to się nieraz mówi – zostają granice w ludzkich sercach. Widzę to teraz dość wyraźnie, może dlatego, że tak długo w Cieszynie bywałam tylko gościem. Wiele jest jeszcze

do zrobienia. Niestety, gołym okiem widać patologie, które zakłócają obraz. Wielu Polaków przejeżdża na drugą stronę tylko po to, by poimprezować, zaszaleć. Stąd biorą się generalizacje: „każdy Polak to handlarz albo pijak”. To echa opinii tych mieszkańców pogranicza, którzy po stronie czeskiej słyszą pod oknami podniesione głosy, hałasy, awantury. To nie jest przyjemne. Muszę nieraz wysłuchiwać: „Bo wy, Polacy...” albo „Bo wy, Czesi...”. A ja nigdy żadnego narodu nie gloryfikowałam. Do tego dochodzi kryzys gospodarczy. Też go widać. I znowu przed oczami staje mi Rosalia Wiesner i lata 30. Wtedy też szukano „winnego”, a był nim każdy „inny”. Czy musiała wysłuchiwać: „Bo wy, Żydzi...”? Jej syn miał obok kawiarni kantor. To na pewno nie mogła być „okoliczność łagodząca”. Nie podoba mi się radykalizacja postaw i poglądów, która dziś manifestuje się jako wynik frustracji i nieumiejętności cieszenia się z tego, co mamy. Mentalność totalitarna nie wygasła. Warto ją neutralizować. To robota dla artystów.

Wielu przewinięło się przez „Avion”...

■ To prawda. Wśród wielu spotkań było też jedno niezwykle. Odwiedziły nas trzy prawnuczki Rosalii Wiesner. Przyjechały z Pragi, Bratysławy i Koszyc. Przywiozły dokumenty rodzinne, zdjęcia. Wzruszająca i tragiczna historia.

Poznaliście do końca jej historię?

■ W roku 1942 Rosalia została wywieziona do KL Auschwitz. Zginęła 15 czerwca wraz z córką, zięciem, wnukami. To bardzo dziwny zbieg okoliczności, bo to dzień moich urodzin...

Skoro rozmawiamy w kawiarni o artystach... Kiedyś sieć kontaktów między środowiskami kulturalnymi w Czechach i w Polsce była gęstsza, a spotkania częstsze. Zgadzasz się?

■ Tak, to prawda. Aktywne były zwłaszcza środowiska literackie Katowic i Opola, często nas zapraszano i po przyjacielsku goszczono. Dzisiaj rzadziej organizuje się wieczory autorskie, seminaria literackie, wymiany. Czy to tylko kwestia pieniędzy, których jest mniej niż było? Na pewno, choć tak to teraz się porobiło, że twórcy nie odczuwają potrzeby zrzeszania się. Wszyscy pozamykaliśmy się w swoich małych światach, przed ekranami komputerów... ■

Krzysztof Karwat – pisarz, publicysta, autor cyklu „Górny Śląsk – świat najmniejszy” w Teatrze Rozrywki w Chorzowie

Renata Putzlacher – poetka i eseistka, doktor, wykładowca akademicki, ostatnio wydała książkę *W kawiarni Avion, której nie ma*



Broniłam się jednak przed zamykaniem się w skansenie. Chodziło też o to, by mieszkańcom Cieszyna przypomnieć, że to jest miasto o wielobarwnej historii znaczonej nie tylko konfliktami narodowościowymi.

KOLUMB RAZ JESZCZE

Kiedy znowu odwiedzam Nowy Świat
który razem ze mną się zestarzał
już nie dają się oczarować
miejscowym kacykom
choć ich bezzębny szaman
do złudzenia przypomina
moją prababkę
o brzmącym obco nazwisku

Amerykę można odkryć
raz w życiu przez przypadek
a potem trzeba się opowiedzieć
założyć przepaskę na biodra i paciorki
albo też patrzeć z pokładu
bez bagażu sentymentów
na plemię które w glorii rytuałów
tak wzruszająco
odchodzi w przeszłość

CZYTAJĄC DELEUZE'A

Życie nomady to nieustające intermezzo...
Gilles Deleuze, Mille Plateaux

Bycie „dla”
trwanie „przy”
patrzenie „ku”

Wielka triada
zbudowana z krótkich słów

Czy więc być drzewem stojącym
zakorzenionym i trwałym
czy kłębem wędrującym
niepewnym i niestałym

Być albo wędrować
by żyć?

POETA

Naprawdę nie musisz się bać
moją domeną są tylko
słowa słowa słowa
Czasem zasypiam na dywanie
urobiony po łokcie
Bo słowa mają ciężar gatunkowy
a ja uczę się
jak oddzielać ziarno od plew
Mnie nie musisz się bać
zanim przejdę od słów do czynów
sto razy wszystko przetrawię
opiszę przeleję na papier
skażę na wieczny odpoczynek
Znów się nie doczekasz



Rysunek: Magdalena Wojtyła

PÁLAVA. ZIMA

biały kościół nad wodami
dzwon zapomniał o swoim sercu
w tym zawieszeniu i ciszy
idziemy wśród skamieniałych
winnic
które wyciągają ręce ku niebu

bezdomni jak Adam i Ewa
po sezonie
gdy zamknięto raj a jeszcze
nie otwarto świata

CHWILA SKUPIENIA

Scal Madonno od Pierogów
każdy z moich brzegów
spraw niech mi się klei
każdy biegun
niech we mnie mocno tkwi
treściwy farsz

Tyle teraz
aniołów
w sklepach.

Tak mało
skrzydeł
w nas...

WYRWANA Z KONTEKSTU

Urodziłam się tutaj, a uczono mnie języka,
którym posługiwali się tamci.
Czytano wiersze wieszcz, który żył jeszcze gdzie indziej.
Naginano mą śródłądową wyobraźnię od morza do morza.
Gdy upadałam na duchu, śpiewano mi o Bonapartem,
który dał nam jakoby przykład.
Nic w moim życiu nie było niesza-blonowe.
Może tylko żargon, którym się posługiwałam.
I galicyjski kod genetyczny.
Gdy pytano mnie o tożsamość, pewna byłam tylko swej płci.
Choć nieraz mi mówiono, że równy ze mnie chłop.
Kolor skóry też mi się zmieniał w zależności od pór roku.
Również w kłopotliwych sytuacjach, a więc dosyć często.
Zawsze czułam się w pół drogi. Wyrwana z kontekstu.
Sama sobie do pary, żeglarzem i tratwą.
Po wieki wieków w narodowej formalinie.
Marząca w duchu o spokojnych wodach.

POCAŁUNKI

Bóg nam pomieszał języki albowiem
twój w moich ustach, a mój... Nie wypowiem,
po prostu Bóg namieszał.

A my strzepimy języki, tak słabi
w pomieszaniu zmysłowym utrwalamy Babel
niczym biblijna rzesza.

Bóg nam pomieszał języki już w łonach
matek przed laty. Więc jak cię przekonać,
na migi? Gesty zawieszam

w drżącym powietrzu jak flagi sflaczałe,
jak białe języki... Celebujesz dalej
filologiczny przeszał.

JÓZEF ZAREK

GENIUS LOCI czeskiego Śląska?

Zanim pójdziemy wskazanym tropem, wypada wyjaśnić tytuł szkicu. Jest w nim nawiązanie do *Genius loci Slezska* eseju polsko-czeskiego poety Bogdana Trojaka. Postawiony znak zapytania nie tyle podważa tytułową tezę, co zapowiada nad nią refleksję, a chodzi o obszar etnicznie i kulturowo zróżnicowany w granicach Republiki Czeskiej.

Propozycja eseistyczna Trojaka wydała mi się przed laty na tyle niezwykła – podobnie zresztą, jak kariera literacka jej autora, uznawanego wtedy za jednego z najciekawszych czeskich poetów młodszego pokolenia – że chciałbym niektóre jego spostrzeżenia przybliżyć. Tym bardziej że Trojak dał się najpierw poznać jako współzałożyciel ślą-

skiej grupy i pisma o nazwie „Weles”, związanych z miejscowością Wędrynia koło Trzyńca, czyli po drugiej stronie Czantorii. Co się zdarzyło, że małe pismo i młody poeta z pogranicznej prowincji mogli zaistnieć z powodzeniem w kontekście ogólnoczeskim? Zróbmy mały krok wstecz i odnotujmy parę okoliczności.

Podsumowując nowsze inicjatywy badawcze dotyczące literatury na czeskim obszarze Śląska, Libor Pavera wspominał z pewną zazdrością o zasobach silesianów u polskich i niemieckich przyjaciół. Wymienił zwłaszcza obszerną syntezę Arna Lubosa *Geschichte der Literatur Schlesiens I–III (1960–1974)*, której tom III pozostaje ciągle ujęciem unikatowym, gdyż uwzględnia obszernie „również literatury śląsko-polską i śląsko-czeską” (określenie Wilhelma Szewczyka). Synteza ta ze względu na swą metodologię odegrała i bodaj nadal odgrywa pewną rolę inspirującą.

Pozytywnie Lubosa przybliżył właśnie Wilhelm Szewczyk: najpierw na łamach „Zarania Śląskiego” w 1980 roku, a następnie w tomie esejów *Syndrom śląski* (w 1986 roku). Jego książkę należy uznać za pierwszy właściwy odzew na metodologiczną propozycję Lubosa, gdyż Szewczyk – choć w wymiarze tylko symbolicznym – również zdecydował się pokazać Śląsk wielu kultur. Dominują u niego oczywiście polscy twórcy związani z Górnym Śląskiem, ale mamy też portrety niemieckojęzycznego Horsta Bienka oraz łaskiego (z pogranicza Śląska, Moraw i Słowacji) Óndry Łysohorskiego.

Po latach książce Szewczyka oddał sprawiedliwość Henryk Waniek, podejmując własną próbę „scalenia Śląska” w zbiorze esejów *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257–1957*. Oświęcim i Zgorzelec to tutaj krańcowy punkt wschodni i zachodni Śląska, a więc znak, że podróż obejmuje cały Śląsk. Postawione obok obu nazw daty to z kolei sygnał, że chodzi nie tylko o przestrzeń, lecz również czas – siedem wieków śląskich dziejów. W 1257 roku w swą podróż najprawdopodobniej wyruszył pierwszy z bohaterów Wańka, niejaki Nicolao de Ossvienczin. Data 1957 to symboliczna coda współczesna, zamykająca przeprawę „z jednego końca egzystencji na drugi”, by posłużyć się sformułowaniem autora. Do Mikołaja z Oświęcimia może więc dołączyć Jakub Böhme, Angelus Silesius, ale i Rafał Wojaczek. Towarzyszy im Ahaswer, Żyd Wieczny Tułacz. Śląsk to dla eseisty jedno z istotnych skrzyżowań europejskich dróg.

Na te drogi wyruszają także „czterej mężowie” Tadeusza Sławka. Do Jakuba Böhme i Anioła Ślązaka dołączają Emanuel Swedenborg i Wiliam Blake. W efekcie otrzymaliśmy, jak podaje sam Sławek, „zapis fikcyjnych rozmów prowadzonych przez czterech wybitnych mężów, którzy w znacznym stopniu wpłynęli na kształtowanie się umysłowości europejskiej”. Ostateczny tytuł książki: *Podróż czterech mężów z Nysy do Barda Śląskiego*, to ślad długu zaciągniętego u Wańka.

Do tego dodajmy czeską wyprawę Szewczyka w świat poezji Łysohorskiego. Óndra Łysohorsky,

w przeciwieństwie do innego piewcy regionu Laška, Leoša Janáčka, tak cenionego przez Milana Kunderę (w jego eseju *Niekochane dziecko rodziny w Zdradzanych testamentach*), nie doczekał u siebie spóźnionej sławy. Jego oryginalnej poezji po większej części nie udało mu się w kraju opublikować. Umożliwił to dopiero za granicą patronat UNESCO w 1988 roku. Wcześniej, poza kilkoma pierwszymi tomami, ukazywała się jedynie w przekładach, głównie niemieckich i rosyjskich (w tym Borysa Pasternaka i Mariny Cwietajewej). Urodzony w rodzinie górniczej w śląskim Frýdku poeta uczył języka niemieckiego na Słowacji, w Ostrawie, w wojennej Moskwie (gdzie został docentem), w Bratysławie.

„Kto dzisiaj pamięta Óndrę Łysohorskiego?” – pytał Szewczyk. I kończył nieco na wyrost: „Osobliwy to przypadek w dziejach literatury światowej, w której niepodważalne miejsce zajął język jednego poety”.

Podróż Trojaka do Frýdka i próba odszukania śladów łaskiego barda ujawniła jeszcze większy rozdziew między pamięcią tłumaczy i badaczy a niepamięcią krajan. W szkicu *Rodzinny dom Óndry Łysohorskiego we Frýdku* czytamy: „Biedny Óndra. W miejscu gdzie stał jego dom rodzinny, znajduje się dzisiaj hałaśliwe skrzyżowanie, za nim na wzniesieniu lśniąca bielą sanktuarium maryjne. Wokół bloki. Odnaleźliśmy to miejsce. W pobliżu jeszcze widnieją fundamenty domu rodziców Janáčka, gliniaste doły, sztolnie w głąb śmierci. Tutaj do niedawna straszliwie burzono. Żadnego sacrum samotności we Frýdku czy Místku, żadnej górskiej ciszy w duszach. Żadnego rodzinnego domu i żadnego Óndry”. Czy to pociągająca perspektywa dla śląskiego poety? Jak rozwiąże swój dylemat: „Jestem inny od Polaka, odróżniam się również od Czecha. Kim jestem?”

Z początkiem lat 90. XX wieku w Czechach zaczęły się rysować możliwości wyjścia poza tradycyjną dychotomię: swój – obcy. Do tego momentu to, co regionalne, można było jedynie odnieść do kultury narodowej. Jeśli coś się w niej nie mieściło, było nieuchronnie marginalizowane. Sprzyjało to mityzacji faktów i przyczynkarstwu. Można wskazać choćby stopy artykułów i artykułków poświęconych związkowi ze Śląskiem Petra Bezruča. Specjalizowało się w tym m.in. Muzeum Bezruča w Opawie. W powodzi szczegółów ginął jednak autentyzm poetyckiego gestu z przeszłości. Mimo pomnikowego charakteru postaci, próba posłużenia się nią jako kluczem do zrozumienia choćby fenomenu Łysohorskiego zawiodła. Preferencje dla biografistyki zdecydowanie nie wystarczały, gdy

We Frýdku Bogdan Trojak szukał śladów Ondry Lysohorskiego.

pojawiała się potrzeba interpretacji specyfiki kulturowej regionu.

„Nasza literatura fachowa na temat ogólnego rozumienia regionalizmu jest stosunkowo uboga” – tak rozpoczął swą próbę oceny sytuacji w 1998 roku Libor Martínek. Po czym dokonał krótkiego przeglądu refleksji na temat regionalizmu „w czeskiej literaturze, kulturze i nauce”. Istotne znaczenie dostrzegł dopiero w ustaleniach przygotowanej i zinterpretowanej przez Josefa Ludvíka Fischera Ankiety na temat regionalizmu (1928), do wyników której wracano parokrotnie. Drugi etap myślenia o regionie to okres powojenny, gdy początkowo traktowano tę problematykę jako relik „burżuazyjnego nacjonalizmu” (tu casus Łysohorskiego), wkrótce jednak pojawiła się ona w poważniejszej refleksji, zwłaszcza inicjowanej w Ostrawie, nie mogąc się jednak do końca pozbyć odium „tendencji reakcyjnej”.

Przykładem zdominowania ocen przez ideologię może być oficjalny stosunek do zaolziańskiego

twórcy Henryka Jasiczka, wyraźnej indywidualności czesko-polskiego pogranicza, który – jak napisał we wspomnieniu Oldřich Šuleř – „umarł zbyt wcześnie, udręczony i nieszczęśliwy”. Pozbawiono go w latach 70. możliwości publikowania i zmuszono do jałowej pracy korektora. Czeski autor wspomnienia wskazywał, interpretując ów przykład, na „gorzki los polskiego poety” na Zaolziu. W zależności od koniunktury wytykano mu przecież „raz z czeskiej – pisał Šuleř – raz z polskiej strony garb nacjonalistyczny” i dopiero upadek komunizmu pokazał, że lepiej dzielić ludzi według innych kryteriów.

Tak wkroczyliśmy w początek lat 90. XX wieku, gdy pojawiły się nowe pomysły ożywienia badań regionalnych i zaczęto mówić o ich trzecim etapie. Ponieważ ma to bezpośredni związek z kwestiami, które nas interesują, odnotujmy dwie inicjatywy praskie: konferencję „Regiony i ich interpretacja” Centrum Komparatystyki z Uniwersytetu Karola (1993) oraz tom studiów *Powieść a „genius*



W kościele św. Katarzyny w Wędrzyni wisi dzwon odlany w krakowskiej ludwisarni.

loci” firmowany przez Instytut Literatury Czeskiej w Akademii Nauk Republiki Czeskiej (1993). Szczególnie ten ostatni zbiór prac, obejmujący doświadczenie literatury europejskiej i amerykańskiej, uznano za pierwszą na gruncie czeskim interesującą próbę ujęcia wielokulturowości. Pozwoliło to oderwać się od dominującej wcześniej praktyki w stosunku do regionów i zaważyło na kierunku dalszej refleksji. Refleksję podjęły zwłaszcza nowe uczelnie: Uniwersytet Śląski w Opawie i Uniwersytet Ostrawski, co znalazło odbicie w cyklu konferencji i stosownych tomów pokonferencyjnych.

Równolegle podjęto badania empiryczne nad rozumieniem regionu i tematyki regionalnej w odbiorze czytelniczym. Stosowną ankietę przeprowadziła Svatava Urbanová (w 1998 roku), która pewne obserwacje i doświadczenia z tego zakresu zgromadziła już wcześniej. Pozwoliło to jej nie tylko doprecyzować stosowne pojęcia z zakresu problematyki regionalnej, ale również uwzględnić znaczenie doświadczeń historycznych, składu narodowości-

wego mieszkańców, wielojęzyczności i wielokulturowości, a przy okazji uchwycić dynamikę zachodzących zmian. Sformułowała tezę, że „model jedyne idealnego systemu czy struktury wydaje się współcześnie nie do utrzymania, podobnie jak Herderowska koncepcja narodu etnicznego i państwa narodowego”. Przypomniła o znaczącym wpływie środków masowego przekazu, roli funkcji informatywnej i ludycznej, wreszcie o zróżnicowanym stosunku do tradycji.

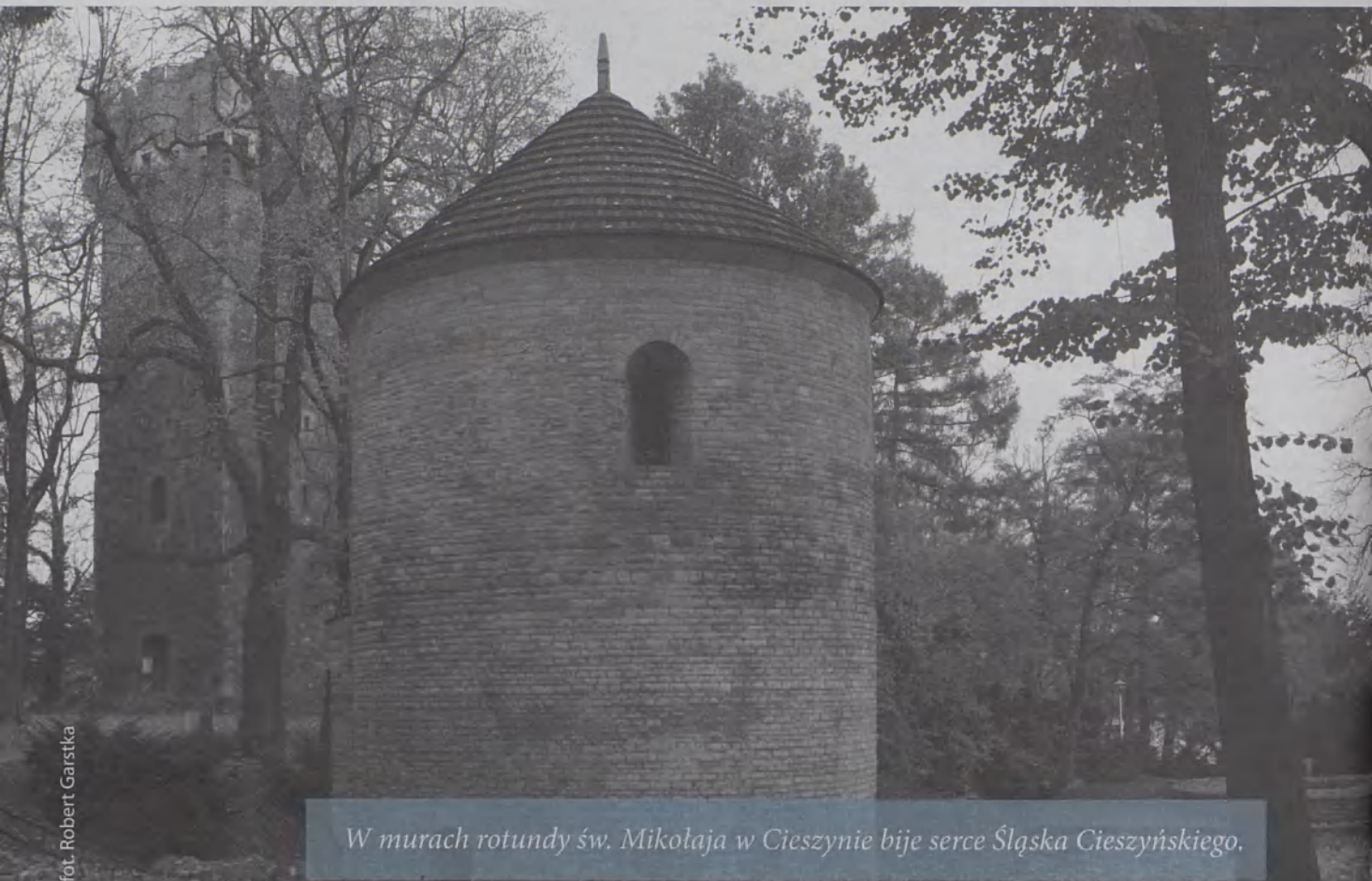
Dopowiedzmy, że Urbanová współtworzyła Instytut Studiów Regionalnych na Uniwersytecie Ostrawskim, zorientowany na badania „aspektu interetnicznego” w literaturze, folklorze oraz kulturze śląskiej i ostrawskiej, a wraz z zespołem przygotowała m.in. *Słownik literacki północnych Moraw i Śląska. 1945–2000* (wydany w 2001 roku). Obok starszych inicjatyw i twórców „regionu ostrawskiego” przedstawiono w nim grupy, pisma i autorów lat 90. Znalazło się tam miejsce dla Bezruča, Łysohorskiego, Jasiczka, Trojaka.

Możemy więc nareszcie wrócić do śląskiego poety Bogdana Trojaka. Jego zainteresowania i pasje wpisują się bowiem w znacznym stopniu w rytm zmieniającego się myślenia o regionie w ostatnim dziesięcioleciu XX wieku: są próbą wyciągnięcia wniosku z tego, co oznacza zachwianie się pielęgnowanych przez Czechów od początku XIX wieku Herderowskich wyobrażeń o narodzie oraz określenia się wobec tradycyjnie formułowanej alternatywy: kultura wysoka – kultura niska.

Na oba te problemy rzuca światło zwłaszcza większy esej Trojaka, prezentowany jako wykład dla słuchaczy z estońskiego Tallina w maju 2002 roku. Nosi tytuł *W kotle Bruncwika* i nawiązuje do staroczeskiego podania heraldycznego o Sztylfrydzie i jego synu Bruncwiku, którzy kocioł w herbie swego kraju postanowili zastąpić znakiem bardziej godnym. Sztylfryd zastąpił więc kocioł orłem, a Bruncwik orła jeszcze godniejszym lwem. Przypomnienie owego archaicznego kotła okazuje się dla Trojaka ważne, zwłaszcza że (jak to podkreśla) słowa „kocioł” i „kotlina” (kotel, kotlina), a chodzi tu zwłaszcza o Kotlinę Czeską, mają wspólny rdzeń.

Pisze zatem: „W Republice Czeskiej po dziś dzień dzieli się poezję na czeską i morawską, na tę z obszaru Czech i tę z obszaru Moraw. W ramach prozy z podobnym podziałem nie spotykamy się równie często. Dzieje się tak pewnie dlatego, że poezja jest szczególnie predysponowana, by ją współtworzyć z duchem miejsca, gdzie powstaje, że ów duch ją przenika. Poezja, choć eteryczna, powinna zawsze wyrastać ze świeżo wzruszonej gleby, bez tego namacalnego, maziściego podłoża jej siła oddziaływania i autentyzm jakoś znikają”.

Zwróćmy uwagę, że przywoływany tu *genius loci* łączy się ściśle z wyodrębnieniem stref pomniejszych: właściwej czeskiej i morawskiej. Z kolei eteryczność nie jest do pomyślenia bez umazanych rąk. Trojak, chociaż występuje jako poeta czeski, identyfikuje się z morawskością. Od wielu lat mieszka zresztą głównie na Morawach. Ale to oczywiście nie jedyne i nie najważniejsze powody, by wyróżniać Morawy. Obszar ten bowiem – poprzez brak jednego dominującego centrum, podział na subregiony i pewien prowincjonalizm – wydaje się bardziej pierwotny, bliższy starym tradycjom, życzliwszy temu, co lokalne, a więc i graniczącemu z nim



W murach rotundy św. Mikołaja w Cieszynie bije serce Śląska Cieszyńskiego.

Śląskowi Cieszyńskiemu. Na tym ostatnim skrawku tradycji odrzuconego staroczeskiego kotła wydają się przypominać kotły przemysłowe. W Czechach właściwych natomiast wyodrębnia się ich północne obrzeże z odnawianą pamięcią czesko-niemieckich związków. Wskazany podział obejmuje zatem również relacje interkulturowe: czesko-niemieckie i (po trosze w domyśle, ale nieco dalej już czytelnie) czesko-polskie.

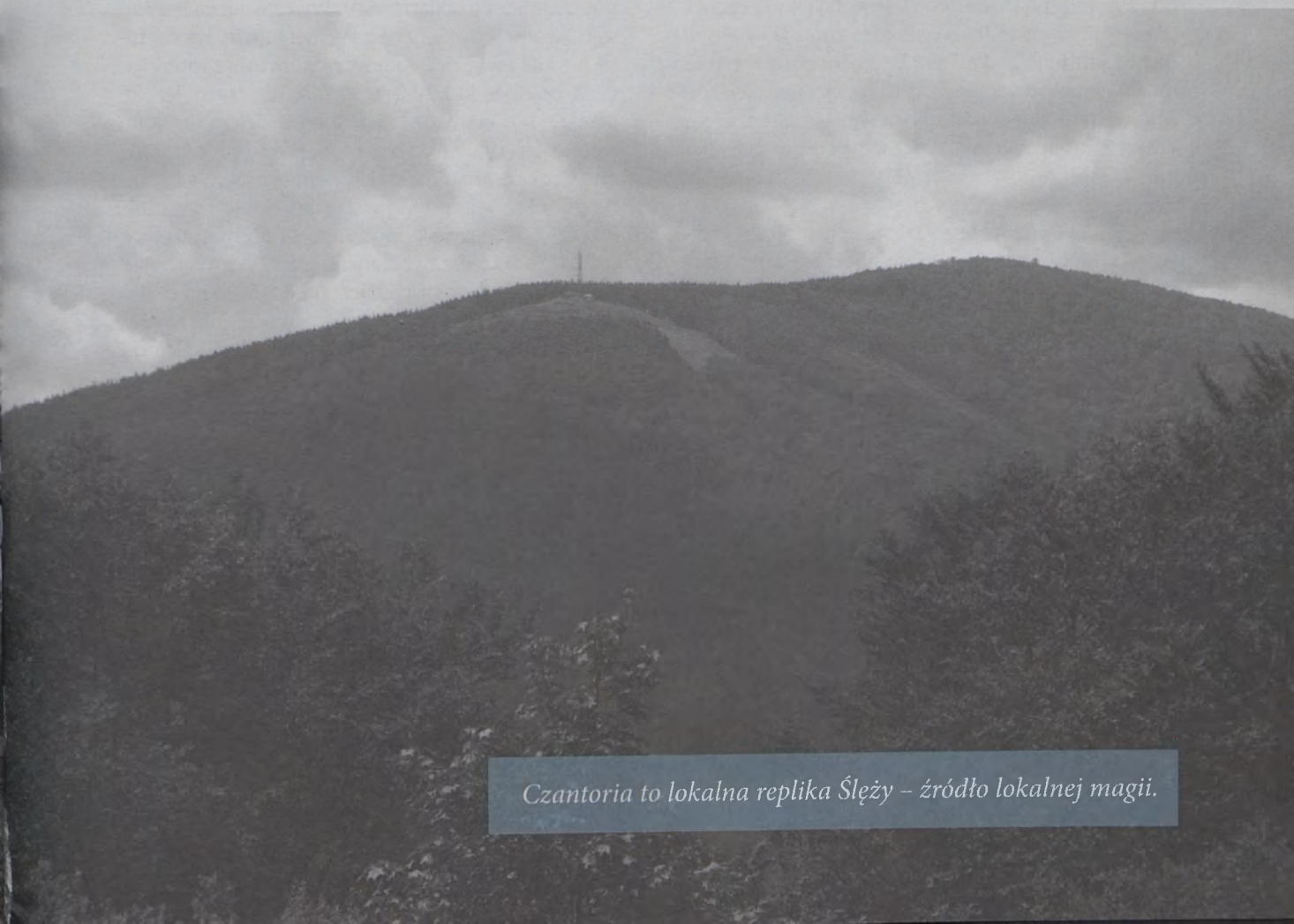
Jak pamiętamy, Henryk Waniek wyruszył w swą mistyczną podróż z Oświęcimia. Również dlatego, że sam w tym mieście się urodził. Trojak natomiast w referowanym szkicu, ale i w *Genius loci Śląska*, kończy swą marszrutę w Wędryni i jej okolicach. Ten odwrotny kierunek ruchu nie wydaje się całkowicie przypadkowy, choć początkowo może nas nieco zaskakiwać. Czyżby w hierarchii ważności okolice domu rodzinnego lokowały się najniżej? Jak by się to zatem miało do manifestowania regionalnych preferencji autora?

Punktem wyjścia jest dla Trojaka góra Ślęża jako miejsce, które użyczyło Ślązakom imienia i zaraz po niej Wrocław jako historyczna stolica rozległej

krainy, dzisiaj miasto z zupełnie nowym składem mieszkańców. „Śląsk jest podzielony – konkluduje autor – i nie może dać sobie rady sam ze sobą. W sposób naturalny rozwinął się może tylko Śląsk Cieszyński, zwłaszcza jego wschodnia część – mało dostępny region jabłonkowski, gdzie już od stuleci zamieszkuje osobliwy górski lud”.

Dalsza wędrówka zahacza o miejsca poetyckich wtajemniczeń eseisty. Mignie więc ostrawska ulica, a na niej przyjaciel z pismem „Modrý květ”. Długi passus zostanie poświęcony śląsko-morawskiemu miastu Frýdek-Místek. Ten hybrydyczny twór to nie tylko miejsce, gdzie ukazywało się pismo „Modrý květ”, ale i gdzie żyje grecko-czeska poetka Ella Tiliu, i skąd rysuje się wyniosła sylwetka Łysej Góry – to w jej okolicy przywędrował ze Styrii pradziad Trojaka, by osiąść we wsi Morávka jako gajowy. Przejdziemy jeszcze przez Karwinę i Orłową i dotrzemy do Cieszyna.

Cieszyn to szczególnie ważne miasto. Tu zachowało się „historyczne centrum z romańską rotundą św. Mikołaja, w której murach bije serce Śląska Cieszyńskiego”. W niej właśnie przez kilka lat odbywały się literackie spotkania o nazwie „Kamień czy sło-



Czantoria to lokalna replika Ślęzy – źródło lokalnej magii.

wo”, w których uczestniczyli autorzy z obu stron granicy, kontynuowane następnie w pozostałościach morawskiego zamku Hukvaldy. „O Cieszynie dałoby się mówić bardzo długo” – podkreśla Trojak. I kończy akapitem:

„Jakie jest naprawdę miasto poetów, przemysłników wódki i drukarni? Muszę wspomnieć chociaż poetkę Renatę Putzlacher, która w swojej literacko-muzycznej kawiarni »Avion« stara się wskrzesić *genius loci* starego, zaginionego Cieszyna. Pomaga jej w tym Cieszyniak Jarek Nohavica oraz inni miejscowi literaci, malarze i aktorzy. Projekt Kawiarnia Avion wykracza według mnie poza granicę regionu i daje Cieszynowi to, czego nie mają nawet duże centra kulturalne”.

Ciekawe, że ani jednym zdaniem autor nie wspomniął tu o własnych latach spędzonych w polskim gimnazjum, o uczniowskiej grupie PaRaNoJa i o poetyckich początkach w języku polskim – trafiły one do dwu almanachów z lat 1993–1994. W kolejnym roku, gdy zanikło pismo frydecko-misteckie, Trojak wziął sprawy w swoje ręce i założył z przyjaciółmi „Weles”. Pierwszy numer pisma ukazał się pod koniec 1995 roku. Periodyk powstał jako organ Wędryńskiego Towarzystwa Literacko-Estetycznego (Vendryňská literárň-estetická společnost). „Weles” to skrót tej nazwy, nadto stara słowiańska nazwa jednego z diabłów. Wieloznaczność tytułu miała sygnalizować wielokulturową orientację pisma, w tym odnowione w ostatniej dekadzie XX wieku zainteresowanie związkami czesko-celtyckimi.

Z Cieszyna zatem, poprzez hutniczy Trzyńiec, trafiamy w *Genius loci Śląska* do beskidzkiej Wędryni, a stąd na Czantorię. Oba te miejsca to zasadniczy punkt oparcia śląskiej wizji poety. Pamięć o przeszłości trwa w Wędryni za sprawą ludzi, jak dziadek Kujawa, i wytworów kultury, jak stary wędryński kościół ze wspaniałym dzwonem odlanym w XV wieku w krakowskiej ludwisarni. Bliźniaczy brat dzwonu z Wędryni, znany jako pół-Zygmunt, wisi na wieży kościoła Mariackiego. Właśnie Kraków, ale też Wrocław, okazują się istotnymi współrzędnymi, które pozwalają zrozumieć kierunek ruchu ku Wędryni, a nie z niej w świat.

Ujawni to w pełni dopiero kolejny szkic Trojaka, *Kościół św. Katarzyny i stary wędryński dzwon*. Uświadomi, że istotne światło na początki wsi rzuca dokument wrocławskiego biskupa Henryka I z 1305 roku, w którym wymienia się po raz pierwszy nazwę Wędrynia. Przypominana w *Genius loci Śląska*, że pamięć dziadka i napis na wędryńskim dzwonie pozwalały trwać przeszłości. Wskazywany wrocław-

ski dokument przesuwając granice pamięci jeszcze bardziej wstecz, ku początkom.

Okazuje się, że świadomość własnego miejsca w przestrzeni bez zewnętrznych współrzędnych nie może być pełna – ba, jest ułomna. Ta lekcja wydaje się ważna dla Trojaka myślenia o regionie. I może tłumaczy, dlaczego poeta nie zaniedbał poszukiwania kolejnych punktów na zewnątrz. Takimi dalszymi punktami staną się dla niego m.in. Brno czy Kunštát (Kuní město). Pozostała jeszcze Czantoria ze swą legendą o zaklętych rycerzach. Jako stare miejsce kultu jest to lokalna replika Ślęzy – źródło ludowej magii. I jedno z możliwych źródeł poezji. Nie ma tu miejsca na mistykę, ale wytrwale broni się mit. Dlatego autor kończy esej o śląskim duchu miejsca następującą refleksją o krainie leżącej u stóp zachodniej części Czantorii:

„Kraj ani czeski, ani polski, śląska Gorolska republika, ziemia krzemiennego, upartego ludu, który przez całe dzieje przeciągały na swoją stronę sąsiednie narody. Ludzie mówią tutaj jedną gwarą, jeden uważa się za Czecha, drugi zaś za Polaka. Jak zajdzie potrzeba, wszyscy są ślązoki i gorole. Robią wrażenie surowych, lecz z łatwością złagodnieją, gdy z nimi przy szklarni warzónki zaśpiewacie. Wesele, skromni, troszeczkę hałaśliwi ludzie. Każdy tutaj ma kilku wujów Pepinów. I jest to kraj zapomnianych poetów, którzy przeważnie tworzą w języku polskim lub w gwarze i ich śpiew dociera do dolin z górskich kryjówek z bierwion. Nie są zbyt czytani, ani w Polsce, ani na czeskich ziemiach. Swoje błękitne góry kochają ponad wszystko. Kubisz, Jasiczek, Przeczek. Te nazwiska podobne są do małych wiatraków ze skrzydłami z cienkiej blachy, których znajduje się w Beskidach niezliczoną ilość. Poeci ci dostrzegają wieczne rozdarcie swojej ojcowizny. Jestem inny od Polaka, odróżniam się również od Czecha. Kim jestem? Kiedy będzie najgorzej, po kogo stronie staną rycerze z Czantorii?”

Brak odpowiedzi na końcowe pytanie jest nieco mylący. Trojak czyta i pisze po polsku, realizuje się jednak jako poeta śląsko-czeski. Asymetria dwujęzyczności jest wyraźna. Jednak kariera literacka Trojaka jako czeskiego poety (niekryjącego śląsko-polskich korzeni) i grupy Weles, osadzonej mocno w realiach po drugiej stronie Czantorii, potwierdzały atrakcyjność przedłożonej Czechom oferty, stawiającej w miejsce zdyskredytowanych mitów oficjalnych jeden z mitów lokalnych. Duch miejsca okazał się życzliwy. ■

Józef Zarek – profesor, historyk literatur zachodniosłowiańskich, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, zajmuje się głównie nowszą literaturą czeską i słowacką

Niedopowiedziane terytorium

Zaskakująca jest marginalna obecność polsko-czeskiego pogranicza w dyskusjach o Śląsku. Choć to nieodłączna część regionu, geograficznie i kulturowo bliska, spychana jest na obrzeża. Nawet pojawienie się jej w znanych tekstach, np. Jerzego Pilcha, rzadko inspiruje do dalszych poszukiwań. Warto jednak się na takie poszukiwania wybrać.

Czeska część Śląska jest w Polsce kojarzona przede wszystkim z konfliktem o Zaolzie i poświęconymi mu kilkoma, może kilkunastoma akapitami w podręcznikach do historii lub rzadziej ze szkolnymi interpretacjami Gustawa Morcinka (1891–1963). A przecież Zaolzie, dokładniej: rodzinne miasto pisarza – Karwina, jest stałym (ale nie zawsze widocznym) elementem jego twórczości. I choć z wiekiem oddalił się od tamtych stron, to przecież na stałe wprowadził je do literatury polskiej.

! Pogranicze konfliktów !

Płenna napięć atmosfera pogranicznej Karwiny została najpełniej oddana w *Wyrąbanym chodniku*, zwłaszcza w pierwszej jego wersji. Sporo miejsca poświęcił w niej autor nieraz nakładającym się problemom: konfliktom na tle narodowościowym oraz częstym w czasach rozwijającego się

przemysłu sporom klasowym. Konflikty zresztą, podobnie jak symbioza różnych kultur, są na stałe wpisane w pogranicze. Warto tu wspomnieć o wybitnych, niejako wyrosłych z tych sporów *Pieśniach śląskich* Petra Bezruča, którego teksty, jak w przypadku Morcinka, przez wiele lat poddane były narzuconej (w tym przypadku: antykapitalistycznej) interpretacji.

W jedynym, wielokrotnie redagowanym zbiorze wierszy Bezruč (najprawdopodobniej Vladimír Vašek; 1867–1958) skupiał się na niedoli uciskanego ludu śląskiego. Widoczny jest tutaj sprzeciw nie tylko wobec wyzysku, ale także wobec narzucanych, jednorodnych pod względem narodowościowym wizji tego pogranicza. Niestety, zaledwie kilka z tych pieśni przetłumaczono na język polski (być może ze względu na motywy antypolskie). Dlatego wciąż nieznana jest złożona bezručowska koncepcja śląskości.

Jako stały element pogranicza konflikty pojawiają się często w literaturze o czesko-polsko-słowacko-niemieckim Śląsku. Bezpośrednio obserwowali je (i poczuli na własnej skórze) nie tylko Bezruč czy Morcinek, ale także inni pisarze, w tym Ota Filip, urodzony w Ostrawie (w 1930 roku) i powracający do niej w licznych tekstach. W najbardziej znanej powieści, we *Wniebowstąpieniu* Lojzka Lapaczka ze *Śląskiej Ostrawy*, Filip opisywał nie tylko przerażające efekty nacjonalizmów z czasu II wojny światowej i późniejsze, lecz również ich sztuczność, a nawet – z oddalenia (pisarz wyemigrował do Niemiec, mieszka niedaleko Monachium) – śmieszność. Poboczni bohaterowie jego powieści przekonywali się wzajemnie, jeszcze przed wybuchem wojny, że miasto jest czeskie, polskie bądź niemieckie, toczyli gwałtowne spory popierane odpowiednio interpretowaną historią. Jednak orędownikiem sprawy czeskiej był Niemiec z pochodzenia, polskiej – co prawda Polak, ale nieodnajdujący się nigdzie poza Ostrawą, a niemieckiej – Václav, który zmienił imię na Wenzel...

I Pogranicze porozumienia I

Zwłaszcza w literaturze najnowszej częściej podkreśla się wartość życia na pograniczu, czerpanie z wielości języków, naukę funkcjonowania w pełnym sprzeczności, ale wyjątkowym świecie. Wspólnota przeżyć (pozytywnych i negatywnych), tęsknota za minioną wielokulturowością, świadomość różnorodności, a także radość z tego, co zostało – budują nie porozumienia przebiegające przez tutejszą twórczość literacką (polsko- i czeskojęzyczną).

Najbardziej znanymi autorami afirmującymi, choć nie bez zastrzeżeń, ten fragment Śląska są pisząca po polsku Renata Putzlacher (ur. 1966 w Karwinie) oraz czeskojęzyczny pieśniarz Jaromír Nohavica (ur. 1953 w Ostrawie). W wielu ich utworach podkreślana jest trudna historia pogranicza, jego kulturowe i narodowościowe zróżnicowanie oraz wynikające z nich (nieoczywiste) bogactwo, co widać zwłaszcza w wierszach zawartych w tomie *Ziemia albo – albo* Putzlacher oraz w piosenkach z płyty *Dziwne stulecie* Nohavicy. Wspaniałym przykładem literackiego pogranicznego dialogu między tymi autorami są współgrające z sobą utwory: *Divertimento cieszyńskie* (Putzlacher) oraz *Cieszyńska* (Nohavica) ukazujące – każdy na swój sposób – kruchą symbiozę zróżnicowanej społeczności niszczonej przez niezrozumiałe decyzje zapadające w odległych stolicach.

Podobne tony, wyrażające niezadowolenie z odgórnych podziałów pogranicza, pojawiają się

w twórczości polskiego emigracyjnego pisarza Pawła Łyska (1914–1978), związanego pochodzeniem z Trójwią (Koniakowem, Istebną, Jaworzynką). Jego utwory osadzone w polsko-czesko-słowackiej przestrzeni ukazują rodzaj kulturowej jedności beskidzkiej, niszczonej przez „kopce graniczne”, które pojawiły się po I wojnie światowej. Z kolei w utworach Jerzego Pilcha (ur. 1952 w Wiśle) dziejących się na Śląsku Cieszyńskim, ale głównie po polskiej stronie granicy, ważniejsze od podziałów narodowościowych są te religijne (co widać np. w *Innych rozkoszach*).

I Ginące wspólnoty I

Pograniczne wspólnoty (i przestrzenie, w których egzystują) opisują tworzący w języku czeskim pisarz polskiego pochodzenia Jindřich Zogata (ur. 1941 r. w Jaworzynce) czy poświęcająca wiele uwagi zagadnieniom hulczyńsko-opawskim Eva Tvrdá (ur. 1963 r. w Opawie). Są to w dużej mierze społeczności, które właśnie znikają bądź zniknęły, co jest związane nie tylko z geopolityką, ale też ze zmianą cywilizacyjną – niszczeniem struktur wiejskich pod wpływem rozrastającego się przemysłu. Beskidzka wspólnota górali, opisana przez Zogatę w trylogii śląskiej, rozpada się (co najpełniej jest opisane w *Owsie na strzechach*). Natomiast Kraj Hulczyński ubożeje kulturowo i językowo wskutek wysiedleń niemieckojęzycznych Ślązaków oraz Niemców, o czym wielokrotnie pisze Tvrdá (zarówno w tzw. trylogii śląskiej, jak i w *Dyskretnym uroku Śląska*).

Mimo nieraz bolesnych przekształceń, literatura znajduje miejsce na spojrzenie idealizujące, przywołujące krainę dzieciństwa, szczególnie w wierszach Bogdana Trojaka (ur. 1975), polsko-czeskiego poety z Wędryni. Więcej w nich zachwyty nad „małą ojczyzną” niż relacji z jej znikania. Jednak, co trzeba zaznaczyć, Trojak pisze co prawda o pograniczu, ale niejako „zagojonym”, po tragicznych wydarzeniach przywoływanych przez wcześniej wspomnianych pisarzy. Powrót poety do rodzinnej krainy i niemal sielankowy jej obraz (zwłaszcza w tomie *Pędzłem kuny*) można czytać też jako odrzucenie stereotypu czarnego Śląska. Nie ma tu miejsca dla hutniczego Trzyńca, znajdującego się przecież nieopodal Wędryni.

Specyficzna, pograniczna wspólnota tworzy się także w miastach przemysłowych. Do Ostrawy, tej siostry Katowic, będącej tłem i nieraz tematem twórczości czeskiego prozaika Jana Balabána (1961–2010), laureata nagrody Magnesja Litera, przyjeżdżali za pracą nie tylko Czesi z odleglejszych regionów, ale także Polacy, Słowacy, Ukraińcy (wielu

z nich porzucało rodzinne wsie). Tworzyli oni wielojęzyczną, wielowyznaniową społeczność, niewolną od konfliktów, zogniskowaną wokół ciężkiej pracy i łatwych przyjemności – oswojoną z wizją rychłej śmierci, skupioną na sprawach doczesnych (co autor opisał np. w *Lęku o duszę* oraz w *Którędy szedł anioł*).

I Odbudowa dialogu I

Sięganie do nieco wyidealizowanej wizji Śląska Cieszyńskiego sprzed dwudziestowiecznych wojen może być podstawą dialogu nie tylko literackiego, ale i kulturowego. Warto przypominać, że żyli tutaj nie tylko Czesi i Polacy, ale też Niemcy, Słowacy, Żydzi... Zapewne znalazłoby się miejsce jeszcze dla kilku narodowości, choć – co znamienne – rzadko mówi się o śląskości w takim kontekście, jak w Polsce.

Literacko-teatralnym symbolem takiej koncepcji tego regionu, a także próbą wskrzeszenia jego wielokulturowej przeszłości, artystycznego przetworzenia trudnych tematów może być spektakl *Cieszyńskie nebe / Těšínské nebo* – wynik współpracy Tomaša Kočki, Renaty Putzlacher, Jaromíra Nohavicy i Radovana Lipusa – wystawiony po raz pierwszy w 2004 roku w Czeskim Cieszynie, następnie wielokrotnie prezentowany w tym mieście i poza nim. Jego autorzy odnieśli sukces, zwracając uwagę na trochę już przykurzoną historię podwójnego miasta: Cieszyna – Těšína. Spektakl obalał stereotypy, stając się hymnem na cześć miasta, afirmacją wielości. Grano go wielokrotnie po polsku i po czesku, choć to przecież nie wszystkie goszczące tutaj w ciągu dziejów języki. Goszczące, ponieważ gościnność jest ważnym dla całego Śląska pojęciem, wydawałoby się – gościnność utracona, bo przecież trwająca latami nieprzychylna obcość władz centrali powodowała zamknięcie (przymknięcie?) drzwi śląskiego domu.

Trudny nieraz dialog międzykulturowego porozumienia znalazł swoje miejsce w odbudowanej po wielu latach kawiarni „Avion”, znajdującej się tuż przy moście granicznym łączącym dwie części Cieszyna. Zbudowana w 1933 roku przez Żydówkę Rosalię Wiesner była ważnym ośrodkiem kulturalnym i towarzyskim, mówiło się w niej po niemiecku, czesku, polsku, „po naszymu” i w jidysz; zburzono ją parę lat później, gdy te tereny opanowały niemieckie wojska. Puste miejsce po kawiarni długo było widocznym śladem przemocy.

Jednak wiele lat po wojnie kawiarnia „Avion” zaczęła swoją drugą egzystencję – we wspomnieniach, zapiskach, na zdjęciach; wiodła papierowy żywot, stopniowo odradzając się – najpierw w tek-

stach poetyckich i piosenkach (Putzlacher i Nohavicy), potem w kabarecie, wreszcie w Towarzystwie Avion, które doprowadziło do odtworzenia nie tylko samego budynku i jego kawiarnianej funkcji, ale także, powtarzając minione, zbudowało małą-wielką przestrzeń rozmowy. Putzlacher mawiała o „Avion”, że to kawiarnia, której nie ma (jej nowa książka ma to stwierdzenie w tytule). Dzisiaj można tę wypowiedź zmodyfikować: kawiarnia przy granicy, której nie ma (jest na mapie, ale nie odczuwa się jej obecności tak mocno, jak 20–30 lat temu).

I Rejony mniej znane I

Ziemią nieznaną, nieodkrytą dla polskojęzycznego odbiorcy jest Kraj Hulczyński. Inne, polsko-czesko-niemieckie (jeśliby pozostać przy narodowych rozróżnieniach) pogranicze. Przestrzeń przeważnie rolnicza, usiana małymi miastami i wioskami, przez długi czas odrębna ze swoim językiem (morawski z licznymi niemieckimi naleciałościami), wiarą (katolicyzm), przywiązaniem do roli, opierająca się niechcianym, wymuszonym przemianom, podlegająca w dziejach różnym władzom państwowym. Znalazła ona ważne miejsce w twórczości Evy Tvrdej.

Zatem czeska pisarka Eva Tvrďá podkreśla, ale nie ocenia, odmiennność Kraju Hulczyńskiego (przez długi czas – od 1742 do 1920 roku – był on częścią państwa pruskiego, nie zaś monarchii habsburskiej, jak większość czeskiego Śląska). Jej teksty poświęcone rejonom opawskim i hulczyńskim są próbą pokazania dramatycznej nieraz historii i uczestniczącej w niej wbrew własnej woli miejscowej społeczności. Pisarka porusza problemy ważne także po polskiej stronie granicy: wysiedlenia i przesiedlenia, złe traktowanie przez władze państwowe, okrucieństwa wojny, nakaz porzucenia miejscowego języka.

Warto nawiązać literacki i kulturowy dialog z „południowymi Ślązakami”, by nauczyć się czegoś o nich i o nas samych, by realizować może utopijny, ale ważny projekt odbudowy, a przynajmniej przypomnienia tej trudno uchwytnej, lecz przecież wyczuwalnej jedności Śląska. Wielojęzyczna literatura pogranicza, tutaj zaledwie naszkicowana, jest pierwszym krokiem ku zrozumieniu, szukaniu punktów wspólnych zamiast podkreślania wzajemnych animozji. ■

Karolina Pospiszil – doktorantka w Katedrze Literatury Porównawczej Uniwersytetu Śląskiego, literaturoznawczyni parająca się redakcją i przekładem, zafascynowana literaturami Europy Środkowej

TEN ZAGADKOWY BEZRUČ

W styczniu 1899 roku Jan Herben, wydawca praskiego czasopisma „Čas”, otrzymał przesyłkę z pięcioma wierszami podpisanymi pseudonimem Petr Bezruč, a wkrótce zaczęły nadchodzić kolejne. Były wysyłane z różnych miejscowości, a figurujący na liście subskrybentów Bezruč odbierał egzemplarze czasopisma na pocztę, toteż nikt nie znał ani jego tożsamości, ani adresu. Okoliczności te ekscytowały czytelników nie mniej niż same wiersze.

Wszystko to, co pisał tajemniczy Petr Bezruč, było wołaniem o pomoc dla wyzyskiwanego, na przemian to germanizowanego, to polonizowanego, to znów bohemizowanego ludu na Śląsku. Pisane po czesku wiersze zawierały słowa i zwroty wzięte z języka tego ludu, z jednej strony ubarwiały je, z drugiej nadawały im surowy koloryt. Gdy poeci czescy szukali inspiracji w obcych wzorach, pojawienie się takiej poezji było czymś nieoczekiwanym i niezwykłym. Tak narodziła się legenda „pierwszego śląskiego barda”. Dał jej początek sam Bezruč, pisząc wtedy o sobie: „Já prvý jsem z toho od Těšína lidu, / bard prvý z Bezkyd, co promluvil”.

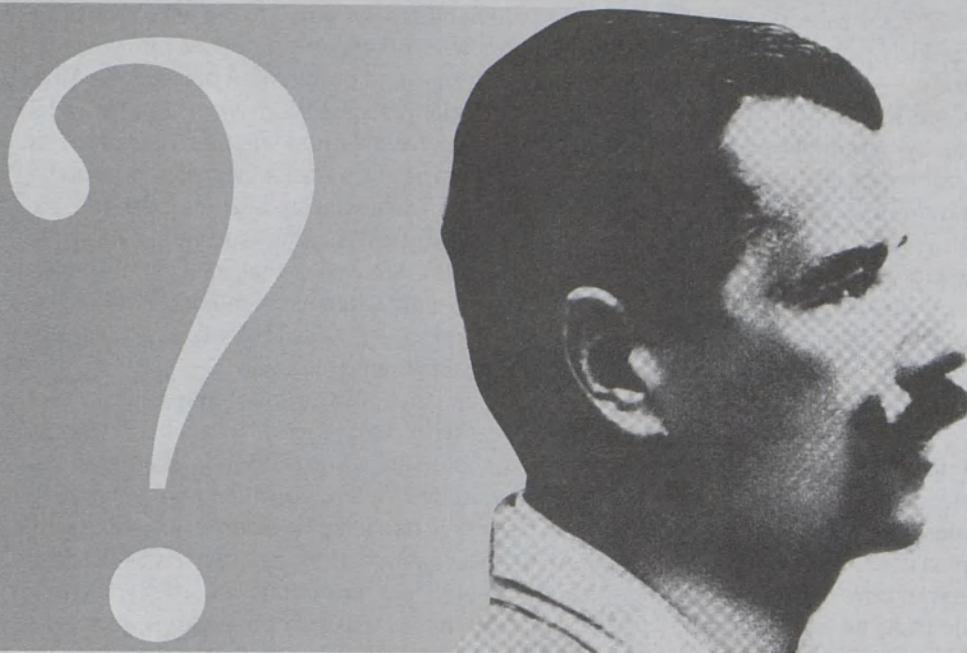
I Narodziny poety I

Wydawcy szybko pojęli, że na tej poezji można będzie zarobić. W czerwcu 1899 roku niejaki J.R. Vilímek zaczął szukać kontaktu z Bezručem poprzez ogłoszenia prasowe. Gdy ten listownie odmówił, Vilímek zamieścił w prasie kolejny komunikat: „Jeśli śląskie sprawy są Panu naprawdę tak bliskie, jak to wynika z Pańskich wierszy, musi się Pan postarać o to, by Pana książka trafiła w ręce ludu”.

Redakcja „Času” skomentowała próby Vilímka i innych wydawców następująco: „Ci wszyscy ludzie nie mają pojęcia, że swym afektowanym wychwalaniem znieważają prawdziwego poetę. I ci, którzy chcą z niego zrobić poetę modnego obecnie nacjonalizmu, i ci, którzy pragną położyć łapę na zbiorze jego wierszy, bo myślą, że da się z tego wycisnąć pieniądze. Nie, panowie, nie znacie Petra Bezruča”.

Jednak redakcja „Času” również nie miała pojęcia, kim jest Petr Bezruč. Próbując odkryć jego tożsamość, wzięto pod uwagę ponad 70 osób. Tego, że poetą jest skromny urzędnik pocztowy o nazwisku Vašek, nikt się nie spodziewał.

W roku 1903 Jan Herben wydał pierwszy numer czasopisma „Besedy Času” z podtytułem „Slezské čísto”. Po miesiącu z takim samym tytułem ukazało się pierwsze książkowe wydanie wierszy Petra Bezruča w nakładzie 3000 egzemplarzy. Tylko wtajemniczeni wiedzieli już wówczas, kto jest ich autorem. Nim czytelnicy poznali jego prawdziwe nazwisko, mogli w 1909 roku zapoznać się z nowym wydaniem jego wierszy, które ukazały się po raz pierwszy z tytułem *Slezské písně*. Dopiero rok później Adolf Kubis zdradził publicznie tożsamość poety podczas wykładu w Ołomuńcu.



I Vladimír Vašek I

Ojciec Vladimíra, Antonín Vašek (w księdze chrztów Anton Martin Waschek), urodził się 11 listopada 1829 roku w Háju ve Slezsku. Pracował jako nauczyciel gimnazjalny w Opawie, Jihlavě na Morawach i słowackich Koszycach, by w roku 1860 wrócić do Opawy. Podczas wędrowki po Czechach poznał Marię, córkę pracownika urzędu hipotecznego. Ożenił się z nią 18 września 1866 roku w Kostelci nad Labem. Ich pierwszym dzieckiem był urodzony rok później – 15 września 1867 roku w Opawie – syn, który na chrzcie w kościele pod wezwaniem św. Ducha otrzymał imiona Vladimír Johann Nepomuk. Po nim przyszło na świat jeszcze pięcioro dzieci.

W roku 1873 rodzina przeprowadziła się do Brna, gdzie Antonín Vašek zmarł (w 1880 roku), pozostawiając żonę z szóstką dzieci, z których najstarszy Vladimír miał dopiero 13 lat. W brneńskim gimnazjum radził sobie dobrze z greką, szybko nauczył się też rosyjskiego (czytał Puszkina i Lermontowa w oryginale). Najgorsze oceny miał z niemieckiego, matematyki i śpiewu. Przez jakiś czas myślał o wstąpieniu do zakonu, lecz w końcu wyjechał w 1885 roku do Pragi, by studiować filologię klasyczną.

Nauka niezbyt go jednak pociągała. Więcej czasu spędzał w gospodach i kawiarniach. Podczas pobytu w Pradze nie interesowało go, co miasto to miało do zaoferowania: nigdy nie był w Teatrze Narodowym ani w katedrze św. Wita. Nie interesował się polityką. W 1888 roku przerwał studia i wrócił do Brna, gdzie zatrudniono go jako urzędnika na po-

czcie. Z tego czasu pochodzi jego proza *Studie z Café Lustig*, którą opublikował pod pseudonimem Ratibor Suk w satyrycznym piśmie „Švanda dudák”. Talentu poetyckiego nic jeszcze nie zapowiadało.

Potem Vašek zdał egzaminy urzędnicze i przeniesiono go do Místka. Poznał tam wiele osób, które odegrały w jego życiu ważną rolę, m.in. poetę Ondřeja Boleslava Petra (1853–1893) i Dodę Bezručovą (1874–1957), wielką niespełnioną miłość. To od ich nazwisk, jak utrzymują niektórzy, pochodził jego pseudonim. W Místku miały powstać pierwsze z wierszy, które złożyły się na zbiór *Slezské písně*. W 1893 roku Vašek poprosił o przeniesienie z powrotem do Brna.

Aż do roku 1910, gdy okazało się, że jest autorem *Slezských písní*, niczego o nim nie było słychać. W roku 1911 *Slezské písně* wydane zostały po raz kolejny (a jednocześnie wydano je pod tytułem *Písně Petra Bezruče* w Chicago). Autor stawał się sławny nie tylko w Czechach. Nie przypuszczał, że wkrótce pozna gorzką stronę tej sławy.

Gdy w 1915 roku w pewnym czeskim czasopiśmie wychodzącym we Francji zamieszczono wiersze sławiące rosyjską armię i cara jako oswobodziciela Czechów podpisane inicjałami P. B., dla policji było oczywiste, że chodzi o Petra Bezručę. Aresztowano go pod zarzutem zdrady, za co mogła go podczas wojny spotkać nawet kara śmierci. Przechowywano go w więzieniu w Wiedniu, później w Brnie. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że wiersze napisał kto inny (żyjący podczas wojny w Paryżu Jan Grmela). W końcu Vaška zwolniono. Z polityką nie chciał mieć odtąd więcej do czynie-

nia. Odmówił, gdy w 1917 roku zaproponowano mu podpisanie apelu czeskich pisarzy do postów do wiedeńskiego Reichsratu.

Aż do przejścia na emeryturę w 1928 roku pracował na poczcie w Brnie. Był samotnikiem, unikał spotkań z czytelnikami, rzadko udzielał wywiadów. Choć po wydaniu *Slezských písní* nadal pisał, dla czytelników pozostał, jak Walt Whitman, autorem jednego zbioru wierszy, który wszedł do kanonu lektur szkolnych i doczekał się kilkudziesięciu wydań. Nieustannie poprawiał zawarte w nim wiersze, rzadko z dobrym skutkiem. Zmiany szły nieraz tak daleko, że zagrażały artystycznej wartości dzieła.

Gdy w 1930 roku o napisanie przedmowy do pierwszego zbioru wierszy poprosił go Ervin Goj, który miał zasłynąć później jako Ondra Łysohorsky, Vašek odpowiedział wymijająco: „Wszystko, co Pan napisał, jest piękne i poetycko powiedziane. Z ortografią się zgadzam. Jeśli jednak Pan to wyda, zostanie to skonfiskowane”. I tym razem nie chciał się angażować.

Niedługo po wojnie uhonorowano go tytułem narodowego artysty. Jeszcze przez wiele lat mieszkał w Kostelcu na Hané, dożywając do 90. roku życia. Zmarł 17 lutego 1958 roku w szpitalu w Ołomuńcu. A kult, którym otoczony był za życia, nie osłabł po jego śmierci.

Podróżując po czeskim Śląsku i Morawach niemal wszędzie można natknąć się na ulice i szkoły Bezruča, a także pomniki i tablice upamiętniające zarówno jego, jak i postacie z jego wierszy. Poświęcone mu muzeum znajduje się w Opawie, gdzie co roku ma miejsce festiwal „Bezručova Opava”.

I Autor czy autorzy? I

Już za życia Bezruča, w latach międzywojnia, niektórym wydało się jednak dziwne i podejrzane, że po wielkiej eksplozji talentu poetyckiego Vašek zamilkł, toteż nie brakowało tych, którzy zadawali sobie pytanie, czy naprawdę on jest autorem *Slezských písní*. Po wojnie wątpliwości były nie do pomyślenia, skoro poeta był ulubieńcem komunistów i kwestionowanie jego autorstwa mogłoby zostać uznane za kwestionowanie samej władzy. Do pytań o Bezruča powrócono po aksamitnej rewolucji. Wiele argumentów za tym, że *Písně* mają nie jednego, a dwóch autorów, zgromadził nieżyjący już Jan Drozd, autor książki *Autoři Slezských písní*.

Drozd zwrócił uwagę, że Vašek pochodził z Opawy i poza dwuletnim pobytem w Místku nie miał żadnego kontaktu ze Śląskiem Cieszyńskim. Tymczasem treść wielu wierszy wskazuje na to, że

ich autorem musiał być ktoś, kto nie tylko urodził się na Śląsku Cieszyńskim, ale też spędził tam wiele lat i doskonale znał jego problemy. A pracujący w Místku Vašek chciał przecież jak najszybciej uciec z tej „nudnej wsi”. W tym kontekście niezrozumiała jest miłość, jaką zapalał do Śląska Cieszyńskiego po latach. Do tego wiele wierszy Bezruča odznacza się wybitną melodyjnością, gdy wiadomo, że Vašek nie miał słuchu. Jak sam wspominał, nauczyciel śpiewu w brneńskim gimnazjum nadał mu przezwisko „Anton”, od niemieckiego „Ein Ton”, bo wszystkie piosenki śpiewał tak samo fałszując.

Za najbardziej prawdopodobnego autora tzw. jądra *Slezských písní* Drozd uważał przyjaciela Vaška, wspomnianego już Ondřeja Boleslava Petra, który urodził się 8 lutego 1853 roku w Bruzovicach położonych między Frýdkiem i Hawierzowem. Petr ukończył seminarium nauczycielskie i został nauczycielem, lecz zwolniono go dyscyplinarnie z pracy. Nie mając lepszych perspektyw, pracował jako górnik, później przyłączył się do wędrowniej trupy aktorskiej. W ostatnich latach życia pracował u swego brata Jana, który prowadził kancelarię adwokacką w Místku. Tam poznał Vaška. Zmarł – mówi się też, że popełnił samobójstwo – 27 czerwca 1893 roku.

Wiadomo, że od wczesnej młodości Petr pisał wiersze, ale z jego dorobku zachował się tylko jeden wiersz! Nie wiadomo, co stało się z resztą. W swej książce Drozd podkreśla, że pierwsze wiersze Vašek wysłał Herbenowi do Pragi dopiero po śmierci Jana Petra, brata Ondřeja Boleslava Petra, który zmarł w roku 1898. Czyżby Vašek czekał na chwilę, gdy nie będzie już nikogo, kto mógłby zakwestionować jego autorstwo?

Pytań i wątpliwości dotyczących *Slezských písní* jest nawet wiele. Jednak niezależnie, czy miały one jednego, czy dwóch autorów – ze wszystkich pomników i tablic pamiątkowych poświęconych Bezručowi spogląda twarz Vladimíra Vaška. To jemu przypadła chwała i nic chyba tego nie zmieni...

I Recepja w Polsce I

Niewątpliwie *Slezské písně* należą do arcydzieł literatury światowej. Doczekały się tłumaczenia na ponad 40 języków, w tym na niemiecki, węgierski, słowacki, rosyjski, angielski, esperanto i chiński. Natomiast w Polsce są niemal zupełnie nieznane. Z lat międzywojennych można znaleźć anonimowy przekład wiersza *Ondráš*, który ukazał się w roku 1920 w czasopiśmie „Głosy z nad Odry” i przeróbkę wiersza *Bernard Žár* zamieszczoną przez Feliksa Steuera w 1935 roku w tomiku wierszy pisanych w gwarze sułkowskiej. W la-

tach powojennych nie było nawet takich odosobnionych prób.

By zrozumieć przyczyny tego stanu rzeczy, trzeba pamiętać, że *Slezské písně* ukazały się w czasie narastania czesko-polskiego sporu o Śląsk Cieszyński. Czeska strona konfliktu musiała widzieć w tomiku Bezruča dar niebios – oto wiersze śląskie i czeskie zarazem, które można recytować podczas patriotycznych wieczorków. Nic dziwnego, że strona przeciwna przypięła im automatycznie łatkę „antypolskości”. I tak już pozostało. Do tego Polacy nie mieli nikogo, kto podjąłby z Bezručem polemikę. Zbiorki *Z niedoli śląskiej – wiersze i piosenki* (Cieszyn 1918) i *Ciennie śląskie – wiersze spod Czecha i Niemca* (Lwów 1920) Andrzeja Chmurnego nie tylko przyszły za późno, ale też nie były odpowiedzią na równie wysokim poziomie, toteż szybko zostały zapomniane.

Wspominając o antypolskości *Slezských písní*, trzeba pamiętać, że wśród 88 wierszy motywy antypolskie znajdzie się w najlepszym razie w siedemnastu (np. w wierszu *Blendovice*: Blendowickim cmentarzem szedłem raz, / polskie liczyłem krzyże. / Morawski lud – ksiądz polski rzekł tak – / będzie miał do nieba bliżej).

Warto też pamiętać, że w wielu wierszach zbioru ciemnymi barwami malowani są nie Polacy, a Niemcy, zwłaszcza „markiz Gero”, za którą to postacią kryje się książę cieszyński Fryderyk Habsburg (1856–1936), także Żydzi i nawet sami Czesi (np. w wierszu *Polska Ostrawa*: Przybysz nadęty mowę naszą psuje, / pięknej Łucynie dał haczyk na głowę, / nie zna Karwiny, Karvin ją mianuje / i na Doubrawę przechrzczył nam Dombrowę).

Jednak Czesi szybko wybaczyli Bezručovi złośliwości pod swoim adresem. Bo pisał je wszak po czesku, był więc – czy tego chciał, czy nie – rzecznikiem czeskich interesów na Śląsku Cieszyńskim. ■

Miroslaw Syniawa – współzałożyciel stowarzyszenia Pro Loquela Silesiana, współautor śląskiego elementarza, tłumacz poezji na śląski

PETR BEZRUČ

Toszōnowice

*Z Frydka szoł żech do Cieszyna.
Syrpiyń bōł i gorko było,
na szosyji żech dogōniōł
gryfnō dziouchā z Toshōnowic.*

*Pochwōlōny, dziouszko szwarnō.
Na wiek wiekōw – padō – panie.
Kaj to idziesz? Do fabryki
do Cieszyna z Toshōnowic.*

*Tyś je Polka? Ni, Morawka.
Pokōzała biołe zōmbki,
krziwo na mie sie wejzdrzała
gryfnō dzioucha z Toshōnowic.*

*U nōs jyno rechtōr Polōk,
tyn nōm dōwō polske ksiōnżki,
ale rzōndzōm pō morawsku
wszyjscy, co sōm z Toshōnowic.*

*Folwarkym gōdka źwiyńczała
Harasowskich, Toshōnowskich
kejś. A terōz cudzōm gōdkōm
Rzōńdzi już Tluk z Toshōnowic.*

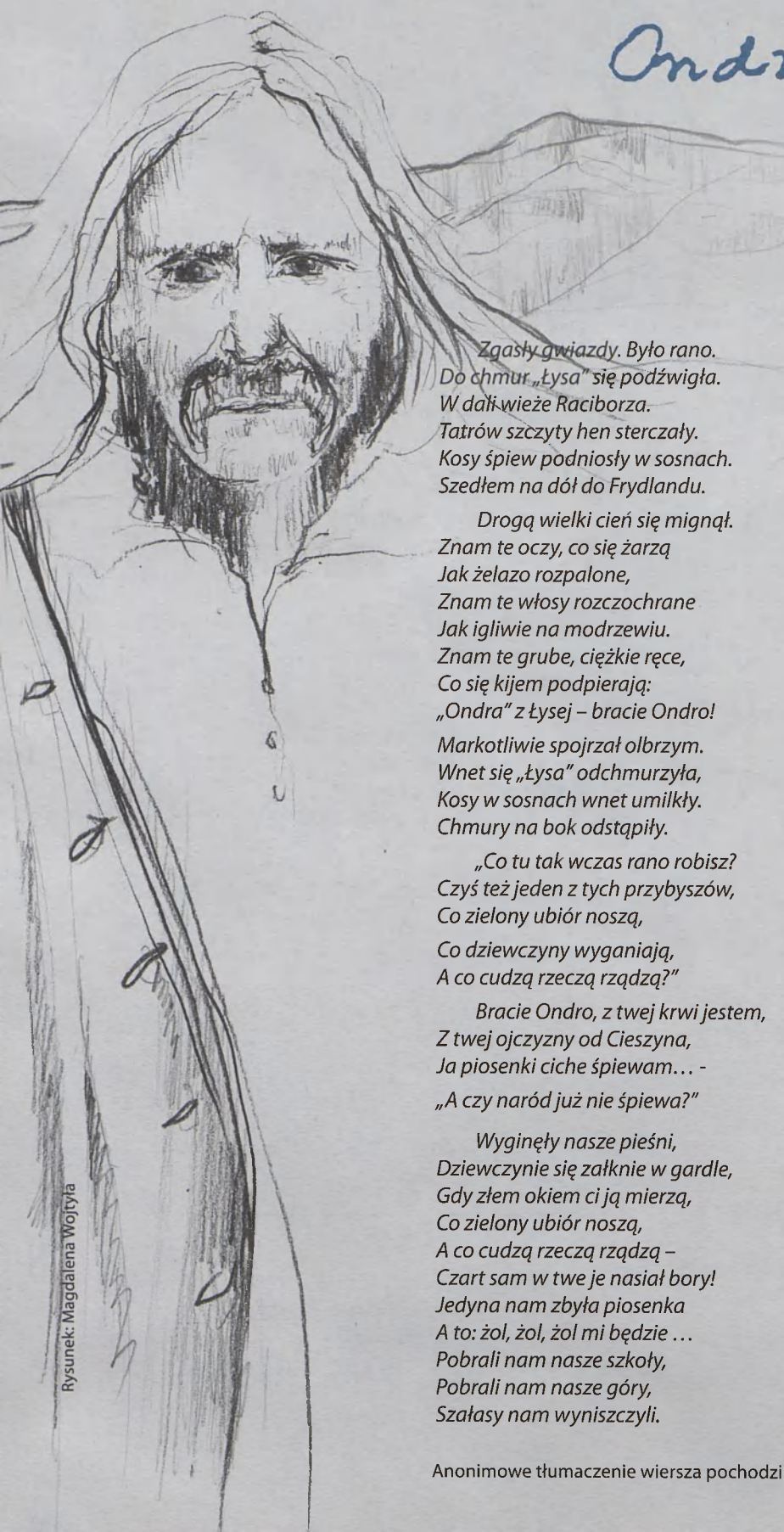
*Jak sie rōz sam juzajś wrōcā,
pujdā z Frydka do Cieszyna,
przyjdā Dobrō, Wojkowice,
pujdā kole Toshōnowic.*

*Pujdā kole polskij szkoły,
spōmnā, jak to sie gorszyła,
kejch sie pytoł, czy je Polka,
szwarnō dzioucha z Toshōnowic.*

Przełożył z czeskiego na śląski Miroslaw Syniawa

Wiersz *Tošonovice* pochodzi z tomu *Slezské číslo* (Praha 1903), w późniejszych wersjach jest bogatszy o sześć wersów, które – moim zdaniem – zepsuły rytm pierwotnej wersji.

Ondra



Zgasły gwiazdy. Było rano.
Do chmur „Łysa” się podźwignęła.
W dań wieże Raciborza.
Tatrów szczyty hen sterczały.
Kosy śpiew podniosły w sosnach.
Szedłem na dół do Frydlandu.

Drogą wielki cień się mignął.
Znam te oczy, co się żarzą
Jak żelazo rozpalone,
Znam te włosy rozczochrane
Jak igliwie na modrzewiu.
Znam te grube, ciężkie ręce,
Co się kijem podpierają:
„Ondra” z Łysej – bracie Ondro!
Markotliwie spojrzał olbrzym.
Wnet się „Łysa” odchmurzyła,
Kosy w sosnach wnet umilkły.
Chmury na bok odstąpiły.

„Co tu tak wczas rano robisz?
Czyś też jeden z tych przybyszów,
Co zielony ubiór noszą,
Co dziewczyny wyganiają,
A co cudzą rzeczą rządzą?”

Bracie Ondro, z twej krwi jestem,
Z twej ojczyzny od Cieszyna,
Ja piosenki ciche śpiewam... -
„A czy naród już nie śpiewa?”

Wyginęły nasze pieśni,
Dziewczynie się załknęły w gardle,
Gdy złem okiem ci ją mierzą,
Co zielony ubiór noszą,
A co cudzą rzeczą rządzą –
Czart sam w twe je nasiał bory!
Jedyna nam zbyła piosenka
A to: żół, żół, żół mi będzie...
Pobrali nam nasze szkoły,
Pobrali nam nasze góry,
Szałasą nam wyniszczyli.

„Po zakonie, tak się stało?”
Po zakonie, bracie Ondro!

„A kto stawia cudze szkoły?”
Kto bogaty, ten ma huty.

Po naszymu po dziedzinach
Po cichu górale rządzą,
Ale w hutach cudza mowa,
I dla tych się szkoły stawia.
„Po zakonie tak się dzieje?”
Po zakonie, bracie Ondro!
Po naszymu słowo Boże
Jeszcze słyhać po kościołach,
Ale pióro księżoszkowe
Nieśmie pisać po naszymu...
Wiesz, kto panem we Wrocławiu!?

„Po zakonie tak się dzieje?”
Po zakonie, bracie Ondro!
Wszędzie nas uciemiężyli,
Gdy się zaparł kto swej mowy,
Jako niegdyś zdradził Judasz.
„Po sumieniu tak się dzieje?”
Po sumieniu, bracie Ondro! –

A już nie wiem, jak to było.

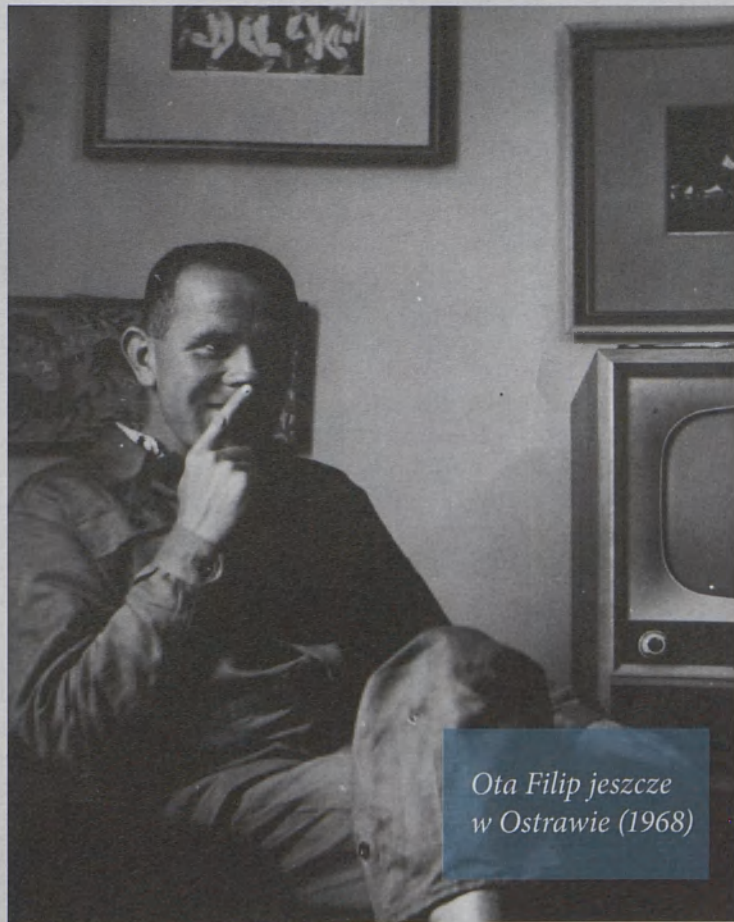
Śmiech roztargnął wąsy Ondry,
Dziwny śmiech i nieskończony...
Góra górze go podała,
Góra z góry go chwyciła.
Śmiech tej matki w greckiej bajce,
Co jej padło siedem synów,
Co jej siedem córek padło! –

A ja także się zaśmiałem.
Myślę, że się coś roztargło
Owym śmiechem w boku Łysej,
Wiecznie zamilczonej, cichej,
Skamieniałej łzy bolesnej
Narodu uciśnionego,
Co już patrzy przez lat setki
Na ten ucisk pod Beskidem.
Tak się śmieje biedna matka,
Której mąż w kopalni zginął.
Gdy ma żywić siedem dziątek,
A ziemniaki dawno wyszły:
Jeść nic nie da, bo nic nie ma.
Powie tylko starą bajkę,
Swoim dzieciom o Ondraszu.

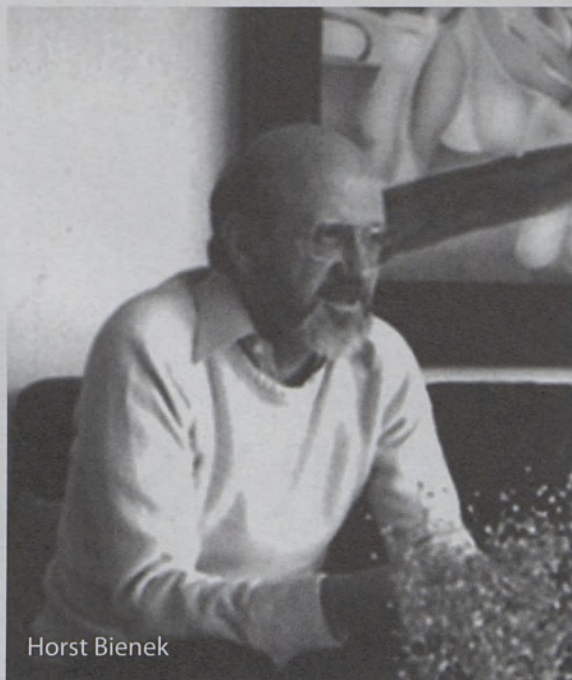
ÓSMY ŻYCIORYS, NIEDOKOŃCZONY

W bezwietrznym lipcu roku 1968 każdego ranka spowijała Ostrawę mgła. Około jedenastej rzedła, wisząc jednak między Ostrawicą a Odram niczym szary opar czy też cuchnący welon.

Z początkiem lipca Horst Binek odwiedził nas w Ostrawie swoim nowym BMW. Miasto chyba nieprzyjemnie go zaskoczyło, zapewne przypominając mu rodzinne Gliwice, z tym że ponoć jeszcze brudniejsze, z odpadającymi tynkami i nie uśmiechającymi się do siebie ludźmi, czyli, jak utrzymywał Horst, było dokładnie takim, za jakim tęsknił podczas bezsennych nocy na pryczy w syberyjskiej Workucie, a później niemal każdej nocy także w Monachium. Cały dzień od rana do późnego wieczora przemierzał samotnie dzielnicę Ostrawy w pobliżu ulicy Stodolni, a wieczorem spotkaliśmy się w gospodzie Pod Beczką. Horst milczał długo, nawet się nie zirytował, kiedy kelner podał mu żylasty gulasz, czerstwe knedle oraz piwo, najwyraźniej ja-



Ota Filip jeszcze
w Ostrawie (1968)



Horst Bienek

kieś ciepłe siki. Mój przyjaciel, wybredny smakosz, nie pisał słówkiem: zjadł gulasz, wypił piwo, przeciągnął się i powiedział, że czuje się jak w Gliwicach, i że do identycznej knajpy chadzał po szychcie jego ojciec, maszynista Bienek, a w bocznej ulicy trafił nawet na dom podobny do rodzinnego, i że on ten dom pogłaskał, tylko niech sobie nie myślę, że się rozplakał. Po prostu pogłaskał mur, szorstki i poharatany jak jego młodość.

Jak wyliczył, z Ostrawy do Gliwic było w linii prostej wszystkiego siedemdziesiąt pięć kilometrów, lecz Polacy nie dali mu wizy. Podjechaliśmy więc samochodem Horsta do Czeskiego Cieszyna pod most graniczny na Olzie.

Nie wiem, co Horst spodziewał się zobaczyć na polskim brzegu Olzy, być może bramę do zniszczonego raju swego dzieciństwa w dawniej niemieckim, obecnie polskim Śląsku, być może wyśnione żywe obrazy. Jednak po drugiej stronie granicy przez powiększające szkło lornetki ujrzał zaledwie srogie twarze kilku uzbrojonych pograniczników w rogatywkach, wystający zza budynku strażnicy pysk opancerzonego transportera, a dalej tylko złuszczony tynk paru kamienic bez choćby jednego kwiatka w oknach, nad pierwszym zaś skrzyżowaniem światła regulujące ruch. W kierunku granicznego mostu cały czas paliły się czerwone.

Horst był rozzarowany. Sprawiał mu zawód pierwszy widok od roku 1945, gdy jako piętnastoletni chłopiec opuścił Śląsk. Odłożył lornetkę i powiedział:

– Wracamy do Ostrawy.

Ja na to:

– Słuchaj, mam pomysł. Pojedźmy szosą na Bogumin, kawałek za Cieszynem chyba będzie lepiej widać Polskę. Może nawet Gliwice...

Zatrzymaliśmy się na brzegu Olzy parę kilometrów za Czeskim Cieszynem. Słońce nas nie oślepiało, bo stało z tyłu. Na widnokręgu nawet bez lornetki dostrzeżliśmy cztery kominy.

Horst wziął lornetkę, przyglądał się im jakąś chwilę, po czym oświadczył, że je poznaje.

– To kominy dawnej gliwickiej cegielni, która przed 1939 należała do rodziny Valeski Piontek, nauczycielki gry na pianinie.

– Horst – powiedziałem cicho – nie możemy stąd widzieć gliwickich kominów, bo Gliwice są bardzo w prawo.

– Co ty mi tu gadasz! – zezłościł się. – Te kominy znam od małego, od razu je poznałem! A w tle, wprawdzie niewyraźnie, ale jednak, widzę maszt radiostacji gliwickiej.

Tego masztu Horst widzieć nie mógł, nawet gdyby miał sokoli wzrok.

Stojąc do zachodu słońca na czeskim brzegu Olzy, Horst Bienek w milczeniu wpatrywał się przez lornetkę w te cztery, dopiero półtora roku wcześniej zbudowane kominy jakichś polskich zakładów chemicznych. Być może w szklach mojej lornetki wyświetlały mu się obrazy z młodości. A gdy zapadł zmierzch i Horst odłożył lornetkę, zdawało mi się, że w jego oczach ujrzałem łzy.

W drodze do Ostrawy opowiedział mi w samochodzie kilka historii ze swego dzieciństwa, w których główną rolę grała prowokacja esesmanów przebranych w polskie mundury wieczorem trzydziestego pierwszego sierpnia 1939, nauczycielka gry na pianinie Valeska Piontek, jej mąż Leo Maria Piontek, fotograf, oraz niejaki Josel.

– Może napiszę powieść o moich latach młodości w Gliwicach – rzekł Horst.

Gdy siedem lat później czytałem w Monachium pierwszą część jego tetralogii gliwickiej, powieść *Pierwsza polka*, przypominałem sobie naszą tamtejszą wieczorną podróż od granicy polskiej do Ostrawy; Horst Bienek opowiadał mi wówczas pierwszych trzydzieści stron jeszcze nienapisanej powieści.

A kiedy latem 1975 w ogródku jego szeregowego domku w Ottobrunn pod Monachium oblewaliśmy wydaną właśnie powieść *Pierwsza polka*, po wyjściu reszty gości Horst uniósł kieliszek ze słowami, że za *Pierwszą polkę* musimy wypić tylko my dwaj, ponieważ byłem pierwszy („Ota, pamiętasz naszą jazdę od granicy polskiej do Ostrawy?”), któremu nie tylko zwierzył się z zamiaru napisania powieści o swym dzieciństwie w Gliwicach, lecz od razu opowiedział treść pierwszego rozdziału.

– Ota, pamiętasz, jak wtedy przy polskiej granicy twierdziłem, że widzę cztery kominy cegielni i maszt radiostacji gliwickiej? Dziś możesz ci się przyznać: miałem jasność, że te cztery kominy po polskiej stronie nie mogą należeć do gliwickiej cegielni, bo tamta miała tylko jeden, który zresztą Rosjanie rozwalili z dział w lutym albo marcu 1945. Masztu radiostacji także nie mogłem dojrzeć z takiej odległości. Ale wiesz – Horst wraz z kieliszkiem podniósł też głos – mimo że wiedziałem, że nie widzę ani tamtego komina, ani masztu nadajnika, musiałem wierzyć, że je widzę. A zresztą może i widziałem. Wypijmy więc za wszystkie śląskie kominy i maszty z naszego dzieciństwa, mniejsza o to, czy stoją, czy nie.

[...]

Niewiarygodnych i niedokończonych historii jest więcej. Oto kolejny przykład.

Wiele lat później żyjący na emigracji w Monachium Władysław Bartoszewski – po rozpadzie Związku Radzieckiego przez jakiś czas polski minister spraw zagranicznych – wyraził życzenie spotkania z Aleksandrem Zinowiewem. A ponieważ znaleźmy Zinowiewa, zaprosiliśmy obu na kolację do nas. Działo się to bodaj w roku 1983, mieszkaliśmy wtedy przy Kunigundenstraße.

Cała ta przedziwna kolacja wzięła się stąd, że któregoś dnia żona Maria przyniosła mi z Bawarskiej Biblioteki Państwowej dwa artykuły z polskich i rosyjskich pism emigracyjnych. Bartoszewski na łamach bodajże „Kultury” paryskiej stawiał tezę, że zachodnia, chrześcijańsko-demokratyczna Europa kończy się na ostatniej gotyckiej świątyni katolickiej na wschód od Wisły, a dalej zaczyna się Azja. W tym samym czasie Zinowiew w rosyjskim „Kontynencie”, snując rozważania o Polsce, jej dziejach i przyszłości, doszedł

Ota Filip (ur. 9 marca 1930 roku w Ostrawie). Po maturze miał się różnych zawodów – był m.in. dziennikarzem, górnikiem, szlifierzem, kierowcą, w latach 1968–1969 redaktorem ostrawskiego wydawnictwa Profil. W 1970 roku skazany na 1,5 roku więzienia za „działalność antypaństwową”, która polegała m.in. na „szkalowaniu głowy państwa oraz ustroju socjalistycznego”, a w 1974 roku zmuszony do emigracji. Osiedlł w Monachium, podejmując pracę jako lektor znanej oficyny Fischer Verlag, publikował też często recenzje w renomowanym dzienniku „FAZ”. Pod koniec lat 90. przeprowadził się do Murnau, gdzie mieszka do dzisiaj.

W roku 1998 telewizja niemiecka wyemitowała dokument oskarżający Filipa o współpracę z czechosłowacką służbą bezpieczeństwa we wczesnych latach 50., co stało się przyczyną samobójstwa jego syna Pavla. Na te dramatyczne przeżycia pisarz zareagował dwiema obszernymi (napisanymi po czesku) autobiograficznymi powieściami: *Sedmý životopis* (2000, *Siódmy życiorys*) i *Osmý čili nedokončený životopis* (2007, *Ósmy życiorys, niedokończony*), będącymi jego rachunkiem sumienia.

Wydał dwanaście powieści, tłumaczył również literaturę czeską na niemiecki. Laureat niemieckich nagród literackich, m.in. im. Adalberta von Chamisso oraz Andreasa Gryphiusa. Twórczość Filipa była tłumaczona na włoski, francuski, hiszpański. Po polsku ukazały się: *Wniebowstąpienie Lojzka Łapaczka ze Śląskiej Ostrawy* (2005), *Sąsiedzi i ci inni* (2008), oba tytuły w przekładzie Jan Stachowskiego.

Jak twórca dwujęzyczny mówi o sobie żartobliwie: „Gdy piszę po czesku, uważam się za pisarza czeskiego, a gdy po niemiecku – za niemieckiego. Ale pytany o tę sprawę w Niemczech odpowiadam, że jestem czeskim pisarzem, który pisze i publikuje także po niemiecku. Albo że jestem autorem piszącym po niemiecku, który nadal tworzy również po czesku”.

Jego bliskie związki z Ostrawą i w ogóle z Czechami określa wypowiedź w jednym z wywiadów z roku 2008: „Pewien niemiecki krytyk napisał o mnie, że jestem monotematyczny. Że nie potrafię oderwać się od Ostrawy, od stron ojczystych. I chyba rzeczywiście coś w tym jest, bo im jestem starszy, tym bardziej fascynują mnie lata spędzone w Czechach”. J.S.



Ota Filip (z prawej) i tłumacz Jan Stachowski w Murnau w 2007 roku.

do wniosku, że Polska była, jest i pozostanie składową imperium rosyjskiego. I że wprawdzie wita bunt polskich robotników pod przywództwem Lecha Wałęsy przeciwko władzy komunistycznej, niemniej wrogą postawę polskiego społeczeństwa wobec Rosji uważa za prowokację.

Właśnie owe artykuły – Polaka Bartoszewskiego i Wielkorusa Zinowiewa – podsunęły mi pomysł wywołania debaty na temat przeciwnych poglądów ich autorów. Trzecim gościem był Horst Bienek.

Już przy zakupie napomknąłem o obu artykułach, pokrótce streszczając ich treść.

Natychmiast rozgorzała zażarta dyskusja. Bartoszewski i Zinowiew mówili po rosyjsku. Po kwadransie dotarło do mnie, czego nawarzyłem. Trzy razy próbowałem ją zakończyć lub przynajmniej złagodzić, usiłując zwrócić ich uwagę na południcę po czesku, która wtedy udała się Marii wprost nadzwyczajnie. Wszystko na nic.

Przez całą kolację, czyli od ósmej do północy, nie udało mi się dojść do słowa, gdyż burzliwa dyskusja, chwilami przechodząca w kłótnię, toczyła się nieustannie wokół ostatniej gotyckiej świątyni katolickiej (Bartoszewski utrzymywał, że stoi w Lublinie), za którą dla chrześcijańskiej Europy leży Azja, Zinowiew zaś upierał się, że Polska, będąc tamą przed przenikaniem do Rosji dekadencji zachodnioeuropejskiej, na zawsze musi zostać pod kontrolą Moskwy.

Horst Bienek, mimo iż w latach 50. odsiedział cztery lata w gułagu Workuty jako więzień polityczny, z tej prowadzonej po rosyjsku dyskusji rozumiał pojedyncze słowa, wszakże nie jej sens. Przez pierwszą godzinę Maria i ja usiłowaliśmy wprawdzie przedstawić mu z grubsza istotę argumentów, jakimi tamci dwaj okładali się po rozpалonych głowach, ale potem, wyczerpani i znużeni, poddaliśmy się.

Przed północą wyjąłem z lodówki polską żubrówkę, Zinowiew odmówił, zatem dla niego otworzyłem flaszkę fińskiej. Późną nocą, kiedy obie butelki były na wpół opróżnione (jako osoba postronna polewałem sobie na przemian żubrówkę i Finlandię), pogodzili się, po czym z rozrzewnie-

niem jeli wspominać lata młodości.

Żegnając się w przedpołudniu, wpadli sobie w objęcia i trzykrotnie, po słowiańsku wycelowali w pokraśnięcie od alkoholu policzki. Po czym Zinowiew uroczyście zrezygnował z rosyjskiego panowania w polskich guberniach, Bartoszewski zaś po krótkim wahaniu oznajmił, że jest skłonny przesunąć granicę Europy zachodniej, co i rusz odradzającej się dzięki chrześcijańskiej tradycji, aż do północnych obrzeży Piotrogradu, i na przyszłych mapach wyznaczyć grubą linią granicę tej Europy, biegnącą od Piotrogradu, przez Niżny Nowogrod, Moskwę, Kijów aż do Odessy, która dzieliłaby Rosję na część europejską i azja-

tycką. Złożywszy tak doniosłe polsko-rosyjskie oświadczenia, zawarli pokój wieczny między przyszłą katolicką Polską i przyszłą (po upadku komunizmu) na wskroś ortodoksyjną Rosją.

Zaproponowałem, by wypili za tak ważną deklarację, potwierdzając ją jeszcze setką żubrówki czy też Finlandii, lecz nim zdążyłem przynieść flaszki, oni już zjeżdżali windą, gdyż przed domem czekały dwie zamówione telefonicznie taksówki.

Podejrzewając, że uczestniczył w znaczącym wydarzeniu, Horst Bienek przed wyjściem zażądał wyjaśnień.

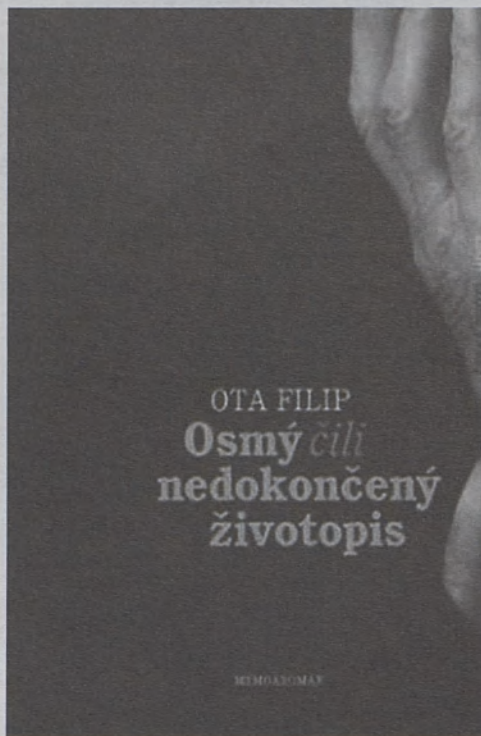
– Horst, mimo że nie rozumiesz po rosyjsku, byłeś świadkiem historycznego polsko-rosyjskiego pojednania!

Bienek wszedł do taksówki, trzymając na talerzyku trzy porcje strudla przykrytego aluminiową folią – strudel, ciastko Horsta do popołudniowej kawy zaczynającej się niedzieli, był wręcz fantastycznym dziełem Marii. Czerwone światło wschodzącego niedzielnego słońca odbiło się od folii, klując mnie lekko prosto w oczy. ■

Przełożył z czeskiego Jan Stachowski

Fragmenty książki *Osmý čili nedokončený životopis*, Host, Brno 2007.

Dziękujemy Autorowi za zgodę na publikację fragmentów książki, a Janowi Stachowskiemu za udostępnienie zdjęć z prywatnego archiwum.



Dyskretny urok Śląska

Elementarz

(koniec XIX wieku)

Pod szkolną ławką leżał na poły zapomniany elementarz. Już dawno po rzędkach znaków nie przebiegały dziecięce palce śledzące litery, sylaby, słowa i pierwsze zdania. Niechciany, zakurzony elementarz. Jak mowa, w której go napisano, jak język, który miał być zapomniany.

Kiedy przez Śląsk przechodziły pruskie i austriackie wojska, Rohov stał się z dnia na dzień ze wsi austriackiej wsią pruską. Na pozór nic się nie zmieniło. Śląsk zawsze był ziemią niczyją i wszystkich. Zależał tylko od tych, którzy starali się tutaj żyć. Ale nowa epoka przyniosła nowy świat. Wykształcenie, prosperita, naród. Trudno posyłać dzieci do szkoły, skoro w domu znalazłaby się dla nich jakaś praca. Jeszcze trudniej było zrozumieć, gdzie jest prosperita i co to jest naród. W domu i w kościele słychać było język morawski, w urzędach niemiecki. Dopóki pracowało się w domu, morawski wystarczał. Tylko że szkoły były na pruskim Śląsku, te najlepsze dopiero w Berlinie, a pracodawcami w przemyśle byli Niemcy. Prosperita i naród.

Nowoczesna doba przyniosła Kulturkampf, jednolity naród niemiecki, jednolity język niemiecki i chciała wprowadzić także jednolitą wiarę. Katolicy modlący się po morawsku walczyli o przeżycie. Jednolity naród niemiecki rósł w siłę. A język niemiecki, warunek dobrego wykształcenia, dobrej pracy i dobrego obywatelstwa, rósł w siłę wraz z nim.

Na poły zapomniany elementarz kurzył się. Po latach ktoś go znalazł i jak niepotrzebny rupień wyrzucił do śmieci.



Czeska pisarka Eva Tvrdá (ur. w 1963 roku w Opawie) – studiowała na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Ostrawskiego, uczyła w szkole podstawowej w Benesowie Dolnym (czes. Dolní Benešov), od kilku lat skupia się przede wszystkim na pracy pisarskiej.

Debiutowała w 1996 roku nowelą *Dal (Dálka)*; uwagę zwróciła jej książka *Dziedzictwo (Dědictví)* z 2005 roku, autorska próba ukazania historii Kraju Hulczyńskiego poprzez losy zwyczajnych ludzi. Książka zyskała miano bestsellera (była wznawiana w 2007 i 2010 roku). *Dziedzictwo* oraz kolejne książki o podobnej tematyce: *Czerśniową aleję (Třešňovou aleji)*, 2008) i *Okna do pokoju (Okna do pokoje)*, 2010) tworzą *Śląską trylogię*. Autorka skupia się na losach ludzi żyjących w Kraju Hulczyńskim od lat 30. XX wieku aż po czasy najnowsze; szczególnie na przeżyciach kobiet, które musiały sobie radzić same w trudnych sytuacjach. Zwraca też uwagę na kwestię tożsamości na śląskim pograniczu. Natomiast w *Dyskretnym uroku Śląska (Nenápadný půvab Šlezska)* Tvrdá opowiada dzieje gminy Rohov. Opowieść snuta od „milionów lat przed naszą erą” po czasy współczesne złożona jest z mikrohistorii, obrazków literackich, urywków z kroniki gminy i fotografii. Dzięki sięgnięciu po różne środki wyrazu pokazuje skomplikowaną materię życia na pograniczu, nie zapomina o przemianach wynikających z postępu cywilizacyjnego i zmianach ustrojowych, szkicując pełny portret jednej ze śląskich krain. Autorka nie ogranicza się do tematyki śląskiej. Wydała zbiór opowiadań dotyczących współczesności, ocierających się o czarną groteskę – *Grane opowieści (Hravé příběhy)*, 2008), książkę *Viva la Revolución?* dotyczącą rewolucji na Kubie (2011), a w roku 2013 *Anioły, tabelki i sny (Andělé, tabulky a sny)*, zbiór opowiadań z początku XXI wieku. Mieszka w Szylerzowicach (Šilheřovice) niedaleko Ostrawy. K.P.

Ojczyzna (1921)

Cisza. Straszna, nieprzyjazna, wymowna. Komisarz czechosłowackiej władzy państwowej siedział nad arkuszami spisowymi i starał się być dobrym urzędnikiem. Język. Narodowość. Na pierwszy rzut oka jednoznaczne słowa, jednak w praktyce w swojej jednoznaczności zupełnie wieloznaczne. Nie dawał rady.

Był 15 luty 1921, minął rok od przyłączenia Kraju Hulczyńskiego do Czechosłowacji, a arkusze spisowe budziły grozę. Nie tylko osiemdziesięciu trzech obywateli Rohova zdecydowało się wyjechać do Niemiec, ale na dodatek większość ludności określiła swoją narodowość jako niemiecką. Przeglądał kolumnę za kolumną i zastanawiał się, gdzie popełnił błąd, ale bez skutku. Język ojczysty morawski, narodowość niemiecka. Złościł się na nieuświadomionych Ślązaków, nie szanowali młodego państwa, które wzięło ich pod swoje skrzydła. Nie rozumieli, że ich ocalono. Gdyby nie było Czechosłowacji, ich morawski język byłby wchłonięty, zniemczony, zniknąłby. Cóż to, czy oni naprawdę są tak zacofani?

Uświadomiony i gorliwy urzędnik czechosłowackiej władzy państwowej odesłał arkusze na wyższe urzędy.

Rohowscy Ślązacy z niedowierzaniem obserwowali czechosłowacką władzę państwową i porównywali. Czeskiego zbytnio nie rozumieli. Prawie dwa wieki w Prusach oddaliły ich od czeskiego. Niemiecki rozumieli, mieli niemieckie szkoły, a morawski z niemieckimi słowami potrafił sobie poradzic. Czeski pojawił się jako język nowego państwa.

Po kilku dniach komisarz spisowy uspokoił się. Ci, którzy podali morawski jako język ojczysty i do tego narodowość niemiecką, zostali wezwani na urzędy. Po zdecydowanej krytyce i karze wszystko już było jak należy. Narodowość zmieniona na morawską, czyli czeską.

Cisza w Rohovie pozostała nieprzyjazna i wymowna, ale już nie tak straszna. Zanim poznał tę krainę i jej mieszkańców, chciał osiąść w Rohovie. Ślązacy i ich ziemia byli jednak tak odmienni od wszystkiego, co znał dotąd, że szybko porzucił te marzenia. Złożył prośbę o przeniesienie w głąb kraju.

Duch epoki (1961)

Słoneczny poranek rozlewał się po krainie zabarwionej późnym latem. Pola pozbawione już plonów oddychały spokojnie, niebo błękitniało błękitem zszarzałym poranną mgłą, trawa żółkła jesienią, a lasy zaczynały się złocić.

Od Opawy w kierunku Rohova jechał wypolerowany ciemny samochód. Siedzieli w nim partyjni funkcjonariusze w garniturach, białych koszulach, krawatach i z aktówkami. Garnitury, białe koszule, krawaty i aktówki pełne dokumentów były ich bronią. Jechali walczyć z nieustępliwymi, prymitywnymi i zacofanymi wieśniakami.

Starał się być ponad to i zachowywać się, myśleć i działać racjonalnie, nowoczesnie i w duchu epoki. Jechali koło Arnoštova, przez Služovice, wjechali do Hněvošického háju i wiedział już, że cała ta racjonalność, modernizacja, a nawet duch epoki gdzieś zniknęły. Pojawiło się dziwne wrażenie, któ-

rego nie mógł się pozbyć. Kraina, do której wjeżdżał wypolerowany ciemny samochód z partyjnymi pasażerami, nie akceptowała racjonalności, modernizacji ani ducha epoki. W Opawie, przy biurku komitetu powiatowego partii, Kraj Hulczyński wydawał się wyzwaniem jako rejon, który trzeba koniecznie złamać. Przeprowadzona na szeroką skalę zeszłoroczna reorganizacja przyłączyła go prawie w całości do powiatu opawskiego. Oczywiście nikt się tym Opawie nie przysłużył. Kraj Hulczyński sprawiał problemy. Kolektywizacja rolnictwa w latach 50. nie przebiegała poprawnie, w teren wyjeżdżała jedna komisja za drugą, organy partii pisały wezwania za wezwaniem, ale skutków nie było. Jeszcze dzisiaj, we wrześniu sześćdziesiątego pierwszego roku, niedopuszczalnie dużo ludzi miało tu prywatne gospodarstwa. Ścisnął zdecydowanie aktówkę ze starannie przemyślanymi instrukcjami i starał się zrozumieć, dlaczego opuścił go zdrowy rozsądek pracownika powiatowego formatu. Przecież to jest niemożliwe, że ta okolica żyje. Wydawa-



Rysunek: Magdalena Wojtyła

to mu się, że wariuje, bo roiło mu się, że wszędzie krążą cienie, które tej krainy nie opuszczają. Dopadło go przygnębienie. Znał je dobrze z każdej wizyty w tej okolicy.

Żeby odgonić smutek, myślał uporczywie o pewnej zeszłotygodniowej nocy. Zebrania wyjazdowe bywały wesołe i barwne, ale ich wesołość i barwność szybko znikwały. Musiały być więc częste, przeplatane alkoholem i ciałami młodych kobiet, aby nie osłabł optymizm, którego funkcjonariusze tak bardzo potrzebowali do budowania socjalizmu.

Wspomnienie młodego ciała i spoconego zjednoczenia z nim nie odeгнаło złych myśli.

Wyciągnął z kieszeni starannie wyprasowaną przez żonę chusteczkę i wytarł kark.

Przejeżdżali przez Koberice. Droga znowu skręciła na południe. Cieszył się na myśl o chwili, gdy będą jechać z powrotem.

Szkoła w Rohovie była udekorowana, oczekiwała znakomitych gości. Przyjechali towarzysze partyjni z fabryki tworzyw sztucznych w Chuchelnej, pedagodzy komunistyczni z kilku opawskich szkół i członkowie gminnego komitetu partii komunistycznej.

W grupie funkcjonariuszy partyjnych i ich dziarskich żartów czuł się dobrze. Tylko że nie byli tu dla żartów, byli z powodu wrogów. Naprzeciw nich stali ludzie niewykształceni, którym mieli wyjaśnić, że wiara w Boga jest zacofaniem i że nowoczesny socjalistyczny człowiek musi się rozprawić z kwestiami wiary.

„Towarzysze i towarzyszki” – zaczął uroczystą przemowę. Spotkaliśmy się tutaj, żeby sobie przypomnieć, że epoka, w której żyjemy, wymaga wykonania zadań, które nam powierza. Pamiętamy jeszcze epokę niewoli i ucisku ze strony faszystowskich Niemiec, ale mamy za sobą powojenną odbudowę, a budowanie socjalizmu wciąż trwa. Także Rohov przyłączył się do naszego dzieła, zakładając spółdzielnię produkcyjną i życie tutaj przebiega w duchu socjalizmu. Jedną rzecz jednak, towarzysze i towarzyszki, musimy przyznać: nie udaje się nam zerwać z ciemnotą, nie udaje się nam w Kraju Hulczyńskim rozliczyć z kwestią wiary.”

W sali panowała cisza. Nikt nikomu nie patrzył w oczy. Najpilniej obserwowano biały obrus przerzucony przez zestawione stoły.

Mówcy się zmieniali.

„Towarzyszu, wy – dyskusję zaczął funkcjonariusz z Chuchelnej – powiedźcie, dlaczego posyłacie swoje dzieci na religię?”

Wywołany wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

„Jesteście członkiem partii, musicie przecież wiedzieć, że partyjne dzieci świecą przykładem.

A wy je posyłacie na religię, zmuszacie do wstecznictwa”.

„Moja mama by tego nie przeżyła” – grzmotnął oczerniany rohovski komunista.

„Starzy ludzie są przyzwyczajeni do starego świata, ale my musimy prowadzić nasze dzieci do lepszego jutra” – powiedziała zapalczywie nauczycielka z Opawy. „Religia ogłupia ludzi, zabiera im wolność. Chyba nie chcecie dla swoich dzieci świata, który odrzuciliśmy w 1948 roku?”

Po mężczyźnie było widać, że żałuje swojej pochopnej wypowiedzi. Powinien milczeć jak inni.

„Rozejrzyjcie się wokół” – zaczął inny funkcjonariusz – „nigdzie już się nie posyła tylu dzieci na religię, co w Kraju Hulczyńskim. A tutaj, towarzysze, posyłane są nawet dzieci członków partii. To jest niedopuszczalne”.

„Towarzysze – odezwał się ktoś z drugiego końca stołu – w gminie pracuje szereg organów, na przykład lokalna jednostka czechosłowackiej straży pożarnej, Svazarm, kobiety też mają swoją organizację. Powiedźcie mi, jak to wygląda, gdy funkcjonariusze takich organizacji posyłają dzieci na religię!”

Przestał słuchać. Niepotrzebnie tu przyjechał. Wszystkie te spisy, tabelki i przeglądy były na nic. Dlaczego są tak przywiązani do tej swojej religii? Zakazy, nakazy, groźby, perswazje – nic to nie pomoże. Kościół w Sudicach będzie niedziela po niedzieli pełny rohovskich wierzących. Musiałby być zburzony, żeby przestali. Tylko że pewnie by się schodzili gdzie indziej. Zniesmaczony obserwował agitację i rola w nim złość. To jeszcze nie mają wszystkiego dosyć? Jeden obok drugiego potomkowie Wehrmachtu, nie wolno im się było uczyć, nie mogli dostać przyzwoitej pracy, na koniec udało się złamać ich z tą spółdzielnią, spółdzielnia jest, to czemu, do jasnej cholery, tak trzymają się tej wiary?

Wyjeżdżał w bardzo złym humorze. Ciężko będzie na górze wyjaśniać, że z rohovskimi nic się nie ruszyło. Bez skutku szukał słów, którymi mógłby ująć rzeczywistość. Upadając na duchu, widział krajinę przesiąkniętą wrogością i starał się nie dać ogarnąć czarnym myślom. To przecież nie koniec świata. Przecież musi istnieć jakiś sposób na dojście do celu.

Na ulicach Opawy krew w żyłach przyspieszyła. Marzył. Nadejdzie niedługo dzień, gdy zbliży się do średniej krajowej. Zabierze im tę wiarę. Z właściwym sobie uporem układał w duchu nowe działania. Przecież to musi się jakoś udać. ■

Przełożyła z czeskiego Karolina Pospiszil

Fragmenty powieści *Nenápadný pŕvab Slezska*, Littera Silesia, Ostrava 2009.

Refleksje o literaturze pogranicza

Czy istnieje coś takiego jak literatura pogranicza? Czy literatura pogranicza posiada jakieś cechy specyficzne? Jak interpretować literaturę pogranicza?

Zazwyczaj potencjalny czytelnik oczekuje rozważań o literaturze pogranicza jako takiej. Jednak tu chodzi nie tylko o określenie miejsca, w którym literatura powstaje. Zastanawiamy się raczej nad zagadnieniami rozumienia takiej literatury.

Nie bierzemy pod uwagę literatury wspomnieniowej. Tego typu teksty nie mają większej wartości artystycznej (estetycznej), interesują nas jako literaturoznawców dopiero wówczas, gdy ich weryzm regionalny i dokumentalny jest przetworzony artystycznie w dzieło literackie.

Inaczej mówiąc, interesują nas teksty, które oprócz problemów tożsamości i związanych z nimi kontekstów znaczeniowych manifestują swą literackość. Do naszego dyskursu nie należą (o ile nie jest to absolutnie konieczne lub potrzebne do wodu) teksty medialne, polityczne, zaczerpnięte z podręczników szkolnych, ulotki, obwieszczenia, nekrologi i inne zwłaszcza publicystyczne teksty posiadające przede wszystkim funkcję apelatywną czy informacyjną, włącznie z reklamą, komiksem i graffiti. Należą do niego natomiast zagadnienia języka i konstrukcji znaczeniowej tekstów literackich.

Za przykładem Marii Dąbrowskiej-Partyki wybieramy do analizy zwłaszcza takie teksty, które reprezentują różnorodne poglądy autorów na temat problematyki narodowej i narodowościowej, a przy tym są zróżnicowane pod względem gatunkowym.

Jak postępować przy interpretacji zjawisk literatury pogranicza? Czy podporządkować ją historyczoliterackiemu punktowi widzenia, względnie zajmować się niektórymi jej aspektami teoretycznoliterackimi, czy też zająć się głównie sytuacją antropologiczną literatury, jej miejscem w systemie rodzimej kultury (innymi słowy, zastosować etnometodologiczne podejście do kwestii tożsamości). Domyślamy się, że tych alternatyw nie należy ściśle od siebie oddzialać i że chodzi o warianty

tylko na pierwszy rzut oka, gdy przyjmiemy perspektywę, że literatura jest tylko jednym, ważnym wprawdzie, z szeregu tekstów kulturowych. Nie można zakładać, że literatura w środowisku, w którym powstaje, ma większy wpływ niż np. prasa, bestsellery literackie itp.

Literatura pełni różne funkcje, a funkcja estetyczna nie zawsze musi być pierwszoplanowa. W kulturze pogranicza to właśnie literatura była i nadal jest przedmiotem specyficznych dyskursów, dotyczących różnych dziedzin życia społecznego, czymś w rodzaju pokarmu dla ludzkiej myśli. W tym względzie pojęcie „literatura pogranicza” łączy się z pojęciem „literatura regionalna”, która pełni podobne funkcje, służy specyficznym potrzebom mieszkańców regionu – choć region niekoniecznie musi być usytuowany na pograniczu i niekoniecznie musi w nim dochodzić do zderzenia czy do dialogu kultur.

Kto czyta tę literaturę? Problemem do rozważenia jest to, czy miejscowi autorzy i ich dzieła rzeczywiście służą potrzebom mieszkańców, czy nie są to przypadkiem pobożne życzenia samych regionalnych autorów. Domyślamy się, że wielu z nich coraz częściej adresuje swe teksty do czytelników z innego środowiska niż własne. Pierwotnie wędryńskie czasopismo „Weles” było do tego stopnia elitarne, że jego recepcja w samej Wędrynie (gmina niedaleko Trzyńca) i okolicy była minimalna. To samo można powiedzieć o wielu polskich autorach. Miesięcznik społeczno-kulturalny „Zwrot” ma stosunkowo niewielki krąg czytelników i można się zastanawiać, jaki ma wpływ na polskie środowisko czeskiego Śląska Cieszyńskiego.

Niewątpliwym wyjątkiem, jeśli idzie o lokalnego czy regionalnego adresata, są autorzy, którzy piszą gwarą. Twórczość ludowych pisarek – Ewy Milerskiej (1915–1985), Anieli Kupcovej (ur. 1920) i Anny

Filipkovej (1950–1997) nie jest znana poza kręgiem czytelników ze Śląska Cieszyńskiego, posługujących się miejscową gwarą (wyjątkiem była recenzja antologii *Korzenie*, którą Jiří Damborský zamieścił w „Ostravskim kulturním měsíčníku”). Podobnie ograniczona była recepcja dzieła Władysława Młynka (1930–1997), który pisał niemal wyłącznie gwarą cieszyńską; jego tomiku *Śpiewające zbocza*, wydanego w ostrawskim Profilu w 1989 roku, czeska krytyka w ogóle nie dostrzegła.

Dla literatury pogranicza typowe jest nadsięgnięcie nadmiarem historii, lecz paradoksalnie może ona też być przestrzenią, w której owej historii brakuje. Jak rozumieć tę sprzeczność?

Historyk Dan Gawrecki z Opawy na konferencji na temat problemów tożsamości w Cieszynie w 2008 roku zauważył, że Ślązacy (Polacy, Czesi i Niemcy na Śląsku) zbyt często sami piszą swoją historię, dlatego może lepiej byłoby, gdyby zaczęli ją pisać inni z zewnątrz. Moglibyśmy rozwinąć uwagę Gawreckiego i stwierdzić, że o śląskim regionie i jego tożsamości napisano wiele, ale jakoś w podobnym duchu, m.in. dlatego, żeby się nikt nie obraził i żeby badacze trzymali się z daleka od „gniazd os”, których na Śląsku, targanym dawniej różnymi nacjonalizmami, nie brakowało.

Niewykluczone, że te „gniazda os” są już od dawna puste (nie płynie z nich zagrożenie), a my mimo to unikamy pewnych problemów i tematów, gdyż nie jesteśmy pewni, co by na to powiedzieli „nasi” albo co by powiedzieli „obcy” po drugiej stronie granicy czy granic, jeśli uwzględnimy badaczy czeskich, polskich, słowackich i niemieckich.

Do dyskusji włączył się socjolog Marian Bednarek, który – nawiązując do Pierre’a Nory i jego „miejsc pamięci”, które są kluczowe dla budowania tożsamości (także regionalnych) – mówił o „miejscach niepamięci”. Oprócz tematów, którymi chcemy się zajmować, przeczuwamy – jako badacze ze Śląska – istnienie jakichś zagadnień, którymi z różnych względów zajmować się nie chcemy. Dokładniej rzecz ujmując, niektóre problemy wypieramy być może z naszego badawczego dyskursu. Są to swego rodzaju „miejscza niepamięci”.

Innym problemem jest Kunderowska „przestrzeń bez historii”, powstała w rezultacie utraty subiektywizmu jego mieszkańców, a mówiąc bardziej współcześnie – naznaczona decentracją podmiotu. Kundera analizował ten problem zwłaszcza w eseju *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej* napisanym na emigracji w Paryżu i poświęconym moralnej, kulturalnej i politycznej sytuacji krajów środkowoeuropejskich. Esaj spotkał się z szerokim oddźwiękiem nie tylko w czeskich, ale też w innych kręgach dysydenckich w środkowej Europie i środo-

wiskach emigracyjnych na Zachodzie. Znany jest także esej Czesława Miłosza – *What Is Central Europe?*, opublikowany w roku 1989. Dzisiaj nie pisze się już w tym duchu o Europie Środkowej, której mieszkańcy uważają ten obszar pod względem kulturalnym i politycznym za część Zachodu. Historyk sztuki i kulturoznawca Grzegorz Dziamski twierdzi, że w pojęciu Europy Środkowej chodziło o tożsamość hybrydową.

Niewątpliwie Śląsk Cieszyński jest pograniczem, regionem wielokulturowym. Jednak miejsc, które są mozaiką kultur, jest w Europie wiele. Pozostając na gruncie Śląska Cieszyńskiego, można na przykładzie jego kultury zademonstrować, jak bogatą literaturę przedmiotu ma problematyka wielokulturowości, w której to literaturze etnologowie, historycy, socjologowie i inni znawcy podkreślają swoistość procesów dokonujących się na terytorium przenikania się kultur różnych grup etnicznych, przemian systemów politycznych, różnorodności wyznań religijnych, wliczając w to skomplikowane problemy postaw autochtonów (żyjących w środowisku, które otoczone jest innymi mieszkańcami, uważanymi za obcych czy wręcz za „innych”).

Regiony wielokulturowe, pomimo przenikania się różnych tradycji i dziedzictwa, wymuszonej lub dobrowolnej polaryzacji grup etnicznych, w świadomości społecznej zachowują przekonanie o własnej terytorialnej bądź kulturalnej specyfice, odmienności i solidarności.

Nie można wreszcie pominąć problemu identyfikacji etnicznej i regionalnej, przy czym możemy analizować kilka stanowisk: alternację – zmienność; ambiwalencję – od zmienności i niezdecydowania w kwestii identyfikacji etnicznej aż do kryzysu tożsamości kulturalnej i poczucia wygnania czy alienacji; poliwalencję – znaczne przyswojenie elementów różnych kultur, które nie oznacza kulturalnej konwersji, a raczej łączy się ze stanowiskiem charakteryzowanym jako kosmopolityzm; biwalencję narodową – podwójną identyfikację narodową. Te problemy przekroczyłyby jednak rozmiary artykułu.

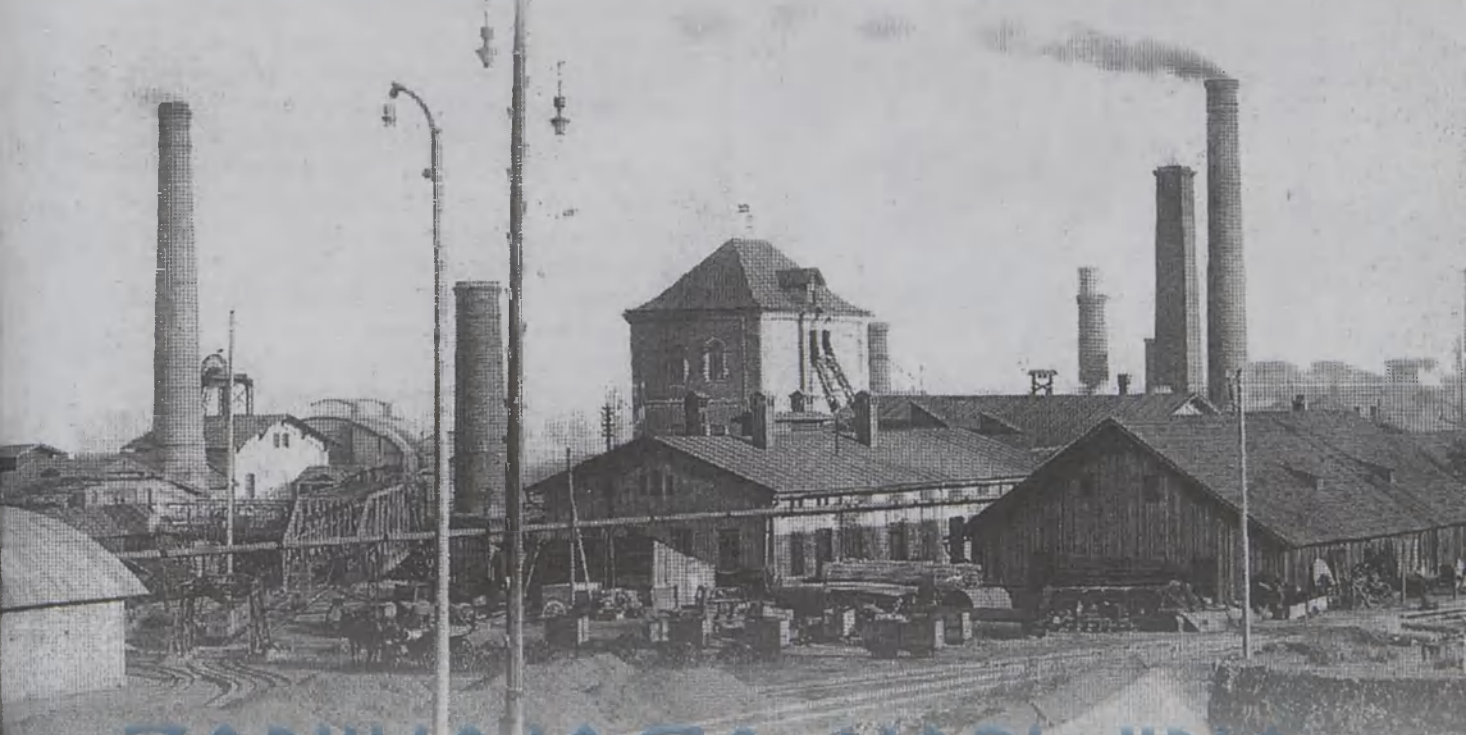
Na jego zakończenie zauważmy jeszcze, że pewną rolę odgrywa tu również zmienność pozycji obserwatora i komentatora wielokulturowości. ■

Przełożył z czeskiego Jacek Illg

Libor Martinek – profesor, historyk literatury, krytyk literacki i muzyczny, wykładowca historii literatury czeskiej Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, zajmuje się literaturą pogranicza czesko-polskiego, poeta, tłumacz. Mieszka w Opawie

JAN F. LEWANDOWSKI

BOGDAN KUŁAKOWSKI (zdjęcia)



ZANIKAJĄCA KARWINA

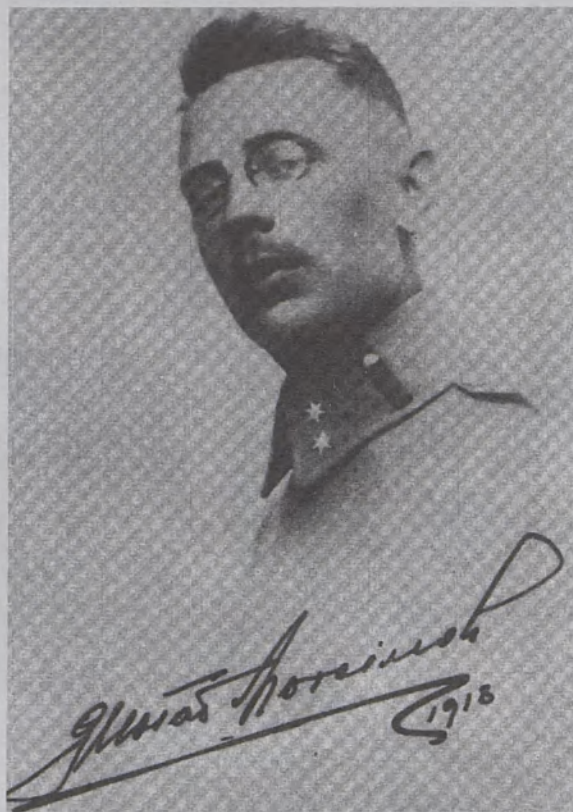
Najważniejsze powieści Gustawa Morcinka mają korzenie w Karwinie nad Olzą, gdzie urodził się w 1891 roku. Z górniczego świata Karwiny z jej licznymi kopalniami, zapamiętanego z dzieciństwa i młodości, pisarz czerpał przez całe życie.

Pod koniec życia Morcinek, mieszkający od dawna w Skoczowie nad Wisłą, wykreował raz jeszcze lata dzieciństwa za Olzą w autobiograficznej *Czarnej Julce*, która należy do jego najlepszych powieści. Opisał w niej szkolne lata w tonacji nostalgiczno-łobuzerskiej. Dzisiaj *Czarna Julka* to także źródło poznawania dawnej Karwiny, której już nie ma.



Bowiem Karwinia istnieje na mapie, ale to zupełnie inne miasto, przesunięte nieco w kierunku wschodnim, w stronę polskiej granicy. Bardzo to osobliwe, że gdy utworzono w 1949 roku dzisiejszą gminę miejską Karwinę, przez połączenie dawnej górniczej Karwiny z mniejszym Frysztatem, a także przez włączenie uzdrowskiego Darkowa i kilku innych miejscowości, to nowe miasto nazwano Karwiną. Jej nowe centrum znalazło się we Frysztacie o średniowiecznym rodowodzie, posiadającym poważniejsze tradycje jako siedziba powiatu i starostwa i wielu urzędów administracji publicznej.

Wszystko to dlatego, że z powodu rabunkowej eksploatacji węgla Karwinia zaczęła zanikać. Była kilkudziesięciotysięcznym miastem z ratuszem, dwoma kościołami, sławnym browarem, bankami, kinami i wszystkim, co tworzy miasto (w 1923 roku dostała prawa miejskie). Jednak gdy zapadała się, podkopywana przez kopalnie, nie ratowano jej, lecz po prostu wyburzano domy i osiedla. Niektóre zniknęły pod hałdami, inne pod wodą. Skazano miasto



na zagładę, a jego nazwę przeniesiono na Frysztat z nowymi osiedlami, które przy nim zbudowano. Dzisiaj dawna Karwina to tylko jedna z dziewięciu dzielnic nowej Karwiny: dzielnica o nazwie Karwina – Doły (czyli Karwina – Kopalnie).

Zatem tamta Karwina zniknęła niemal zupełnie, pozostawiając po sobie kościół i cmentarz. No i kopalnię, które nadal fedrują, chociaż zmieniły się oczywiście od czasów dzieciństwa pisarza. Czy pozostało cokolwiek z magicznego świata Morcinka z *Czarnej Julki*?

Jakimś cudem ostał się barokowy kościół katolicki świętego Piotra z Alkantary, pochodzący z 1736 roku, w którym Morcinka ochrzczono. Pojawia się w wielu miejscach *Czarnej Julki* jako „stary kościół”, szczególnie jako punkt orientacyjny dla tamtejszej przestrzeni. Przy nim stały szkoły, biała i czerwona, pod takimi nazwami występujące u Morcinka, do których uczęszczał z czarną Julką, rezolutną bohaterką powieści, i z dowodzoną przez nią chłopięcą paczką z pobliskich kolonii robotniczych.

Już w naszych czasach kościół miano zburzyć, jak inne budynki z sąsiedztwa, ale nadal stoi, chociaż coraz bardziej przekrzywiony. Dzisiaj kościół Piotra z Alkantary, przy drodze z Frysztatu do Ostrawy, staje się lokalną atrakcją turystyczną, reklamowany jako „czeska Piza”, w czym widać nawiązanie do słynnej włoskiej krzywej wieży w Pizie. Jakis

czas temu pięknie go odrestaurowano. Nawet zaczyna ściągać turystów, chociaż raczej z powodu przekrzywienia, a nie Morcinka.

Mocno przekrzywiony kościół stoi obecnie nad stawem powstałym, jak wiele tutaj podobnych, wskutek działalności górnictwa. A za kościołem, tam gdzie było miasto, puste przestrzenie, tylko nieco z boku dwa szyby kopalni „Gabriela” na wzgórzu. Dalej w kierunku wschodnim, w stronę Frysztatu, było centrum starej Karwiny z ratuszem i drugim kościołem. Jeszcze dalej pałac Larischów na Solcu, także wspomniany przez Morcinka. Z tego wszystkiego został kościół nad stawem, przy którym pojawiają się niekiedy wędkarze.

Nie zachowały się żadne ślady po kolonii robotniczej Żabkowa, która znajdowała się bardziej na północ, tuż przy kopalni „Jan Karol”, przy której Morcinek spędził najwcześniejsze lata dzieciństwa. Przy niej stały cztery budele (familoki) opisane tak dokładnie w *Czarnej Julce*, włącznie ze spisem lokatorów. Przed laty Jan Rusnok w szkicu *Ziemia rodzinna Gustawa Morcinka* ustalił, że familoki Żabkowa zburzono w 1967 roku, a na ich miejscu urządzono składowisko węgla. Postawiono je w pobliżu kopalni „Jana-Karola” (zaledwie kilkadziesiąt metrów od szybu), czyli gdzieś w pobliżu obecnej kopalni „Karwina”. Dzisiaj nie ma przy niej osiedli, tylko nieużyte

Gustaw Morcinek Czarna Julka

Wydawnictwo
»Śląsk«

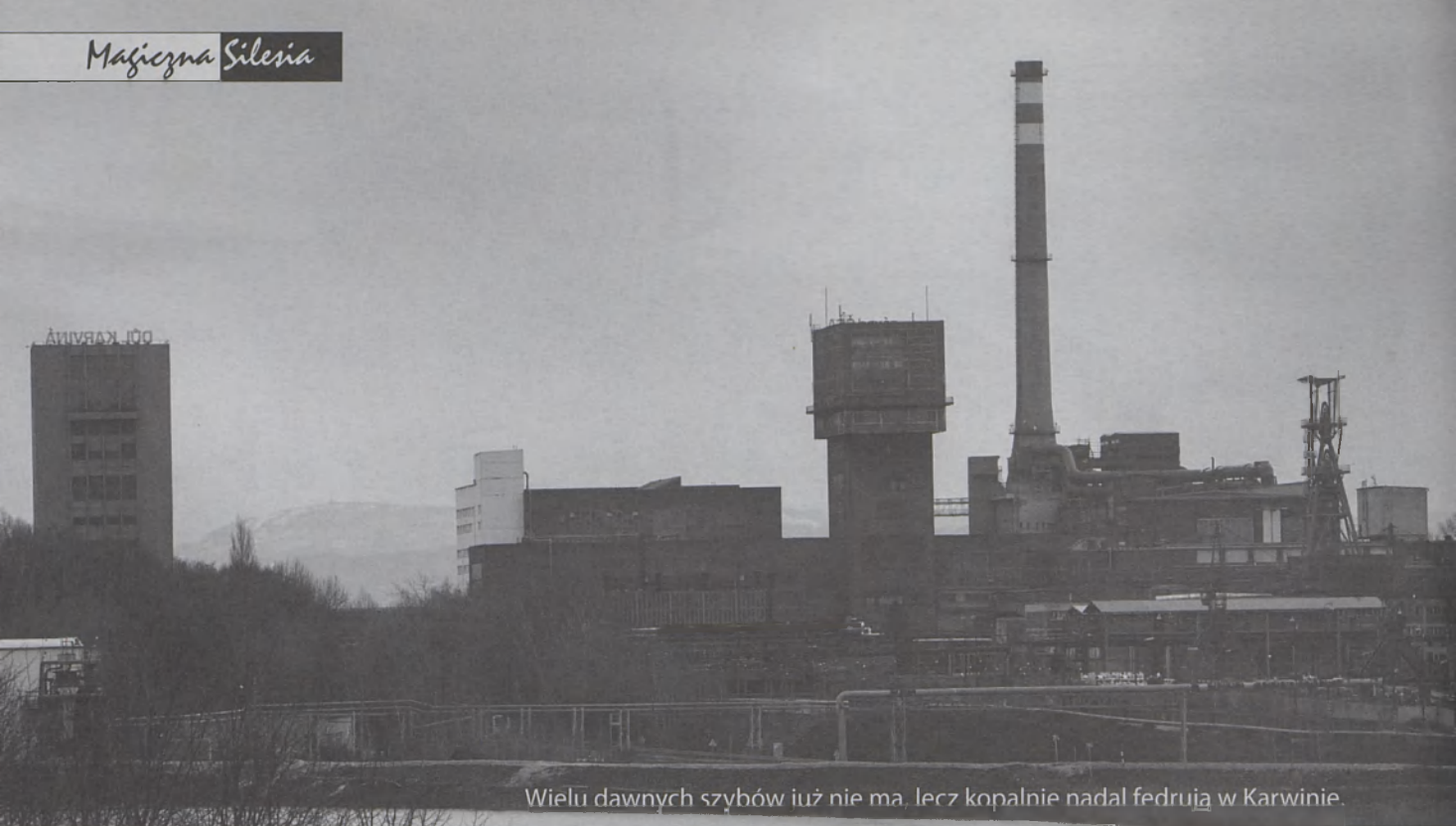




Dzisiaj przekrzywiony kościół św. Piotra z Alkantary staje się lokalną atrakcją turystyczną.



Z cmentarza można ująć w jednym kadrze groby z kościołem i wieżami kopalni w oddali.



Wielu dawnych szybów już nie ma, lecz kopalnie nadal fedrują w Karwinie.

ki i zalesione hałdy. Za jakiś czas będą porośnięte po prostu lasem.

Do XIX wieku Karwina była osadą wiejską. Dopiero odkrycie bogatych pokładów węgla kamiennego spowodowało, że wokół niej powstały kopalnie, sprowadzające zewsząd coraz liczniejsze rzesze pracowników. Kopalnię „Jan-Karol” założono w połowie tamtego stulecia jako jedną z najstarszych, a niedaleko pojawiły się kolejne: „Franciszka”, „Henryk”, „Głęboka”, „Gabriela”, „Hohe-negger”, by poprzestać tylko na wspominanych przez Morcinka. Niemal wszystkie należały do szlacheckiego rodu Larischów-Mönnichów.

„Naokoło Żabkowa – pisał Morcinek – były tylko kominy i dymy. By dojrzeć niebo stykające się z ziemią, trzeba było pójść za browar grafa Larischa, minąć duże stawy, w których baraszkowały utopce i karpie, przejść w bród rzeczkę Stonawę, wyjść na wysoki pagórek i patrzeć pilnie na wszystkie strony”.

Wprawdzie ojciec Gustawa Morcinka był woźnicą, a nie górnikiem, lecz chłopiec wzrastał w osiedlach przy kopalniach, najpierw w Żabkowie przy „Janie-Karolu”, potem w kolonii na Granicach przy szybie „Głęboki” i wreszcie w domu przy szybie „Franciszka”. Opisał je wszystkie w *Czarnej Julce*.

Po ukończeniu szkoły Morcinek pracował przez pewien czas w maszynowni szybu wentylacyjnego „Głęboki”. Z tej kopalni wyruszył w 1910 roku na studia do seminarium nauczycielskiego w Białej w Ga-

licji, co otwierało przed nim nową drogę życia. Za sobą pozostawił na zawsze kopalnie Karwiny, by potem powracać do nich nieustannie w kolejnych powieściach.

Wielu przywoływanych przez Morcinka kopalń i szybów już nie ma, lecz kopalnie nadal w Karwinie fedrują. Najważniejsza to wielka kopalnia „Karwina”, która wchłonęła także kopalnię „Jana-Karola” (zaliczając po drodze liczne zmiany nazwy, w okresie powojennym najdłużej jako kopalnia CSA). W tym miejscu doszło do wielkiej katastrofy 14 czerwca 1894 roku, która pozostawiła w umyśle Morcinka tak znaczące ślady, że powracał do niej wielokrotnie. Jej opisy znajdujemy w *Czarnej Julce*, w *Siedmiu zegarkach kopidoła Joachima Rybki* i wielu innych książkach.

„Zatrzęsła się ziemia, zakolebały się familoki – pisał Morcinek – a ze studni szybowej na »Franciszce« wystrzelił pod niebo ogromny, czarny, ciężki słup dymu, potem drugi z obok znajdującego się szybu wentylacyjnego. A potem już dym zaczął walić ze wszystkich studni szybowych, z »Jana«, »Henryka«, »Karola« i »Głębokiego«, i ze wszystkich szybów wentylacyjnych! Widzieliśmy, jak wybuch wyrzucił ogromne, stalowe kopuły, nakrywające wyloty szybów wentylacyjnych”.

W katastrofie, która należała do największych w historii europejskiego górnictwa, straciło życie 235 górników. Jej świadectwem jest pomnik na cmentarzu w Karwinie z imionami i nazwiskami

górników, którzy zginęli. Blisko znajduje się grób inżyniera Celestyna Racka, który wyruszył na czele ekspedycji ratunkowej w podziemiu kopalni, by znaleźć w nich śmierć, jak wielu innych górników. Do postaci mężnego inżyniera Racka pisarz powracał również wielokrotnie. W *Czarnej Julce* zamieścił w całości nekrolog z jego grobu, wspominając ponadto czuwającego na nim „ogromnie smutnego anioła bez skrzydeł” z białego marmuru. Nie mógł przewidzieć, że po przeszło stu latach skradną go hieny cmentarne, o czym dzisiaj informuje dodatkowa tablica.

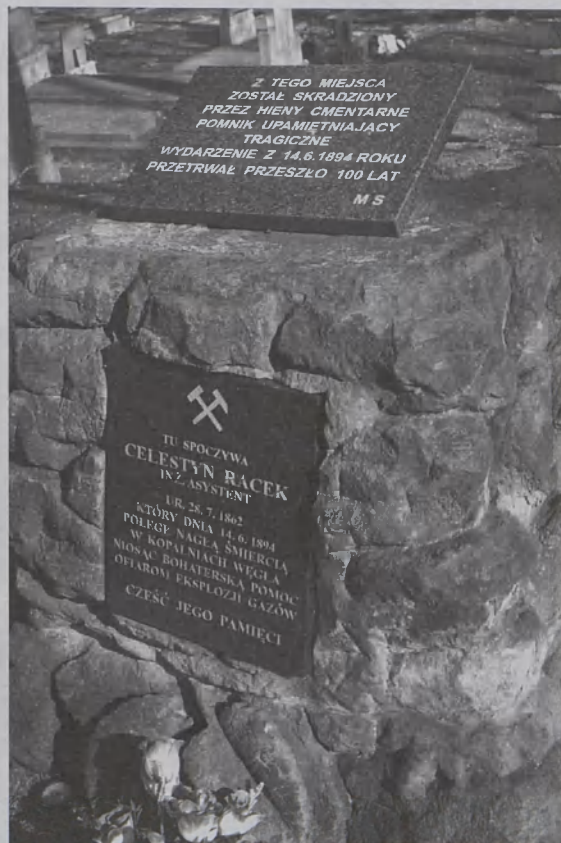


Znajdujący się blisko kościoła cmentarz karwiński (po drugiej stronie ruchliwej drogi do Ostrawy) to drugie miejsce, gdzie można szukać świata Morcinka (choć nie grobu Morcinka, pochowanego po śmierci w 1963 roku w Cieszynie). Na wielu karwińskich nagrobkach znaleźć można nazwiska znane z jego powieści.

Ze świata dzieciństwa pisarza zachowały się kościół, cmentarz i kopalniane wieże. Gdy patrzymy z cmentarza to w jednym kadrze można złączyć groby z kościołem i wieżami, jakby sprawcami spustoszenia miasta. Ale to przecież nie kopalnie są winne jego upadku, lecz ludzie, którzy zdecydowali, że najważniejsze to wydobyć. Strategia wydaje się nawet znajoma, chociaż tutaj doprowadzono ją

w przeszłości do perfekcji. Przeniesiono gdzie indziej nie tylko ludzi, ale i miasto z jego nazwą.

Nie ma już świata Morcinka w Karwinie, chociaż na jednym z jej nowych osiedli pojawiła się nawet jego ulica. Pozostały oczywiście liczne szkoły i ulice w polskich miastach, ale to właściwie wszystko. Nie ma przecież księzek Morcinka w naszych księgarniach (co byłoby oczywiście osobnym tematem), a tym bardziej w czeskich. Ze szkolnego kanonu zniknął nawet nieśmiertelny *Łyszek z pokładu ldy*.



A po polskiej stronie, w przygranicznych Kaczycach, które znajdują się najbliżej czeskiej Karwinie, wysadzono przed kilkunastu laty nowoczesny szyb kopalni „Morcinek” z widocznym z daleka nazwiskiem pisarza. Nawet to runięcie „Morcinka” nabrało niespodziewanie znaczenia symbolicznego. Jakoś to się ułożyło w pożegnanie i zanikanie pisarza, który niegdyś ukształtował na długo paternalistyczne widzenie Górnego Śląska przez Polskę. Może to skłaniać do zastanowienia... ■

Jan F. Lewandowski – doktor, historyk, redaktor naczelnny kwartalnika „Fabryka Silesia”

■ Bogdan Kułakowski – fotograf



Z dawnej Karwiny pozostały prócz kościoła tylko groby na cmentarzu i kopalnie.

KRZYSZTOF NOWAK

JAK GOMUŁKA CHCIAŁ PRZYŁĄCZYĆ ZAOLZIE

Na temat dawnych konfliktów o Zaolzie napisano już sporo. W ostatnich latach światło dzienne ujrzał temat sporu o Zaolzie po II wojnie światowej, gdy Warszawa i Praga stały na krawędzi konfliktu zbrojnego. Do wojny nie doszło, do czego przyczyniła się interwencja Stalina, który przyznał Zaolzie Czechom.

W sprawach Zaolzia w 1945 roku mocno pukali do drzwi Kremla komunistyczni liderzy z Polskiej Partii Robotniczej. Na pytanie czeskich towarzyszy z Komunistycznej Partii Czechosłowacji, dlaczego idą śladami tak krytykowanego za politykę wobec Pragi ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, odpowiadali, że oba kraje powinny zerwać z burżuazyjną przeszłością i usunąć problem wiecznego sporu w duchu słowiańskiego braterstwa. Odzyskanie Zaolzia miało też legitymizować PPR w oczach polskiego społeczeństwa jako siły dbającej o sprawy narodowe, a nawet stanowić swoistą psychologiczną rekompensatę za utratę Wilna i Lwowa. Dlatego Bolesław Bierut i Władysław Gomułka odrzucali żądania prezydenta ČSR Edvarda Beneša, aby wyrzekli się pretensji do Zaolzia w zamian za uznanie ich władzy w Polsce.

W maju 1945 roku władze polskie spóźniły się na Zaolzie. Miesiąc później, gdy wojska sowieckie wbiły się klinem między oddziały polskie i czeskie, podczas rokowań w Moskwie najaktywniejszy członek polskiej delegacji, sekretarz generalny PPR Gomułka – zdaniem czeskich rozmówców – argumentował tak, jak niegdyś Beck i londyńscy Polacy. Przekonany, że reprezentuje wolę narodu, Gomułka uznał bowiem rozgraniczenie z 1920 roku za nieobowiązujące, gdyż było niesprawiedliwe i w konsekwencji musiało prowadzić nieuchronnie do roku 1938.

Później, gdy Gomułka, reprezentujący w PPR swoisty nurt „narodowy”, sprawował także funkcję ministra ziem odzyskanych, nadal interesował się Zaolziem, gdzie dochodziło do prześladowań ludności polskiej. Polska starała się załatwić sprawy sporne drogą dyplomatyczną, wysyłając na początku listopada 1945 roku do Pragi pojednawczą notę z propozycją rokowań.

Wtedy to, z końcem listopada 1945 roku, na spotkanie z przywódcami PPR udał się do Warszawy Henryk Jasiczek (1919–1976), wówczas redaktor jedyne polskiego czasopisma w Czechosłowacji, komunistycznego „Głosu Ludu”, w następnych latach także poeta i prozaik, niewątpliwie najbardziej znany Polak z Zaolzia. W 1970 roku, po okresie Praskiej Wiosny, został usunięty ze wszystkich stanowisk i skazany na milczenie. Zabrał się wtedy za pisanie wspomnień, które do dziś pozostają w rękopisie.

Podczas pobytu w Warszawie Jasiczek spotkał się z Gomułką, który – jak wynika z przytoczonego fragmentu wspomnień zaolziańskiego działacza – miał w tym okresie również nieco inną wizję rozstrzygnięcia sporu granicznego:

Dialog Gomułki z Jasiczkiem jest jedynie epizodem. Wskazuje jednak na raczej poważne, a nie jedynie wynikające z potrzeb propagandowych, zaangażowanie sekretarza PPR w sprawy Zaolzia. O tym spotkaniu Jasiczek nigdy z nikim nie rozmawiał, mimo iż po kilku latach, gdy w Polsce walczone już z gomułkowskim „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym”, władze czeskie próbowały go o nie wypytwać.

Aż do 1968 roku wśród zaangażowanych w działalność narodową na Zaolziu Polaków istniał specyficzny mit interesowania się Gomułką Zaolziem, co nie miało odzwierciedlenia w rzeczywistości. Jeszcze nawet przed stłumieniem Praskiej Wiosny nadszedł zza Olzy, oczywiście anonimowy, list do Gomułki z prośbą o przyłączenie do Polski. Z kolei Gomułka, zdając sobie sprawę z historycznych realiów, zadbał – i słusznie – aby wkraczające w sierpniu 1968 roku do Czechosłowacji oddziały polskie szerokim łukiem ominęły Zaolzie. Niemniej

jego mit wśród Zaolzian zastąpiła totalna kompromitacja. Po kilku latach, gdy emocje opadły, opinie zaczęły się różnicować. Sam Jasiczek o Gomułce nie myślał źle, twierdząc w innym miejscu wspomnień, że życie polityczne ostatecznie polityk ten przegrał jako kozioł ofiarny, gdyż na zakręcie historii nie umiał otworzyć w odpowiedniej chwili odpowiedniego wentyla.

Choć trudno przypuszczać, jaka byłaby reakcja Gomułki, gdyby Jasiczek inaczej przedstawił zaolziańskie realia, największa szansa na przejęcie przez Polskę Zaolzia istniała faktycznie w maju – na zasadzie faktów dokonanych, a nie jesienią 1945 roku, przy wyprzedzeniu – rzecz jasna – reakcji „tego trzeciego”, czyli ZSRR. We wrześniu 1946 roku podobną opinię usłyszeli Zaolzianie od wojewody śląskiego Aleksandra Zawadzkiego: stanął między nami ktoś inny. Gdyby to tylko od nas zależało, to dawno wkroczylibyśmy na Zaolzie.

Z dostępnych obecnie dokumentów wynika, że – niezależnie od świadectwa Jasiczka – możliwość rozstrzygnięcia sporu o Zaolzie poprzez powstanie jesienią 1945, a nawet wiosną 1946 roku była wciąż brana pod uwagę, o czym wiedzieli tylko niektórzy wysoko postawieni członkowie PPR, choć nie sposób stwierdzić, czy był wśród nich Gomułka. W powojenną polską konspirację za Olzą Jasiczek nie był zaangażowany, choć wiedział o jej istnieniu. Trudno też powiedzieć, czy Jasiczek swoimi opiniami – w dużej mierze trafnymi – przyczynił się do obniżenia poparcia Warszawy dla przygotowania planów powstańczych. ■

Krzysztof Nowak – doktor habilitowany, historyk, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, zajmuje się szczególnie historią Śląska Cieszyńskiego w XX wieku

HENRYK JASICZEK

Spotkanie w Warszawie

(fragment wspomnień)

*D*o Gomułki [tak w oryginale – KN] poszedłem sam. Przyjął mnie, cały czas przechadzając się po biurze. Wyglądał młodo, był chudy, w dwurzędowym granatowym ubraniu. Ruchy miał nerwowe, twarz bladą, czoło wysokie na skutek postępującej łysiny. W jego wyrazie twarzy, ruchach odczuwało się chłopską mentalność. Upór, prostolinijność, skrytość.

– Cóż tam w Trzyńcu nowego? – zaskoczył mnie pytaniem najmniej oczekiwanym, podsuwając papierosy „Belwedery”.

– Przesyłają Wam serdeczne pozdrowienia – odpowiedziałem, odwdzięczając się pięknym za nadobne.

– Jak układa się sytuacja na Zaolziu?

Spokojnie i rzeczowo starałem się scharakteryzować sytuację polityczną i rozwój stosunków czesko-polskich na Śląsku czeskim. Gomułka słuchał, chodząc po biurze tam i z powrotem, czasami zatrzymał się i chwilę patrzył uważnie na mnie, potem ruszył z miejsca.

Trudno mi dziś odtworzyć przebieg tej rozmowy. Starałem się być obiektywny, nie miało sensu przejawiać ani naginać faktów. Szkodziłbym sprawie. Tylko rzetelna informacja miała sens. Zapamiętałem jednak to, co w rozmowie z Gomułką uderzyło mnie najbardziej. W pewnym momencie Gomułka podszedł do mnie blisko, zatrzymał się i zapytał:

– A co byście powiedzieli, towarzyszu, gdybyśmy sprawę rozstrzygnęli przez powstanie?

Zatkało mnie. Nie oczekiwałem takiego pytania. Spodziewałem się raczej pojednawczych tonów.

– Powstanie? – pytam. W jaki sposób?

– Śląsk ma chyba tradycje, ciągnął tow. Wiesław.

– Tak, ale to był Górny Śląsk i to były inne czasy.

– O broń nie byłoby trudno, namyślał się Gomułka. Zresztą, Wy sami najlepiej wiecie, co Wam potrzeba.

– Towarzyszu sekretarzu – wyjaśniam. – Wypowiadam tu swoje osobiste zdanie, tak jak to czuję i rozumiem. To są sprawy zbyt poważne, by można je zbyć ogólnikowo, a poza tym trzeba liczyć się z rzeczywistością, jaka ona jest. Obawiam się, że próba zbrojnego czynu spaliłaby na panewce. Znam społeczeństwo, w którym żyję, są to ludzie niezmiernie ofiarni, pracowici, zdolni dla podkreślenia swojego patriotyzmu, do wielkich poświęceń, ale wątpię, że znalazłaby się dostateczna ilość ludzi, która podniosłaby broń. To nie jest w mentalności

Ślązaków. Być może przyczyną niechęci do rozwiązań z bronią w ręku jest niepewność poczynań, świadomość złożoności terenu, obawa groźnych następstw. To jedno. A drugie – jeśli były jakieś w podejmowaniu ryzyka szanse do opanowania sytuacji z bronią w ręku, to w maju 1945 roku, kiedy nie było jeszcze uformowanych władz czeskich na tym terenie. Teraz jest już za późno. Ludzie są zmęczeni i zniechęceni, co gorsza, czują żal do Polski, że właśnie w pierwszych dniach maja pozostawiła ich na łasce losu.

Gomółka potarł czoło.

– Co można dla was zrobić?

– Rozmawiajcie z tow. Gottwaldem, rozmawiajcie z towarzyszami czeskimi, wyrażcie im bezpodstawną politykę dyskryminacji ludności polskiej. Wiadomo, że najgorzej tam, gdzie władzę sprawują narodowi socjaliści, ludowcy, a nawet socjaldemokraci, niestety nawet partia nie pozbawiona jest otwartych czy zakamuflowanych nacjonalistów, zaś każda próba obrony, każde napiętnowanie nacjonalizmu rozumiane jest jako przejaw nacjonalizmu z naszej strony. Kto ma wtedy rację? Naturalnie silniejszy, ten kto ma władzę. Będziecie tą trzecią stroną, która obiektywnie oceni sytuację, rozważy, wypowie swoje zdanie...

– To są trudne sprawy towarzyszu, mamy w kraju ogrom własnych kłopotów, ale nie zapominamy o Was tam za Olzą i będziemy pamiętać. Znałem niektórych towarzyszy z Waszego terenu, to byli dzielni i ofiarni ludzie. Niejednego pomagali przerzucić do Hiszpanii.

Potem wróciliśmy jeszcze do spraw konkretnych: polskie szkolnictwo, poparcie dla nauczycieli, książki, prasa polska, interwencja w sprawie utrudniania studiów w Polsce, praca dla inteligencji polskiej itp. Gomółka notował, potem zapytał jeszcze, czy mam jakieś osobiste życzenie. Powiedziałem, że chciałbym widzieć odbudowaną Warszawę.

– Zobaczycie za 10 lat, zobaczcie.

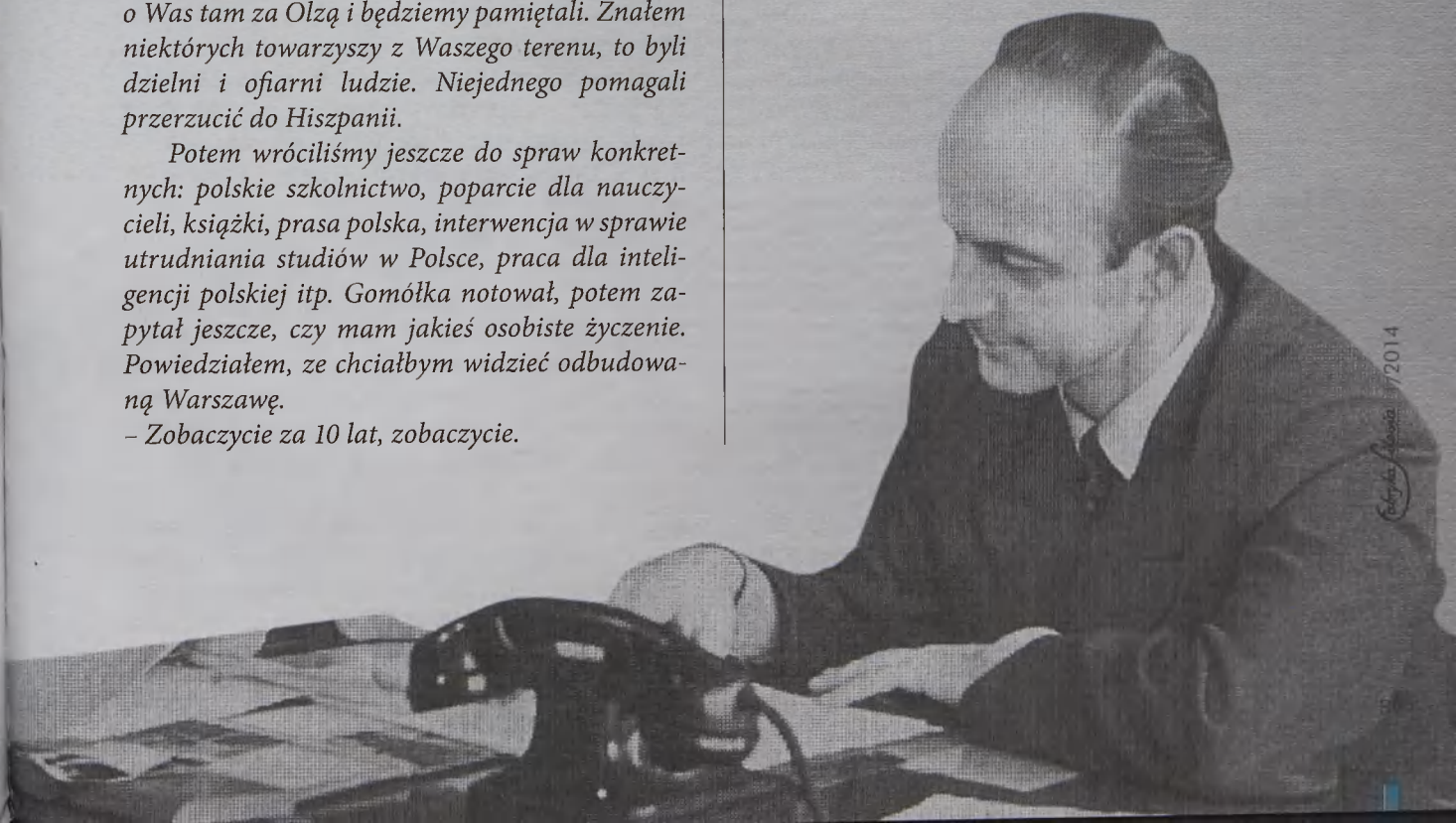
Ucisnął mi dłoń i kazał pozdrowić wiernych ojczyźnie Polaków na Zaolziu. No cóż, wtedy jeszcze nie było współczesnej teorii ojczyzny.

Często później zadawałem sobie pytanie, co skłoniło Gomółkę do tak zaskakującego sformułowania. Doszedłem do przekonania, że była to raczej wypowiedź retoryczna, że po prostu stary działacz rewolucyjny po prostu głośno sobie myślał, nie zastanawiając się nad wagą wysuwanego wniosku i nad jego nierealnością. Gdyby Gomółka zaczął się zastanawiać nad praktyczną realizacją tej propozycji, rychło doszedłby do wniosku, że nie ma ona żadnych szans, zważywszy, że był tu ktoś trzeci, który w rozkładzie stosunków polsko-czeskich też miał coś do powiedzenia – Związek Radziecki.

W każdym razie wypowiedź Gomółki jest wierną ilustracją jego żywiołowego reagowania, które cechowało działaczy wyrosłych z ludu, nie bardzo przejmujących się dyplomatycznymi kruczkami.

Gomółka jest chyba uczciwym człowiekiem. Sposób jego myślenia kształtowała chłopsko-robotnicza przeszłość.

Tytuł fragmentu wspomnień pochodzi od redakcji.





Ad Bojos

Wystarczy ująć parę zdarzeń z różnych epok w jednym zdaniu, by zaistniały społecznie.
Nasza prawdziwa włóczęga przez życie odbywa się w głąb, często wracając do źródeł.

Mariusz Wilk: *Lotem gęsi*

Nie żeby wyłoniła się idea! Ale żeby się pierwotność odsłoniła. W olśnieniu, oświeceniu: na przykład marzeniu, by połączyć Szkocję i Śląsk. Myśli skierować do Edynburga, co nie jest niedorzeczne. Taki w głowie wykrzyknik! Imperatyw! Wszystko jedno.

Od zaraz wyprowadzić myśl śląską jak najdalej poza dziejowe i dzisiejsze, za morze, za ląd, za ląd, za znany świat. Pomyśleć, jak Mariusz Wilk patrzący, wachlujący się myślą, gdzie północna szarość i szczerłość, i Onieźskoje oзеро. Żeby myślą cofać się daleko. Tak daleko, jak się da. Jeszcze dalej przed to, co śląskie/nieśląskie.

Da się w ogóle tak? Odnajduję taki trop, taki krok, taką frazę w starych wierszach. Ale trzeba by naprzód dawnego poetę wywołać z mroku wieków. Trochę cieszyńskiego poetę, co za chwilę się wyjaśni, na pewno poetę śląskiego. Do tego łacińskiego. Troistej przynależności luterancko-kalwinistyczno-katolickiej. W różnych okresach życia różnej. Ma to jakieś znaczenie? Tak samo, jak kwestie etniczne. Tożsamość tamta dawna ewidentnie wyznaniowa. Modelowana lojalnością mecenaską (korporacyjną?). Czyli tak, jak dzisiaj. Poety zresztą nie wyciągam znikąd. Kiedyś poświęcałem mu czas. Tłumaczyliśmy niegdyś z Dariuszem Rottem kilka jego utworów. (Pszczyna 2000).

Nazwisko poety widnieje na 112 i 113 stronie drugiego tomu *Słownika poezji humanistycznej w Czech i na Morawach (Rukovět humanistického básnictví v Čechách a na Moravě, Praha 1966)*. Wydanego przez Josefa Hejnicę i Jana Martíňka. Co mam jeszcze? W kategoriach rynkowych, a także uniwersyteckich, same śmieci. Kilkanaście tysięcy łacińskich wersetów wydanych w Oleśnicy, Legnicy i Wittenberdze.

Nazywał się Balthasar Exner i był dyplomowanym poetą (jako poeta-laureat cesarsko uhonoro-

wany, swego rodzaju nobilitacja równa szlacheckiej). Po nazwisku dopisywał stale de Hirschberga, „z Hirschbergi”, bo urodził się w Jeleniej Górze 24 sierpnia 1576 roku. Przez dwa lata był wychowawcą Fryderyka Wilhelma (1601–1625), ostatniego męskiego potomka piastowskiego rodu książęcego cieszyńskiego, syna księcia Adama Waclawa.

Potem Baltazar Exner wyjechał do Koszyc i na Morawy. Jeszcze później został profesorem historii w kalwińskim akademickim gimnazjum Schönai-chianum w Bytomiu nad Odrą (w latach 1615–1622). Był to instytut pedagogiczny sławny w całej Europie. Zmarł w 1624 roku. Ponoć na zarazę w podwrocławskim Ołbinie (już od dawna suburbium śląskiej metropolii).

Zdaje się, że wczesną wiosną roku 1609 pisał Exner na zamku w Cieszynie swój zbiór łacińskich wierszy-wariacji na temat herbów i godeł. Zatytyłował go *Ramenta poetica (Poetyckie częsteczki)*. Zbiór ten wydał drukarz Johannes Bössemesser w 1609 roku w Oleśnicy, zwanej dźwięcznie po łacinie Ol-sna Silesiorum.

Cykl jego wierszy otwiera utwór na insygnia cesarza Rudolfa II Habsburga. Balthasar Exner ba-wił na jego olśniewającym intelektualnie praskim dworze prawie pięć lat (do 1604), należał do kręgu manierystów Johanna Wackera von Wackenfelsa. I spotykał się z Giordanem Bruno, Janem Keplerem czy Giuseppem Arcimboldim. Hiszpańsko-katolicka Praga była dla Exnera wspomnieniem inspirującym. Dlatego cesarza Rudolfa II w swym heraldycznym cyklu poetyckim nie mógł pominąć. Potem następuje opis herbu króla Węgier, Macieja II, później herbu polskiego króla Zygmunta III. Po wierszach-emblematach na władców idą utwory na godła krajów Korony św. Waclawa: Czech, Moraw, Śląska. Dalej poetyckie reprezentacje herbów mecenasów, przyjaciół, uczniów Exnera.

Zwłaszcza wiersz na herb Śląska budzi moje zainteresowanie. Utwór *Insignia Ducatus Silesiae* tłumaczę prozą: „Śląski kraj nosi czarnego orła na hełmie, ale kiedyś ten orzeł był biały, chociaż teraz czarny. Królestwo Polski i Śląsk od siebie oddzielone. Śląsk i Polska dumne są ze swych różniących się herbów. Kiedyś śląska ziemia była córą Sarmacji. Udała się wówczas do Bojów, gdy wzgardzono jej darem. Pozostało jednak białe serce czarnego orła: miłosny dowód wiernej pamięci. Doborowy hufiec pokonuje przeciwności. Śląsk posiada insygnia podobne do morawskich. Zawsze bądź bliski Morawom, o Śląsku!”

Taki to tekst. Exner przedstawia się jako czytelnik historyków. Nie dziwi, że w opisie herbu robi aluzje do *Kroniki* Długosza. Czytamy tam w księdze IX, że książęta ślascy, nie mogąc „scierpieć, że Władysław Łokietek bez zasięgnięcia ich rady i wbrew ich woli przywdział koronę królewską”, zmienili barwy herbowe i złożyli hołd królowi czeskiemu. Tłumaczą się tu też polityczne pretensje cieszyńskich Piastów do polskiej korony, których chyba poeta nie podziela, ale które były wówczas żywe.

W tej Exnerowej lekcji historii Śląska na pewno zaciekawia najbardziej ów akcent czesko-morawsko-śląski. W istocie przed-czeski i przed-śląski, bo celtycki. *Fugit at ad Bojos*, to znaczy: „udała się jednak do Bojów”. W tym tekście uciekła do Bojów panna wzgardzona Silesia, Śląsk przesunął się na południe – ku celtyckim sadybom plemienia Bojów. Ci Bojowie są historycznym ludem. Byli szczepem celtyckim słynącym z hodowli bydła (słysząc to w nazwie), a chyba też z waleczności. Zasiadali tereny nad Renem i Dunajem. Dowody ich obecności w onomastyce: np. Boiodurum, czyli dzisiejsza Passau, a jestem prawie pewny, że i nasze Bojszowy biorą od nich nazwę.

Także łacińska nazwa Czech (Bohemia) i niemiecka (Böhmen) pochodzi od tychże Celtów. W XVII wieku posługiwano się często słowem Bojemia, które oddaje Boiohemum, czyli miano „ojcowizny Bojów”. Exner – oczywiście – mitologizuje w swoim wierszu, wskazując na symboliczne oddalenie się Śląska od Polski, i zbliżenie do Czech. Powiedziałbym, że mitologizuje oraz etymologizuje, gdyż interesuje go wyjście pozahistoryczne. Szuka do tych dziejów niehistorycznych szlaku. I to mu się udaje. Ale wzywa też trzeźwo i politycznie do symbiozy śląsko-morawskiej. Zaklina nas usilnie: Trzymajcie się blisko Morawiaków!

Archeologowie potwierdzają, że Bojowie żyli na Górnym Śląsku (między IV a II wiekiem przed Chrystusem). Zatem sprawa posiada wymiar nie tylko metaforyczny. Znalezione około 70 celtyckich

monet (niedaleko Głubczyc). W I wieku po Chrystusie zostali Bojowie wyparci przez germańskich Markomanów. Czy wtedy Bojowie z Wotadynami (Votadini), połączywszy się w jeden lud, wyruszyli daleko na zachód? Tego nie wiem. Musiałbym zmyślać. Może tak było. Może założyli razem szkockie Din Eidyn. Trudno to stwierdzić.

Zwracam tylko uwagę na możliwość momentu szkockiego. Może Bojowie (przemianowani, wymieszani z innymi Celtami) dotarli tylko do południowej Anglii? Nie będę się przy tym upierał. Wszelako europejskie krążenia i kursy Bojów rozbudzają wyobraźnię. A zamierzczę życie czesko-śląskie na tym wspólnym bezgranicznym Bojowisku Bojów kusi, by opowiadać dalej i dalej.

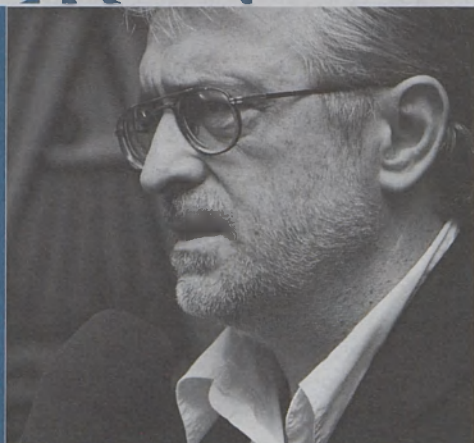
Imaginacje celtyckie – to nie jest bez znaczenia – liczne dualizmy śląskie i dalsze wszystkie izmy znoszą, wypierają, unieważniają. Taki tylko byłby ich cel. Lecz są to opowieści podobne do mgławic. Dalekie od tak zwanych faktów, barwne, niepewne. Pewne jest natomiast, że dwa lata temu odebrałem telefon od... Exnera.

Nie był to naturalnie telefon od poety Balthasara Exnera z Jeleniej Góry i siedemnastego wieku. Dzwonił doktor Exner z Ängelholm (zmieniam dane), szwedzki kardiolog o ciepłym głosie. Pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o moim Exnerze. Poznać lepiej historię życia łacińskiego poety. Zagadnął mnie również o jego potomków. O herb „Samson walczący z lwem”. O urodzonego 6 września 1764 roku Franciszka Ksawerego Mikołaja Exnera. O krewnych z Obergrund albo Niedergrund (Dolní Podlůží), a także łużyckie i polskie losy rodziny. Czy na pewno Anton Karl Exner został uszlachcony w 1797 roku?

Szykowano się wtedy do światowego zjazdu rodzinnego Exnerów w Pretorii (RPA). Organizatorem był komitet wyłoniony z The Exner Family Association. Genealogistami i wielbicielami rodzinnych dziejów okazali się ci mili ludzie afrykańsko-austriacko-szwedzcy. Ale także czytelnikami starych śląskich wierszy.

Moje pokrewieństwo, nasze śląskie i czeskie koligacje z południowoafrykańskimi Exnerami są pewne, przypieczętowane, potwierdzone przez ekspertów. „Żadnej epoki nie można usunąć nakazem negacji”, jak mówi Martin Heidegger. Tym bardziej genów. Niczego nie da się całkiem zapomnieć, zamazać.

W ten oto sposób rozgrabia się i pięknie powrotnie układa zagadkowa mozaika śląskich treści. Raz na tysiąc lat albo raz na dwa tysiące widać dokładnie, o co chodzi. ■



ŚLĄSK W STARYCH DEKORACJACH

Kiedy w latach 80. raz czy drugi chciałem zajrzeć do Těšínskeho Divadla i lepiej poznać Scenę Polską, musiałem na granicy pokazywać nie tylko paszport, ale i zaproszenie.

Jednak czułem się uprzywilejowany, bo przed innymi szlaban się zamykał. Stąd przekonanie, że jestem daleko od domu. Niby swojskie języki wokół ciebie, a jednak nie masz wątpliwości, że odbywasz kilkudniową podróż – co się zowie – zagraniczną.

Z sentymentem te wyjazdy wspominam, bo artyści przyjmowali mnie z otwartymi ramionami, wożąc mnie także po okolicznych miejscowościach. Scena Polska łączy w sobie walory teatru stacjonarnego i objazdowego. Mogłem więc także podglądać (i podsłuchać) publiczność. Również otrzeć się o ludzi z pokrewnych środowisk – plastycznych, dziennikarskich, literackich. To niewielka społeczność, już wtedy zaniepokojona procesem kurczenia się mniejszości polskiej w Czechach.

Ale przecież ludzie „stela” – „tutejsi” – ciągle na Zaolziu mieszkają i co rusz dowodzą swego istnienia. Spisy ludności, choć rzeczywiście potwierdzają ubytek „polskiej krwi”, nie są rozstrzygające ani miarodajne na obszarze pogranicza kulturowego i językowego. Częściej niż przed laty dochodzi do zawierania małżeństw mieszanых, a także do uchylania się od jednobrzmiących deklaracji, co w warunkach demokratycznych – paradoksalnie – jest procederem wcale nierzadkim. Podobne zjawiska, nawet na większą skalę, obserwujemy w Polsce, gdzie w ciągu jakichś trzydziestu lat „wywiało” kilkaset tysięcy Ukraińców i Białorusinów. Czy na pewno?

Do Czeskiego Cieszyna parę razy przyjeżdżałem także na Festiwal Teatralny „Na granicy”. Ba, raz nawet byłem jurorem. Niby więc powinienem ten obszar uznać za dokładnie rozpoznany, a jednak tak nie jest. Również dlatego, że instytucjonalne związki między tą częścią Śląska Cieszyńskiego a aglomeracją przemysłową w ostatnich latach wyraźnie osłabły. Kiedyś Scena Polska pojawiała się w Kato-

wicach, Sosnowcu czy Zabrzu. Ostatnio już się to nie zdarza. To zapewne także efekt działań o mniej spektakularnym charakterze, skupionych tylko na obszarze przygranicznym. Słyszysz się o współpracy komunalnej między częściami podzielonego miasta – także z udziałem programów europejskich – która rzeczywiście przyniosła piękne efekty. Zwłaszcza w bliskim sąsiedztwie Olzy, gdzie zrewitalizowano spore obszary miasta, przywracając świetność wielu obiektom architektonicznym. Ale takie informacje, nawet jeśli mają pozytywny wydźwięk, nie budzą powszechnych emocji i nie przekładają się na jakieś analizy natury politycznej. Nie pojawiają się w ogólnokrajowych mediach, które chętniej wyławiają przygraniczne patologie. Może zatem powinniśmy przejść nad tym do porządku dziennego i uznać ciszę medialną za objaw normalności?

Był czas, że interesowały mnie wątki niemieckie w historii tej ziemi, a także te związane z działalnością późniejszego burmistrza Czeskiego Cieszyna Józefa Koźdonia, jego Śląską Partią Ludową i tzw. ruchami ślązakowskimi, postrzeganymi później – z perspektywy polskiej – jako wrogie, bo separatystyczne. Nigdy jednak nie udało mi się sprawdzić, czy w świadomości mieszkańców Zaolzia zostały sentymenty, tęsknoty do manifestowania innej formy odrębności. Łatwiej przyszło mi trafić na bliskich krewnych Eduarda Panta, przedwojennego lidera śląskich Niemców, wicemarszałka Sejmu Śląskiego, senatora RP. Ale niewiele z tego wynikło poza podejrzeniem, że wielokulturowość tej części Księstwa Cieszyńskiego jednak została utopiona – jakkolwiek miałoby to zaobrzeć – w czeskim morzu.

Niegdyśjsze proporcje narodowościowe już od dawna nie przystają do współczesnych realiów. Odwoływanie się do stanu z pierwszych dekad XX wieku nie ma już sensu, skoro wtedy nie udało się

przeprowadzić plebiscytu. Przekonanie, że odrodzona Rzeczpospolita na pewno by go wygrała, budzi dziś rodzaj niepokoju, nieustającego kaca, może nawet podsycać antagonizmy. Wystarczy, że znajdą się wandale, którzy zamalują dwujęzyczne nazwy miejscowości. Albo dojdzie do jakichś lokalnych konfrontacji historycznych, podkreślania odmiennych interpretacji wydarzeń z lat 1919–1920, stawiania kontrowersyjnych pomników. I na tym polu – niestety – nieraz coś zgrzyta, choć raczej bym tych incydentów nie demonizował.

Penetrując obszary przygraniczne i rozmawiając z przedstawicielami mniejszości narodowych, zwłaszcza działaczami – a bynajmniej ta uwaga nie odnosi się tylko do Zaolzia – prędzej czy później obarczeni zostaniemy katalogiem pretensji i żalów, kierowanych zarówno pod adresem lokalnej władzy, jak i „macierzy”. Jeśli odrzucimy historyczne garby, to zawsze będzie nam trudno obiektywnie ocenić zasadność tych zarzutów. O wiele łatwiej przyjdzie nam dostrzec objawy swoistej samotności, smutku i klaustrofobii. Dlatego trzeba tyle taktu i umiaru, gdy rozważa się rzeczywistą sytuację grup mniejszościowych, narażonych na wynarodowienie także w warunkach pokojowych i w ustrojach demokratycznych. Dobrym przykładem są Łużycanie na terenach dawnej NRD, których jest dziś znacząco mniej niż w czasach reżimu komunistycznego.

Niełatwo bowiem przychodzi utrzymać balans między „wiarą ojców” a wyzwaniem, jakie przynosi współczesność, znaczone procesami globalizacyjnymi i unifikacyjnymi. Polacy i Ślązacy z Republiki Czeskiej są dwujęzyczni, co wprawdzie amortyzuje ewentualne problemy, jakie mogą pojawić się na rynku pracy, ale jednak pozostaje dylemat, czy nie lepiej pozostawić język i kulturę „w domu” i nie manifestować swej odrębności. Takie pytania pojawiają się zwłaszcza wśród rodziców, którzy muszą jednoznacznie zdecydować, czy chcą posyłać dzieci do szkół mniejszościowych i, być może, tym samym narażać je w przyszłości na gorszy start w dorosłe życie. Dobrze, gdy takie szkolnictwo w ogóle istnieje i jest na odpowiednim poziomie. Dobrze, gdy mniejszości działają w obrębie „wysp językowych”, czyli względnej jednorodności etnicznej w miejscu zamieszkania (jak na przykład na Wileńszczyźnie). Gorzej, gdy żyją w rozproszeniu, bo wtedy zjawiska erozji kulturowo-językowej przyspieszają.

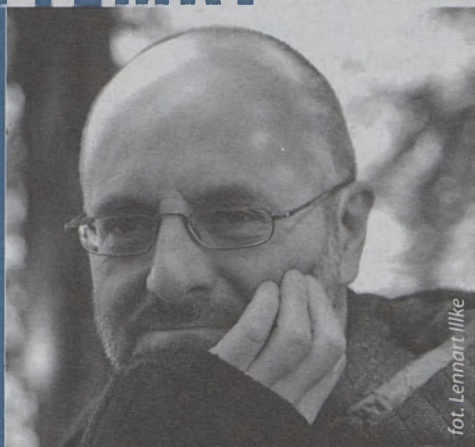
W tym kontekście nie sposób rozstrzygnąć, czy nie sprzyjają jej również procesy „europeizacji” naszych krajów, gdy wydaje się, że do kwestii narodowościowych podziałów przywiązuje się już mniej wagę niż w minionych epokach. Nie ulega

wątpliwości, że zmieniają się formy ujawniania i pielęgnowania odrębności kulturowych, a w każdych warunkach powinny być one wspierane metodami niekonfrontacyjnymi. Szukanie argumentów i racji w odległej historii jest już niewystarczające, grozi swoistą autarkią kulturową, która musi rodzić frustrację.

Bywa, że odradzanie dawnych form istnienia wspólnot językowych i komunikowania się w obrębie nawet niewielkich terytoriów napotyka bariery bynajmniej nie administracyjne czy polityczne. Upływ czasu, przymusowe i dobrowolne migracje, a przede wszystkim luki generacyjne tak bardzo zmieniły obraz życia, że niepodobna przywrócić nawet pozorów „dawnych lat”. Swego czasu odniosłem takie wrażenie podczas krótkiej podróży po Kraiku Hulczyńskim, czyli tej części dawnego powiatu raciborskiego, która została przyznana Czechosłowacji. W uroczych wioskach i niewielkich miasteczkach, w których mieszały się niegdyś języki niemiecki, morawski, czeski, czasem także polski, zwracają uwagę czynne świątynie katolickie, co w warunkach tego zateizowanego kraju jest osobliwością. A to dowód na to, że zachowało się trochę dawnej ludności. Po przełomie ustrojowym – podobnie jak w Polsce – odrodziła się tu mniejszość niemiecka, ale chyba aktywniejszych form działania nie wypracowała, mimo pomocy, jakiej próbowali jej udzielać aktywiści z Opola i Raciborza. Uczestniczyłem nawet w pewnym spotkaniu, które miało – przynajmniej symbolicznie – zaznaczyć i utrwalić wspólnotę losów obu tych grup, wyznaczyć przed nimi jakąś perspektywę. Ale chyba niewiele z tego wynikało. Na sali w ogóle nie widziałem ludzi młodych. Międzypokoleniowe więzy zostały pozrywane.

W latach 90. wydawało się, że pourywane wątki historii da się jakoś scalić. Tym nadziejom towarzyszył pewien entuzjazm, więc chętnie spoglądaliśmy na Śląsk jako wielką całość, podzieloną tylko administracyjnie. Bo rzeczywiście wędrówki po Opawie i dalej – na przykład po miasteczkach rozsianych wokół pasma Jesioników – przypominają, że była to wyjątkowo piękna kraina. Była? Jest, bo ostatnia wojna na szczęście nie poczyniła tutaj tak wielkich strat, jak po polskiej stronie. Ten entuzjazm i mnie się udzielał, bo nawet wybrałem się w tamte strony na parodniowy urlop.

A jednak wśród wielu cennych pamiątek historii dawnego Śląska Austriackiego odczuwałem jakiś rodzaj niewysłowionego smutku. Jakbym wszedł do opustoszałego teatru, w którym zamiast aktorów wałęsają się tylko grupki statystów. Zostały tylko stare dekoracje? ■



CZESKI FILM

O Milence mówiło się, że to Pepiczka. Pierwszy raz usłyszałem to – „Te, badnij sie!... To je ta Pepiczka!” – grając w piłkę na podwórzu między moim domem a szkołą na Długiej. Nic innego nie robiliśmy wtedy, tylko grali do zmięczenia. Dziś nikt już nie gra na moim placu. Ale wtedy tak.

Więc jak usłyszałem – „To łona!... Pepiczka!” – zacząłem się rozglądać i w przerwie między domami pierwszy raz ją zobaczyłem. Maszerowała chodnikiem z dużym blokiem rysunkowym pod jedną pachą, a z futerałem do skrzypiec pod drugą. W białym berecie z antenką, w jasnym prochowcu, w sukience trochę powyżej kolan, w białych tenisówkach. Miała jasne włosy spięte w koński ogon i była taka piękna, ale taka piękna, że zamiast grać, stałem i patrzyłem. No i zaraz był gol, szarpanina, wyzwiśka, ale mnie to już kompletnie nic nie obchodziło, bo od tamtej chwili liczyło się dla mnie już tylko jedno – Pepiczka w jasnym prochowcu, w białym berecie z antenką.

W domu przy kolacji dowiedziałem się, że Pepiczka to nie imię, tylko tak się mówi na Czechów, że Pepiki, od popularnego czeskiego imienia. I co z tego? Musiałem się dowiedzieć za wszelką cenę, jak ona naprawdę się nazywa. Nazajutrz obszedłem na przerwach wszystkie klasy w mojej szkole podstawowej numer 37 i w sąsiedniej numer 36. Nie znalazłem jej. To gdzie szukać? Kogo zapytać? Znaleźć ją musiałem, bo o niczym innym już nie mogłem myśleć.

Podpytałem po lekcjach koleżkę – „Te, Hajnel... Znosz, ta Pepiczka?” Spojrzał na mnie spod oka, skubiąc łuski palonego słonecznika – „Jo, nji... Ino widza jak sam durś łązi... To je Pepiczka...” A więc gdzieś tu się kręci, po naszej dzielnicy, może po mojej ulicy. To był już jakiś trop. I rzeczywiście, po kilku dniach (i bezsennych nocach) znów ją zauważyłem, wsiadała do tramwaju z futerałem do skrzypiec. Te-

raz trzeba było spokojnie czekać. To czekałem, wypatrywałem i w końcu ją spotkałem. To nie to, że bym ją śledził. Po prostu byłem ciekaw, no, może inaczej, musiałem się dowiedzieć, gdzie mieszka, dokąd idzie. Co tu tłumaczyć. Jeśli na przykład ujrzałem, jak idzie ulicą Tyniecką, to szedłem równoległą do niej ulicą Długą i wypatrywałem kolorowej sukienki pomiędzy domami i podwórkami. To były jeszcze czasy, kiedy podwórka między tymi ulicami były zarośnięte krzakami, więc nie mogła mnie zauważyć. Nigdy nie wiedziałem, gdzie i kiedy uda mi się spotkać Milenkę. Nie miałem pojęcia, gdzie się zacząć. Wychodziłem pod byle pretekstem z domu, szedłem Długą w stronę Katowic, albo wzdłuż ceglanego muru starej fabryki farb i lakierów, wystawałem na przystankach tramwajowych przy Armii Czerwonej, przed budynkiem dworca w Batorym. Co ja się wtedy na nią naczekałem.

Przez ostatni rok podstawówki wypatrywałem tak Milenki prawie codziennie. W niedziele też. No, chyba że byłem przeziębiony – wtedy, udając, że czytam książkę – siedziałem przy oknie i zza firanki obserwowałem ulicę. Jak mi dopisało szczęście, zauważałem ją z daleka. Wtedy na sekundę stawało mi serce, a potem kilka razy tak silnie uderzało, że ciemniało mi przed oczami. No, to szedłem za nią, trzymając bezpieczny dystans. Po kilku takich wędrówkach za Milenką zorientowałem się, że nie idzie gdzieś konkretnie, do kogoś, do jakiejś ciotki, czy koleżanki, tylko tak sobie po prostu maszeruje równym krokiem w tych swoich podobnych do siebie kolorowych sukienkach, zawsze zakończonych pod szyją białym, wyprasowanym kołnierzykiem, trzymając na smyczy beżowego spaniela. Strasznie byłem wtedy zakręcony, więc dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że widocznie te jej wycieczki to przez tego psa. Uznałem, że spaniele to najwspanialsza psia rasa na świecie. Naprzeciw dworca

kolejowego w Batorym była mała księgarnia, tam kupiłem książkę o rasach psów. Nauczyłem się rozdziału o spanielach na pamięć. Wyobrażałem sobie, że zastąpię kiedyś Milencę drogę (jak jej pies akurat będzie sikać) i powiem po prostu – „Cześć, fajny pies. Ja też mam spaniela”. Ona się uśmiechnie i pójdziemy razem dalej, rozmawiając o spanielach. Próbowiałem namówić mamę, żeby kupiła mi psa, koniecznie spaniela, albo jakiegokolwiek. Wtedy byłoby łatwiej. Zwyczajnie podszedłbym do Milenki mówiąc – „Cześć, fajnego masz psa. Jak się wabi? Bo mój tak, albo tak.” I poszlibyśmy dalej razem, a nasze psy też razem by sikały. Ale z kupna psa nic nie wyszło.

Za żadne skarby świata nie podszedłbym tak po prostu na ulicy do Milenki. Milion razy wyobrażałem sobie, że idziemy naprzeciw siebie, nagle ona patrzy na mnie, uśmiecham się i już prawie mijając ją, mówię – „Cześć...” To, co miałem powiedzieć po tym „Cześć”, wyobrażałem sobie milion razy na wszelkie sposoby. Jak się o kimś myśli i myśli przez rok, to się potem tego kogoś już bardzo dobrze zna. I przez to myślenie i wyobrażanie sobie w końcu nie wiadomo co jest naprawdę, a co nie.

To moje myślenie o Milence to była bardzo poważna sprawa, wkuwałem rozmówki polsko-czeskie, ale przez Milenkę wszystko mi się płało. Jak się budziłem, pierwsze o czym pomyślałem, to była Milenka. Potem myślałem o niej w drodze do szkoły, trochę mniej na lekcjach i przerwach, ale w drodze powrotnej do domu znów myślałem tylko o Milence. Nie wiem, do jakiej szkoły chodziła, chyba do muzycznej, ale nie w Chorzowie. Dowiedziałem się, że Milenka nazywa się „Milenka” przypadkiem. Kiedyś jak stała i czekała, aż wysika się jej spaniel na skwerze przy poczcie, przy krawężniku zatrzymała się Škoda Octavia, otworzyły się drzwi i jakaś pani (pewnie mama) zawołała – „Milenko!” Najpierw do samochodu wskoczył spaniel, potem Milenka i odjechali. Piękna była błyszcząca i pachnąca nowością Škoda Octavia, piękna była moja, teraz już znana z imienia, Milenka. Powtarzałem sobie to imię jak mantrę całymi dniami, bez dwóch zdań to było najpiękniejsze imię ze wszystkich imion na calutkim świecie. Chciałem zostać Czechem. Chciałem coś zrobić dla mojej Milenki, która nawet nie domyślała się, że jest moja.

Któregoś dnia w fabryce farb i lakierów w Batorym była awaria, coś tam w środku pękło, albo wybuchło i po dzielnicy rozlała się sunąca tuż nad ulicami i chodnikami zielonkawa mgła, ludzie uciekali, dusząc się i pokaszując. Wbiegałem z chustką przy twarzy w te cuchnące obłoki, bałem się, czy tam gdzieś ze swoim spanielem nie omdlewa Milenka.

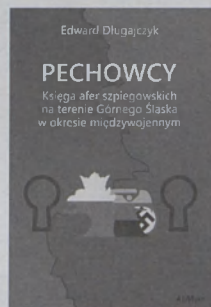
Jakiś strażak złapał mnie za kołnierz i kazał uciekać do domu. Dużo działa się tej upalnej wiosny ostatniego roku mojej podstawówki. Sprzedawcy syfonów zarabiali wtedy krocie.

I dzięki tym syfonom, szklanym wielkim butlom z plastikowym zaworami, po raz pierwszy spotkałem się z moją Milenką. Chmury dzieciaków deflowały dzielnicą z butlami pustych syfonów na ulicę Racławicką, bo tam znajdował się punkt napełniania syfonów. W niewielkim pomieszczeniu stawało się puste syfony na ladzie, odbierał je niski, łysy mężczyzna w średnim wieku w granatowym fartuchu i zanosił do sąsiedniego pomieszczenia, z którego dochodziło dudnienie i miarowe posykiwanie. Tłum wyrostków tłoczył się przed ladą, a co wyżsi wyciągali ciekawie głowy, by zajrzeć do tajemniczego źródła napełnianych syfonów i dziwnych dźwięków.

To właśnie wtedy ujrzałem przed sobą Milenkę. Ona mnie nie widziała, stała tyłem w błękitnej sukience z kołnierzykiem. Tyle się naczekałem na to spotkanie, a stałem tam wtedy jak zamurowany. Patrzyłem tylko na ten jej jasny koński ogon i wykrochmalony, biały kołnierz. Właściciel syfoniarni, jak tylko ją zobaczył, uśmiechnął się szeroko i postawił na ladzie napełnione syfony. Pewnie często tu przychodziła. Zaczęli z sobą cicho rozmawiać. Stałem tuż za Milenką, to słyszałem, co mówili, ale niewiele rozumiałem. Słowa polskie mieszały się z innymi, osłuchanymi trochę z dialogami z filmów, w których nigdy nie wiadomo było, o co chodzi. Ale im zazdrościłem. Skąd on zna ten język?

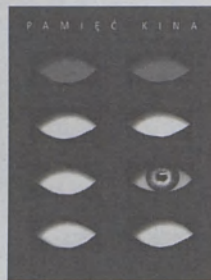
Nagle olśniło mnie. Przecież sam zawsze, zabierając z domu pusty syfon, wołałem – „Mamo! Idę do Pepika!” Wszyscy tak mówili. Tak się nazywało ten sklep. Nie mam pojęcia, skąd wziął się ten sympatyczny Czech w Chorzowie Batorym na ulicy Racławickiej, ale napełniał tam syfony przez długie lata. Milenka wzięła pełne butle, o coś jeszcze zagadnęła właściciela, on jej odpowiedział i poszła sobie. Trzeba było wybiec za nią, coś zagadać, cokolwiek, albo zanieść jej do domu te syfony. Ale wtedy zostałem w tym sklepie i czekałem jak głupi na swoje syfony. Wracalem potem do domu wraz z grupą koleżków. Szedłem i myślałem o mojej Milence.

Nigdy potem już jej nie spotkałem, sklep Pepika zniknął chyba jeszcze przed moją maturą. Teraz jest tam kserograf. Jak tam czasem zachodzę, coś powielić, przemykam oczy, a wtedy mruczenie kserografów zmienia się z wolna w łoskot maszyny unoszącej puste butle syfonów: bulgoce woda, syczy dwutlenek węgla i czuję wtedy przez chwilę zapach włosów Milenki stojącej tuż przede mną przy ladzie. Ech, Mileno, Milenko... Dlaczego ja wtedy za tobą nie pobiegłem? ■



Edward Długajczyk, *Pechowcy. Księga afer szpiegowskich na terenie Górnego Śląska w okresie międzywojennym*, Agencja Wydawnicza Almar, Leszno 2013, s. 382.

Colloquium Opole 2012. Miasta w przestrzeni środkowoeuropejskiej: Opole - Görlitz/Zgorzelec - Opawa po 1989 roku red. Markus Bauer, Monika Choroś, Bernard Linek, Michał Lis, Instytut Śląski w Opolu 2013, s. 248.



Pamięć kina, red. Andrzej Gwóźdź, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 240.

Katarzyna Młynarczyk, *Savoir vivre dla kochanków (wybór wierszy)*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 36.

R.M. Douglas, *Wypędzeni. Powojenne losy Niemców*, tłum. Grzegorz Siwek, Wydawnictwo RM, Warszawa 2013, s. 552.

Tadeusz Kijonka, *Czas, miejsce i słowa (wybór wierszy)*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 464.

Renata Putzlacher, *W kawiarni Avion, której nie ma*, Spolek – Towarzystwo Avion, Český Těšín 2013, s. 180.

Jerzy Pilch, *Drugi dziennik 21 czerwca 2012 – 20 czerwca 2013*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014, s. 282.

Urszula Zajączkowska, *Opole. Historyczno-kulturowy przewodnik po mieście*, Deutsches Kulturforum östliches Europa, Potsdam 2013, s. 48.

Rajmund Moric, *Byłem przy tym*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 198.

Kornelia Banaś, *Komunistyczny aparat bezpieczeństwa wobec pielgrzymek stanowych do Piekar Śląskich (1947–1989)*, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach 2013, s. 390.

Dariusz Jerczyński, *Historia narodu śląskiego*, wyd. trzecie, Instytut Śląski w Godk, Łędziny 2013, s. 476.

Włodzimierz Paźniewski, *Biuro podróży metafizycznych (eseje)*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 384.

Krzysztof Gwosdz, *Pomiędzy starą a nową ścieżką rozwojową. Mechanizmy ewolucji struktury gospodarczej i przestrzennej regionu tradycyjnego przemysłu na przykładzie konurbacji katowickiej po 1989 roku*, Instytut Geografii i Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie 2014, s. 270.

Henryka Wach-Malicka, *Bogumiła Murzyńska. Biografia nostalgiczna*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2014, s. 322.

Stefan Gierlotka, *Piotrowice Śląskie. Monografia dziejów dzielnic Katowic Piotrowice, Ochojec, Kostuchna*, wyd. trzecie zmienione i rozszerzone, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2014, s. 262.

Arkadiusz Ławrywianiec, *Tajemnice pracowni*, wstęp Henryka Wach-Malicka, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 144.

Czesław Ludwiczek, *W cieniu Domu Prasy*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2014, s. 244.

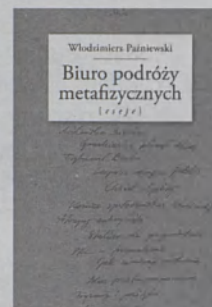
Zygmunt Woźniczka, *Represje na Górnym Śląsku po 1945 roku*, wyd. drugie poszerzone, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 496.

Edward Wiczorek, *Bytom i okolice. Przewodnik turystyczny*, Urząd Miejski w Bytomiu 2013, s. 156.

Aleksandra Zapotoczny, *Niezwykłe spotkanie. Artyści, dziennikarze i sportowcy o świętym Papieżu*, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2014, s. 96.

Ilona Copik, *Pomiędzy Gliwicami a Gleiwitz. Przestrzeń kulturowa miasta w piśarstwie Horsta Bienka*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2013, s. 256.

Joanna Tofilska, *Pod patronatem spółki Giesche. Gmina Janów na Górnym Śląsku*, Muzeum Historii Katowic 2013, s. 156.





Po tej i tamtej stronie: Krzanowice



Jedziemy z kulturą

